ROK XIX.
Ogólnego zbioru Tom LXXIV.

ATENEUM

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE.

TOM II. — ZESZYT I.

Kwiecień.

WARSZAWA.

1894.

Druk Jana Cotty,
29. Senatorska 29.

SPIS RZECZY.

Zeszyt zawiera arkuszy 12.

Druk ukończono d. 11 Kwietnia 1894 r.



POSZUKIWANIE DUCHA.

W końcu zeszłego i na początku bieżącego roku, niektórzy uczeni warszawscy zabawiali się wywoływaniem duchów, czyli tak zwanym spirytyzmem, albo, jak sami oni nazywają, medyumizmem. Odbywało się to za pomocą pewnéj Włoszki, Eusapii Palladino, która miała ten dar, że pośredniczyła między światem widomym a niewidomym, to jest była medyum. Otóż medyum, pośrednik, jestto taki człowiek, który dzięki osobliwéj organizacyi cielesnéj, zwanéj nerwową, ma szczególny wpływ na tamten świat, czy na nieboszczyków. Może ich wywoływać i posługiwać się nimi do produkcyi niezwykłych zjawisk. Tak, wspomniana Eusapia posługiwała się duchem nieboszczyka Johna Kinga; sądząc z nazwiska, musiał to być Anglik, a może i królował na ziemi (*king* = król). Działy się przez tęż Eusapię rzeczy niesłychane. Krzesełka s a m e właziły na stół; stół się s a m w górę podnosił; dzwoniły dzwonki s a m e; coś, zapewne duch, głaskało obecnych po twarzy, chuchało, dmuchało; ukazywały się płomyki w sali nad siedzącymi, — a wszystko przy słabém oświetleniu sali, w półcieniu. Niektórzy z obecnych na tych naukowych doświadczeniach (tak je bowiem nazywano), podejrzéwali w tém wszystkiém kuglarstwo Włoszki, inni widzieli nową jakąś siłę. My, którzy tylko z dzienników o tych rzeczach wiemy, nie wydajemy sądu co do natury owych zjawisk, tylko wspominamy o tém gwoli związkowi z rzeczą, którą poniżéj piszemy. O doświadczeniach zaś z Włoszką odbywanych powiemy jedno: zagrzmiało, runęło i przepadło.

Tych, którzy badają sprawy ducha, nazywamy psychologami wogóle; tych, co się zajmują chorobowemi objawami tegoż, psychyatrami; tych, co chcą wymierzać ilościowo objawy duchowe, psychometrami;

tych znowuż, co rozważają ducha w związku z fizyczną, cielesną stroną człowieka, psychofizykami. Stąd widać, że duchem, duszą, psychą, trudni się dziś niemały zastęp ludzi. Obok pracowników poważnych, a dotychczas bardzo mało wiedzących o duchu, zdarzają się mniéj poważni, szarlatani, którzy okolice ducha tak dobrze znają, jak piaskarze warszawscy brzegi Wisły. Ci z duchami są za pan brat, wywołują ich z zaświata, każą im prorokować, zrzucać ze ścian obrazy, posuwać stołki i t. p.

Nowych rzeczy w zakresie ducha, w psychologii, mało co więcéj znamy (na pewno), niż ich znali starożytni. Nazwy psychologii nie znali, bo to wyrób XVI w.; ale o duszy rozprawiali, choćby Plato i Arystoteles; ten ostatni nawet rozsądnie w téj materyi pisał. Ale i wówczas w Grecyi, obok uczonych, byli szarlatani, zwani psychagogami, psychopompami. Ojcem ich był Hermes-Merkury, co pędzał dusze do hadesu.

„Psychagogae, powiada A. Osiński, kapłani greccy, albo raczéj czarnoksiężnicy przyzywający cienie umarłych; musieli być życia nienagannego, wzbronione im było obcowanie z płcią żeńską, nie mogli pożywać rzeczy żywotnych i dotykać się umarłego. Mieszkali w pieczarach i tam sprawowali czarnoksięstwo zwane psychomancya. Psychomancya była to sztuka przyzywania umarłych. Obrządki psychomancyi też same były, co i nekromancyi. Zazwyczaj na sprawowanie tego czarnoksięskiego rzemiosła udawali się na tajemne i zakryte miejsce, mianowicie w przyzywaniu umarłych i czynieniu im zapytania. Drugi rodzaj psychomancyi był następny. Trzeba było przepędzić noc w pewnych kościołach, położyć się na skórach zwierząt i we śnie oczekiwać zjawienia i odpowiedzi umarłych. Kościoły Eskulapiusza szczególniéj slynęły tym obrządkiem: łatwo było kapłanom okazać i dać odpowiedzi dogodne, przeciwne albo wątpliwe" [1]).

Badacze naukowi, poszukujący czegoś nieznanego, nie wiedzą oczywiście naprzód jak to coś wygląda; ale domyślają się, że to coś może być podobne do minerału, rośliny, zwierza, gwiazdy — słowem, do czegoś znanego. Poszukujący ducha, czy duchów, nie mogą się tą metodą kierować dlatego, że w znanym nam świecie nie masz nic, do czegoby duch był podobny. To właśnie jest trudność nielada; ani przez porównanie, ani przez utożsamienie z jakąś inną znaną nam rzeczą nie możemy ducha ku sobie zbliżyć, wyobrazić go sobie, zdefiniować. Nie dano dotychczas żadnéj definicyi ducha, któraby zadowol-

---

[1]) „Słownik mitologiczny". Warszawa, 1812. Wyrazy: psychagogae i psychomancya.

niła umysł i po analizie składowych pierwiastków swoich, ostać się mogła.

Czytelnik zrozumié leżące w tym przedmiocie trudności, gdy mu nasuniemy niektóre uwagi. I tak, nie umiemy wskazać ani miejsca, ani czasu, kiedy ludzie doszli do rozróżnienia duszy od ciała, a musiało to nastąpić dawno, bardzo dawno, skoro już najdawniejsze dzieje narodów wschodnich, znają różnicę między objawami duchowemi a cielesnemi. Prawdopodobnie więc już człowiek pierwotny musiał znać ciało i duszę. Ale kiedy i gdzie żył człowiek pierwotny, jak wyglądał, co do tego mamy tylko domysły. A jednak to odróżnianie ciała i duszy było postrzeżeniem niezmiernéj doniosłości dla następnych dziejów. Bez niego nie byłoby ani spirytyzmu, ani medyumizmu, ani ważniejszych od tych obojga rzeczy.

Daléj i późniéj chociaż odróżniano ciało i duszę, ale duszę pojmowano materyalnie, tylko materya jéj była subtelniejsza od cielesnéj, dusza miała powłokę astralną i uchodziła za to samo co widma i strachy, ukazujące się wylęknionéj imaginacyi dzieci i prostaków.

Przytaczać wszystkich mniemań, jakie w ciągu wieków uczeni o duszy podawali, nie widzimy potrzeby; uczy tego historya psychologii. Niemniéj parę definicyi nowszych zaznaczyć trzeba. Zatém według jednych, dusza jest istotą prostą, niezłożoną, niemateryalną, uposażoną władzami takiemi, jak rozum, wola, pamięć, wyobraźnia. Według drugich, dusza czy duch jest wyrazem ogólnym, służącym do wyrażenia rozmaitych czynności umysłowych, jak rozumowanie, chcenie, pamiętanie. Inni znów krótko mówili: duch jest negacyą materyi, to ma znaczyć, że o duchu możemy mówić, co mu nie przysługuje, np. że nie jest rozciągły, ciężki i t. p., a co właśnie przysługuje materyi: duch stanowi zupełne przeciwieństwo materyi. Czém duch jest, dać definicyi pozytywnéj nie możemy, ale wiemy, że nie jest materyą. Nie mówimy, że to jest całkowity dorobek psychologii; ale to, co więcéj zdobyto, ściąga się raczéj do wzajemnéj zależności od siebie ciała i duszy, aniżeli do zrozumienia istoty duszy.

Jak ludziom oddawna trudno było sobie radzić z duszą świadczą między innemi rozmaite wyrazy używane do oznaczenia duchowéj strony w człowieku. Dla przykładu niech służą wyrazy po grecku: *psyche*, *pneuma*, *nous;* po łacinie: *anima v. animus*, *spiritus*, *mens;* po naszemu: dusza, duch, umysł. Etymologia tych wyrazów uczy, co skłoniło ludzi do ich użycia na oznaczenie czynności umysłowych: np. *spiritus* od *spirare*, d e c h, d u c h od t c h n ą ć.

Niejednego może dziwić odróżnianie ducha od duszy, a jednak różnicę taką do książek wprowadzono, i mówią, że wszyscy ludzie ma-

ją duszę, ale nie wszyscy ducha, rozumiejąc przez ducha duszę ukształconą, rozwiniętą, świadomą siebie.

Z powyższego widać, ile to ciemności otacza dotychczas psychiczną stronę człowieka. Nie skądinąd pochodzi to zjawisko naukowe, że o duchu tyle przez wieki napisano, a tak mało niezawodnych prawd zdobyto. Dlatego, gdy nam mówią o medyach, które mają duchów ku swojéj posłudze, nie wiadomo, co podziwiać, czy łatwowierność ludzką, czy zręczność medyów. Podług wyobrażeń najniżéj umysłowo stojących plemion ludzkich, powietrze, wody, góry, lasy pełne są duchów; choroby także duchy sprowadzają na człowieka. Miałyżby Ameryka i Europa, cywilizowane, wrócić do téj wiary szamanów? Cóżkolwiekbądź, chociaż szerzenie się téj wiary niejednego razi swoją grubą prostotą, chociaż nie brak już wykrytych kuglarstw dokonywanych przez media, jednak duchownictwo, spirytyzm nie dają za wygranę, jakby dla sprawdzenia przysłowia: „świat chce być oszukiwanym" *(mundus vult decipi)*.

Poszukajmy przyczyn tego zjawiska umysłowego.

Na pierwszém miejscu stoi jako przyczyna łatwowierność ludzka. Wiadomo, że dzieci i prostacy wierzą najnieprawdopodobniejszym opowiadaniom, a im opowiadanie cudowniejsze, tém dla nich lepsze. Niczém się nie udawią, wszystko przełkną. Przez prostaków zaś nie trzeba rozumiéć tylko analfabetów, lecz i patentowanych uczonych, których umysł w pewnych kierunkach wiedzy może być wyćwiczony, ale w innych podobny do umysłu prostaków. Przecież spirytyzm liczy między swoimi wyznawcami głośnych fizyków i astrofizyków.

Na drugiém miejscu stoi pragnienie cudowności. Człowiek jest istotą, która pożąda cudowności, lubi się dziwić i być podziwianą. Nawet wtenczas, gdy doświadczenie naukowe zedrze mu z oczu tajemniczość jakiegoś faktu lub zjawiska natury, niekontent jest z tego, a operatora nienawidzi. Wolałby żyć w złudzeniu. Czyliż nie słyszymy nawoływań: nie zabiérajcie nam złudzeń, dobrze nam z niemi; człowiek nie samym rozumem żyje, imaginacya jego, czynna dniem i nocą, w zdrowiu i w chorobie, tworzy świat dla siebie, zupełnie różny od rzeczywistego. Na takie argumenta niejeden woli milczéć, niż pozbawiać swoich bliźnich pociechy płynącéj z obrazów fantazyi. Nareszcie, choćby chciał przekonywać, nie przekona, albowiem w przeciwnikach jest pewna predyspozycya do cudowności, a nadto musieliby byli przejść i studya jednakowe i przebyć doświadczenia podobne, by się mogli porozumiéć ze swoim oponentem. Nie trzeba tym ludziom koniecznie przypisywać złéj woli, uporu, chętki do sporów; w głowach ich jest pewna luka,

w któréj siedzi przyrodzony wszystkim pociąg do nadzwyczajności. Co zwyczajne i zrozumiałe, nie ma dla nich uroku.

Na trzeciém miejscu kładę brak studyów psychologicznych i historycznych. Wiadoma rzecz, iż naukową obsewacyą samych siebie i innych ludzi trudni się, nietylko u nas ale i gdzieindziéj, bardzo mała garstka osób. Stąd też pochodzi, że biali, cywilizowani mają o duchu takie same wyobrażenia jak i czarni, nazywani dzikimi. Zapewne papuasi i negrzy nie inaczéj rozprawiają o nieboszczykach, duchach, jak i kucharki za Żelazną Bramą lub ich panie, gdy sobie opowiadają senne mary. Wszędzie tedy między białymi, zarówno w Neapolu, jak Wiedniu lub Warszawie jest grunt doskonale znawożony i gotowy do przyjęcia nasion duchownictwa.

Jeżeli zaś tak mało ludzi zajmuje się duszą ludzką, to i temu trudno się dziwić. Najprzód, pewni uczeni zredukowali duszę do mózgu albo raczéj do fosforu, co już należy do fizyologii lub chemii; a powtóre, psychologia chleba nie da. Otóż, co z filologią, stało się i z psychologią: uprawia je garstka ludzi zwykle ubogich, których obserwacye i dzieła nie dochodzą oczu wielkich mas ludu i rzeczy stoją po dawnemu: duch niecielesny, bezkrwisty, bezkształtny nie może być zrozumiany.

Gdyby przynajmniéj masy ludzkie znały lepiéj przeszłość czyli historyę, wiedziałyby, że spirytyzm był już na świecie i okazał się kuglarstwem. Może go inaczéj nazywano, np. psychomancyą, może sprawców jego nie nazywano medyami, lecz psychogogami i psychopompami—ale mimo innéj terminologii rzecz była taka sama jak i dzisiaj.

Na czwartém miejscu śród przyczyn duchownictwa stoi oszukaństwo, szarlatanizm, kuglarstwo, a grzeczniéj mówiąc, zręczność. Za zręczność, to jest za jéj okazanie trzeba płacić, zręczny zaś bierze zapłatę, jak każdy rzemieślnik za robotę, a mniéj się napracuje niż kowal lub oracz. Otóż medyum X lub Z kując, orząc lub szyjąc 10 godzin dziennie, zarobiłoby dajmy na to 150 lub 200 rubli rocznie i zniknęłoby w masie robotników. Toż samo medyum wyrabiając sztuki, gdy je Pan Bóg zdolnością do tego uposażył, zarobi rocznie, nie pracując codzień, pięć lub sześć razy tyle, a do tego wikt dobry i sławę. A chociaż się poci, stęka, jęczy, zawsze te stękania i te poty nie tyle kosztują, co poty kowala lub znękanie szwaczki po 10 lub 12 godzinach dziennego trudu.

Obrońcy spirytyzmu powiadają tak: Jest podobném do prawdy a nawet gdzieniegdzie sprawdzoném, iż medya dopuszczały się oszukaństwa; ale wszystkich zjawisk przez nie wywoływanych nie można uważać za zręczne kuglarstwa. W tém wszystkiém jest coś, jest nowa,

nieznana jakaś siła. Nie trzeba się uprzedzać, lecz czynić obserwacye i doświadczenia, które albo do odkrycia nowych prawd doprowadzą, albo na niczém się skończą i nikt z tego szkody nie poniesie.

Przyjrzyjmy się obronie. Najsłuszniéj w świecie domagają się spirytyści swobody badania. Historya nauk świadczy, ile trzeba było pokonać trudności, zanim ludzie przyszli do przekonania, iż swoboda w czynieniu doświadczeń najlepiéj płuży nauce i im samym na pożytek wychodzi. Spirytystom téż nie wzbraniają czynić doświadczeń (?); a jeżeli niedowiarkowie po dziennikach szydzą z nich lub wprost zaprzeczają możności spirytystycznych objawów nie wywołanych zręcznością, tém się zrażać nie powinni. Od wieków przyjęto w doskusyi, by ten, który coś niebywałego twierdzi, okazał i przekonał niedowiarków, że to coś w istocie istnieje.

Niedowiarek może wprost zaprzeczyć i czekać aż go przekonają. Mówią mu o drakonie, smoku. On go nigdy nie widział i ażeby mógł uwierzyć, że potwór taki istnieje, żąda, by go przekonano tym lub innym sposobem: gotów uwierzyć. Póki to nie nastąpi, ma prawo twierdzić, że smok nie istnieje. Tak samo dzieje się z każdą nową siłą natury. Kto pewne zjawiska przypisuje nieznanéj sile, musi dowieść, że inne znane siły natury nie mogłyby owego zjawiska wywołać. Jest dawna, podobno od Newtona przyjęta zasada, że w badaniach nie należy bez potrzeby mnożyć przyczyn; trzeba próbować wytłómaczenia nowych zjawisk za pomocą znanych sił, przyczyn. Jest podobném do prawdy, że wszystkich sił natury nie znamy; może tedy istniéć jakaś nowa. I owszem, tylko ukażcie ją w działaniu. Jak działa magnetyzm, elektryczność—wiemy; cudu w tém nikt nie upatruje. Ale i magnetyzm i elektryczność dawno już ludziom były znane, chociaż rozmaite ich skutki dopiéro późniéj poznano. Otóż i siła (?) spirytystyczna, jeżeli w przyrodzie istnieje, jako różna od sił znanych i nie dająca się do nich zredukować, przecież w ciągu kilkudziesięciu wieków jak ludzie obserwują, badają zjawiska natury, byłaby się gdzieś, komuś dała zauważyć, odczuć. Tymczasem o sile spirytystycznéj głucho, a raczéj nie głucho, znano ją w psychomancyi, wyroczniach i oceniano tak jak dzisiaj, to jest jako zręczne omamianie zmysłów. Ocena dzisiejsza o tyle jest bliższa prawdy, że rozmaite nadzwyczajności, o ile nie są kuglarstwem, objaśnia chorobą systemu nerwowego.

Jeszcze słowo o metodzie doświadczeń naukowych. Kto widział doświadczenia czynione w gabinetach fizyków, chemików lub fizyologów, wié, że ani w ciemności, ani wpółświetle profesor ich nie dokonywa, albo jeżeli mu na chwilę przytłumienie światła potrzebne, objaśnia dlaczego to czyni. Światło białe, dzienne

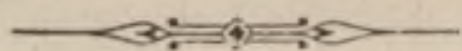
jest warunkiem dobrego widzenia rzeczy, gdy oczy są zdrowe. Ale gdyby warunkiem udawania się doświadczeń naukowych miało być zawsze półświatło, gdyby rezultat doświadczeń miał być zależnym od nastroju nerwów profesora: budziłoby się podejrzenie oszukaństwa. Nie chce, czy nie może robić doświadczeń profesor, zrobi je pomocnik jego. Słuchacze i widze przyjrzą się doświadczeniom, nauczą się ich robić i daléj będą swoim następcom podawali zapalone pochodnie umiejętności. Co tu chować światło pod korzec? Kapłani chaldejscy i egipscy mogli ku swemu zyskowi otaczać się tajemniczością, ale dzisiaj już to nie uchodzi. Seanse spirytystyczne nie są téż doświadczeniami naukowemi, lecz zabawami.

Czy te zabawy mogą komu szkodzić? Zależy to od usposobienia osób biorących udział w posiedzeniach. Donoszono kilkakrotnie, że osoby nerwowe, wrażliwsze, zapadały w ciężkie choroby po tych doświadczeniach. Po naukowych doświadczeniach ludzie nie podlegają chorobie, chyba że się nieumiejętnie lub nieuważnie obchodzili z przyrządami. Pisano i o tém, jak medya, wywołując nieboszczyków, kazały doradzać krewniakom, ażeby mniejsze lub większe sumy pieniężne przelewali do ich kieszeni (medyów). Szkodzą téż, nie pomagają takie próby z duchami rzetelnéj nauce, budząc przypuszczenie, przynajmniéj w niektórych ludziach, że tajemnice natury można inną drogą, oprócz długich, mozolnych doświadczeń, odsłaniać.

K.



Z literatury belgijskiéj.



Literatura belgijska nie ma historyi; jestto literatura dnia wczorajszego lub dzisiejszego, mówi Francis Nautet [1]. Wiotki, melancholijnie zadumany kwiat ten otworzył raptownie delikatny swój kielich, w części pod wpływem słońca liberalizmu, które rzuciło łaskawie, lat sześćdziesiąt zaledwie temu, pierwsze swe dobroczynne promienie na kraj, pozostający długie wieki pod gniotącym uciskiem ciemiężców, w części pod wpływem innych przyczyn, które rozbierzemy po kolei wespół z czytelnikiem.

André Van Hasselt [2] widzi przyczyny téj długiéj obojętności Belgijczyków do pióra w zaburzeniach, spowodowanych wojnami religijnemi i domowemi, które tak długo trapiły kraj, pozbawiając go swobody myśli i uniemożebniając zainteresowanie się sztukami pięknemi. Zaznaczmy, że choć poważny, powód ten nie jest jedyny; wszak Niderlandy dały światu cały zastęp pierwszorzędnych malarzy: Rubens, Jordaens, Teniers, Ostade, Brauver i inni wielcy mistrze Flandryi, że nawet nie wspomnimy o nieśmiertelnym Rembrandcie i szkole holenderskiéj, wymownie świadczą, że geniusz artystyczny wybija się po przez wielkie przeszkody — nic go zdusić nie zdoła. Taine idzie nawet daléj, twierdząc, iż w Niderlandach człowiek był zdolny do sztuki, gdyż powstał w społeczeństwie nieszczęśliwém i był wychowany w prawdziwych tragedyach życiowych; boleść byłaby do pewnego stopnia szkołą artyzmu. Francis Nautet słusznie powiada, że przyczyny téj apatyi

---

[1] Histoire des lettres belges d'expresion francaise.

[2] Essai sur l'histoire de la poésie française en Belgique.

literackiéj należy szukać głębiéj, w charakterze i sercu narodu, w jego obyczajach wreszcie: „prócz przyczyn historycznych trzeba uwzględnić przyczyny psychologiczne i zbudować niejako syntezę duszy Belga”. Flamand z natury jest małomówny, skryty, mało wywnętrzający swe uczucia, skłonny do zadumy i rozmyślania. Przyroda północnéj Flandryi, płaszczyzny bez końca porosłe wrzosem Campiny, szerokie horyzonty, zamiérające w dali w uścisku chmur i mgły; pola i lasy, zraszane często drobnym upartym deszczem, jednóm słowem krajobraz północny, musiał niewątpliwie odbić się na duszy ludu, okolice te zamieszkującego. Baudelaire, ów wielki poeta, który nadał kierunek nowoczesnéj poezyi francuskiéj, wyśpiewał w swych „kwiatach złego” wpływ deszczu i mgły na umysły, serca i imaginacyę; nikt nie doszedł tak subtelnych wyrafinowań spleenowych i nie oddał z równą obrazowością smutku i rozkoszy spleenu. Wszystkie te cienie i półcienia melancholii drzémią w duszy flamandzkiéj; naród ten miał wprawdzie niejedną chwilę nadmiernego życia, upamiętnionego arcydziełami Steenów i Brauver'ów, niemniéj przy całéj rubaszności dźwięczy w nim ta nuta uczuciowości splinowéj właściwym ludom Północy. Płótna Rembrandta, Metsys'a, Van Orley'a odzwierciedlają tę stronę zadumy i dyskretnego milczenia cechujących naród.

W tym to charakterze narodowym widzi Francis Nautet, ważny powód drzémki, w któréj pozostawała literatura belgijska; mała ekspansywność i zamknięcie się w sobie nie pozwoliły nawet zdolnym wyśpiewać swych smutków. Dodać do tego należy brak języka jednolitego, wyrobionego — gdyż Belgia składa się z dwu narodowości: północnéj flamandzkiéj i południowéj wallońskiéj, o narzeczu, charakterze, ideałach i dążeniach odmiennych. Wallończycy bardzo mało zdziałali na polu literatury; flamandom tak obdarzonym poczuciem piękna, stawał na przeszkodzie brak wyrobionego języka, narzeczy flamandzkich jest bowiem tyle niemal, ile wiosek we Flandryi, a trudność w rozmówieniu się dwu flamandów z dwóch miast odrębnych weszła w przysłowie. W obecnych czasach, od dwudziestu lat szczególnie, literatura rozwija się niezmiernie szybko, dzięki językowi francuskiemu, który pogodził wszelkie waśnie, narzucając swe prawidła wyrobione.

Wojna francusko-pruska z 1870 r. stała się jednym z głównych bodźców, które wyrwały Belgią z odrętwienia, w którém sztywniała; zresztą położenie geograficzne kraju jest takie, iż prędzéj czy późniéj odczuć musiał potężny wpływ dwu sąsiednich mocarstw: Francyi i Niemiec. Belgia wiele zawdzięcza tym sąsiadom, w niéjześrodkowały się i zsyntetyzowały rysy germańskie i romańskie. W beletrystyce ma więcéj lekkości niż Niemcy, a więcéj głębi niż Francuzi. Ży-

wość francuska i nerwowość zbawiennie podziałały na apatyą flamandzką, naród otrząsnął się częściowo z cechującéj go limfatycznéj ociężałości, życie jednostajne, rodzinne, nabrało barwy, stało się bardziéj towarzyskie, nastąpiła wymiana myśli i uczuć, przełamano lody; małomówność i skrytość ustąpiły przed ciekawością poznania, zbratania, przyjaźni, rozmowy. Francya dała impuls, lekkość i polor, Niemcom zawdzięcza Belgia po części rozwój i kierunek swych poważnych dążeń; nie mamy bynajmniéj chęci wyzuwać Belgijczyków z zalet oryginalnych i przyznamy chętnie, że wpływ Niemców uwydatnił się z powodu wspólności charakterów narodowych. Dużo głębokiego uczucia i pewien charakter odrębny, pełen zadumy i finezyi, nieledwie mistycyzmu, właściwy ludom północy, bratają Belga z sąsiednim Duńczykiem lub Szwedem.

Artyzm tutejszy, to przedewszystkiém malarstwo! niezwykła piękność krajobrazu urozmaiconego z powodu częstéj lekkiéj mgły najsubtelniejszemi barwami przejściowemi, wyrobiło u mieszkańców poczucie kolorytu. Południe, ze słońcem jaskrawem, cieniem i światłem dokładnie odznaczoném kolorami pełnemi mocy, stworzyło kontur, rysunek piękność linii, rzeźbę. Północ jest kolébką kolorystów: tu kontury i linie nikną we mgle niewyraźne, barwy za to przechodzą całą skalę tonów— jaka ich rozmaitość, co za delikatność cieni! Najpiérw téż z pomiędzy sztuk pięknych malarstwo zakwitło w Niderlandach, a w kiełkującéj od tak niedawna literaturze, uwidocznia się wpływ wielkiéj przeszłości artystycznéj narodu w niezwykłém zamiłowaniu barwności języka i obrazowości opisu, dążenia do stworzeniu odrębnego kolorytu lub szczególniéj wyrazistości cieni duchowych. Po pamiętnym roku 1870 ruch literacki zawrzał w Belgii. „Wojna francusko-pruska—mówi Francis Nautet— uczyniła swobodniejszemi obyczaje, sposób myślenia i czucia: przyniosła świéżéj krwi do żył i świéżego powietrza do znędzniałych płuc". Dziennikarstwo rozkwita: Gustaw Lagye zakłada 1873 r. w Antwerpii pierwsze pismo artystyczne *Fédération artistique*, poświęcone przedewszystkiém malarstwu; w r. 1874 kółko studentów brukselskich zbiéra się w celu wspólnego redagowania *Journal des etudiants*; w 1875 r. powstaje: *l'Artiste*, pismo poświęcone sztuce we wszystkich jéj formach, zarówno beletrystyce, jak muzyce i malarstwu, hasłem jego: naturalność i teraźniejszość, stanowiące filozofię sztuki ówczesnéj; dziś pismo to wychodzi pod zmienionym tytułem *L'art moderne*, a na czele jego stoją: E. Picard, E. Robert i V. Arnould. 1878 r. Maes i Jerzy Eckhoud zadładają w Antwerpii *Revue artistique*, 1880 r. Emil Valentin w Mons staje u steru *Journal des gens de lettres*. W 1884 r. wreszcie występuje do szermierki pismo, mające wielką doniosłość i w dzisiejszym rozwoju artystycznym kraju; jest to *La jeune Belgique*. Publikacya ta powstała ze skojarzenia sił

wybijających się, świeżych, pełnych zapału, których środowiskiém była zarówno Bruksella, Antwerpia, jak Lowanium. Po raz to pierwszy widzimy młodych literatów, którzy szli dotychczas każdy swoją drogą, zbratanych wspólnemi celami piękna; Kamil Lemonnier zgromadził całą tę młodzież naokół siebie, widzimy tu Jerzego Eckhoud'a, Emila Verhaeren'a, Iwana Gilkina i wielu innych. Hasłem młodzieży jest: sztuka dla sztuki [1]; hasło to jest okrzykiem zjednoczenia artystów, oznacza chęć wydostania się na prawdziwe szczyty sztuki, pracowania dla niéj jedynie, z jedynym celem piękna, ideału artystycznego; odrzucono pretensyonalne formuły niepłodnych teoretyków, którzyby chcieli obniżyć sztukę do roli posługaczki jakichkolwiek doktryn. Artysta i sztuka wybili się na wolność; dano swobodę wiary, idei, zasad, temperamentu, osobowości, charakteru, z jedną jedyną dewizą: w pracy miéj przedewszystkiém na widoku namiętne i bezinteresowne poszukiwanie piękna, bądź szczery—staraj się sięgnąć ideału, który prawdziwie pociąga twe serce i włóż weń twą osobistą naturę i twe siły własne, oryginalne. Formułka ta nie krępuje żadnéj zasady, żadnéj religii, nie jest że to bezwzględna swoboda dla talentu? Odrzućmy, jako śmiertelne dla sztuki i artysty, doktryny, obowiązujące tegoż do pewnych dowodzeń i kazań. Niech prawda, dobro i piękno pozostaną każda w swéj dziedzinie, a wszystko dobrze pójdzie; śmielibyśmy się z uczonego, który by więcéj zwracał uwagi na estetykę niż prawdę; któżby śmiał obalić zasady: nauka dla nauki, cnota dla cnoty! Niechże będzie sztuka dla sztuki! Sztuka wyzuta z więzów utylitaryzmu, pedagogii, głosząca przekonania, jakie chce, filozoficzne, religijne, naukowe lub społeczne, z jedynym celem piękna, który czerpie w sobie. Oto zasady „młodéj Belgii". Sztuka dla sztuki! hasło to, często wspominane z ironią, jest wszakże najpierwszém pojęciem piękna, niezależność absolutna w estetyce, pozwalająca artyście wznieść się po nad mierny tłum, szukający pewnych utartych formułek lub linii. Precz z formułkami! niech artysta zdąża do wymarzonego piękna, które leży tam wysoko w sferach natchnienia, gdzie nikt prawideł nie tworzy, niech obiéra sobie formę, która będzie mu piękną, głuchy na protest i zdziwione wykrzyki prostaczków w sztuce. Sztuka dla sztuki! ależ to hasło najczystszego egoizmu, powié niejeden, to ślepe zasklepianie się w sobie, lekceważenie towarzystwa, społeczeństwa! do jakich celów ma więc służyć sztuka? zapytamy. Wszak nikt nie nazwie dobra egoistyczném, gdy hołdujemy mu nie w celu urojonych nagród obiecanych w raju, lecz jedynie dla zasady. Nauka, sztuka, etyka, wystarczają sobie; tak jak wszystko, co wielkie i szlachetne, noszą w sobie swój cel. Po za tym celem właściwym,

---

[1] Patrz: Jeune Belgique, 1891. Sierpień.

szczególnym, jest jeszcze cel ogólny, wszechpotężny lecz pośredni, tym celem społeczeństwo; wszystko, co się w ludzkości tworzy i rozwija, jest dla społeczeństwa, gdyż jest témże społeczeństwem; nie szukając nic po za prawdą, pięknem i dobrem, nauka, sztuka i etyka przyczyniają się pośrednio do uszlachetnienia i rozwoju społeczeństw, w których powstają.

Musimy wspomnieć jeszcze o założonéj w tymże czasie co „Młoda Belgia” *Societé nouvelle:* u steru stanęli Artur James i Fernand Brouez, a celem ich było zainteresowanie publiczności nietylko literaturą, lecz także nauką, socyologią i filozofią; chcieliby ująć wszystkie idee w jedną wielką syntezę i kierować drogę do postępu. Do dziś dnia „Towarzystwo nowe” jest najlepszym przeglądem belgijskim, wszechstronnie zasilaném współpracownictwem piewszorzędnych piór krajowych i zagranicznych. Zamilczymy o innych dziennikach, tygodnikach i miesięcznikach, które powstając w znacznéj liczbie i w rozmaitych punktach Belgii, zarzuciły w krótkim czasie kraj cały—niektóre z nich upadły, inne istnieją do dziś dnia, inne wreszcie jak: *Libre critique*, *Magasin littéraire*, *Mouvement littéraire* ukazały się zaledwie.

Przejdźmy do wieszczów.

Wpływ romantyzmu uwidocznia się w powstającéj literaturze; pierwszym romantykiem, a jednocześnie wielkim, może największym do dziś dnia geniuszem Flandryi, był przedwcześnie zmarły Karol de Coster.

Karol de Coster urodził się w 1827 r. w Monachium [1]), podawał go do chrztu hr. Mercy d'Argenteau, u którego ojciec artysty pełnił obowiązki rządcy; dzieciństwo swe do lat sześciu spędził w arystokratycznéj rodzinie hrabiego, który ukochał go niemal jak syna; po śmierci ojca umieszczono siedmioletniego Karola w pensyonacie eterbeekskim pod Bruksellą; przez długi czas wypieszczony pupil magnacki nie mógł przyzwyczaić się do rutyny szkolnéj, nieraz srogiéj i bezwzględnéj, a wiele przecierpiał, zanim pojął znaczenie obowiązku i rozkazu. Następnie po ukończeniu studyów elementarnych de Coster kształcił się w kolegium jezuickiém św. Michała; tu pod wpływem ducha religijnego i rozbudzającego się nauczycielskiego usposobienia, śnił o poświęceniu się życiu zakonnemu, które mglistym mistycyzmem nęciło artystyczną jego duszę; na szczęście nie długo trwał ten projekt, powołanie pociągnęło go na wydział literacki do Bruksełli. Piękny, zdolny i ujmujący, zdobył sobie wkrótce sympatyę świata literackiego. W 1847 r. po raz pierwszy debiutuje jako poeta: „byłem oszalały niemal z radości—pisze w swym dzienniku — doznałem zawrotu głowy, ja, com nieprzyzwycza-

1) Ch. Potrin: biographie de Ch. de Coster.

jony jeszcze do powodzenia, powiedziano mi, żem poeta, zachęcano do dalszéj pracy. Poeta! co za piękne miano! próżności, jakichże marzeń nie przesuwasz mi przed oczyma! czy im wydołam? pracować będę, a praca daleko prowadzi! pracować będę, przysięgam!...” Czas jakiś marzył nawet o katedrze uniwersyteckiéj... lecz studya, bezustannie przerywane wzlotną fantazyą poetycką, szły mu mozolnie i ledwo po wielu trudach zdołał sięgnąć stopnia kandydata. „Oby tylko nauka nie zabiła sztuki—pisze w swéj korespondencyi—nie mam ja głowy do nauk ścisłych”. Z czego był dumny jednak, to ze swéj „wielkiéj ambicyi piękna”, ze swego wzniosłego ideału, który nie pozwolił mu nigdy „z pióra zrobić narzędzia”. Wszystkie marzenia, nie związane bezpośrednio ze sztuką, pierzchły jak cienie fantastyczne wobec promieni świetlnych. De Coster znalazł swe słońce w sztuce — był już artystą. Talent jego rozwija się i dojrzéwa, pomimo „wpływu kretynizującego greckiego i filozofii metafizycznéj”.

Wydaje w tym czasie „Legendy flamandzkie”, „Opowiadania z Brabantu”, „Legendy Campiny” i inne drobniejsze utwory, które wszędzie wzbudzają entuzyazm i zasłużony zachwyt dla wybujałego talentu młodego wieszcza. Pomimo powodzenia jednak i rozkupu dzieł swych, de Coster żył w ciągłym niedostatku; nadzwyczaj dobry, uczynny, wspomagał ostatnim groszem potrzebujących — nieraz zadłużał się u przyjaciół, a... rozdarowywał pożyczone pieniądze. Zapóźno zrozumiał „okrutną wartość pieniędzy”, gdy ten brak zmysłu praktycznego nie pozwolił na związek z ukochaną kobiétą. „Mam usposobienia milionera, a rozporządzam środkami gałganiarza”—powiada. To téż życie jego, to smutna walka instynktów delikatnych, wyrafinowanych, arystokratycznych niemal, nabytych wychowaniem, z brutalném jarzmem nędzy. Zmarł 7 maja 1879 r. Arcydziełem de Coster'a, które imię jego unieśmiertelni jest „Legenda o Ulenspiegelu” *(Legende d'Ulenspiegel)*, postaci na wpół historycznéj, przyswajanéj sobie naprzemian przez Niemcy i Belgią. Czy żył i kiedy ów Sowizdrzał, dotychczas nie wiadomo, więcéj niż siedm miast sprzecza się podobno o zaszczyt nazywania się rodzinném miejscem tego słynnego urwisa, rok jego urodzin i śmierci, zarówno jak pisownia i znaczenie jego imienia, są dotychczas wątpliwe. Podanie niesie, iż był to wielki łobuz, lubiący żartować ze wszystkich bogatych a złych, wesoły towarzysz do biesiady i pijatyki, uprawiający po kolei wszystkie fachy, włóczęga, wędrujący po świecie i płatający wszędzie dowcipne figle.

Według de Coster'a Ulenspiegel urodził się w XVI-tym wieku w Damme, małém miasteczku Flandryi, ojcem jego był stary Claes, węglarz, a matką zacna Soetkin; było to na wiosnę, w tę ranną godzi-

nę, gdy słońce wychyla swą twarz purpurową z po za horyzontu: „Synu, rzekł Claes, oto jaśnie pan Słońce przychodzi pokłonić się ziemi flamandzkiéj. Patrz nań, skoro w przyszłości znajdziesz się na rozdrożu, nie wiedząc gdzie dobro, zwróć się doń po radę. On jasny jest i ciepły. Niech szczerość twa dorówna jego jasności, a dobroć jego ciepłu.” Tak przywitał Claes syna—pogodna zapowiedź nadziei, szczera i pełna prostoty; obok niéj, jak cień złowrogi przyszłych dramatów, brzmi przepowiednia wróżki Kateliny: „W téj saméj godzinie dwoje dzieci przyjdzie na świat boży, jedno w Hiszpanii to infant Filip, drugi we Flandryi to syn Claesa, nazwany późniéj Ulenspiegelem. Filip będzie katem ojczyzny, Ulenspiegel wesołym urwisem, sprytnym kręcipiętą, naprzemian doktór, błazen, rycerz, malarz, rzeźbiarz lub wszystko jednocześnie, przejdzie świat cały chwaląc co dobre i piękne, a śmiejąc się pełną gębą z głupoty ludzkiéj — będzie zawsze młody, nie umrze nigdy. Ziemio ojczysta, Flandryo! Claes jest twą odwagą, Soetkin twą matką, Ulenspiegel twym rozumem, młoda dzieweczka Nella, towarzyszka Ulenspiegel'a, twém sercem, a otyły Lamme Goedzack twym brzuchem. U szczytu stać będą zjadacze ludu, u dołu ofiary; u góry szerszenie złodzieje, u dołu pszczoły pracowite, a w niebie krwawić się będą rany Chrystusa.”

Oto „preludyum”, jak się wyraża Francis Nautet. Autor roztacza w swém dziele cały krwawy przebieg panowania Karola V-go i Filipa w Niderlandach, bunty ciemiężonych za religię i idee, rewolucyą XVI-go wieku. Jesteśmy świadkami rządów inkwizycyi świętéj, tortur, wyrafinowanych męczarni, okrucieństwa iście szatańskiego, wyzysku, grabieży, bezeceństw, scen wstrętnych swą brutalnością i niemiłosierném katowaniem. Głowy Egmonta i Horna spadają za skinieniem pamiętnego do dziś dnia wszechwładcy księcia Alby. Krwawe epizody z rewolucyi przeplata autor obrazkami spokojnego życia biédnych włościan, od czasu do czasu gnębionych i okrutnie doświadczanych.

Ulenspiegel, bohatér legendy, nazwany tak z powodu sprytu (sowa, zwierciadło) niezwykłego, z początku zbytnik i ladaco, zawsze wesoły, za bluźnierstwo zostaje wygnany na trzy lata z ojczyzny. Wędruje tedy do Rzymu po absolucyą, a że bruk mu pieniędzy, ima się po drodze najrozmaitszych fachów, lubi ciągłą zmianę — służy to u ogrodnika, to u szewca, krawca, odegrywa role malarza, rzeźbiarza, doktora, błazna, kuchcika i t. p. — z powodu figlów wydalają go zewsząd, nikt nie może dać rady z niesfornym dowcipnisiem, mimo to jednak wszyscy pragną go zatrzymać jaknajdłużéj, ceniąc jego wielki spryt i zdolność. Bo Ulenspiegel nie jest pospolitym łobuzem: jestto natura głęboka, dobra, litościwa; krotochwilny, nie może oprzéć się pokusie

zakpienia z głupoty ludzkiéj, wprawiania w kłopot butnych, pustych, próżnych, a témbardziéj wyzyskujących, złych lub egoistów. W żartach jego tkwi zawsze poważna prawda, a dowcipy mają na celu dobro krzywdzonych i biédnych. Jestto błazen-filozof, pozór dowcipnisia, dusza myśliciela, symbol rozumu Flandryi. Wędrując tedy od chaty do pałacu, od szynku do kościoła, pielgrzym nasz wraca z Rzymu do ziemi ojczystéj. Tu płoną już krwawe stosy pochłaniające heretyków, izby przepełnione są nieszczęśliwemi, płacz i bunt wszędzie, najniewinniejsi padają ofiarą. Jesteśmy świadkami scen dramatycznych inkwizycyi, podobnych do tych, które wielki Goya pędzlem swym uniešmiertelnił: tu Claes, ojciec Ulenspiegela, ginie na stosie; tam Katelina, wróżka, kilkakrotnie torturowana, dostaje pomieszania zmysłów, wreszcie Soetkin, zacna matka, i Ulenspiegel dostają się w ręce oprawców. Ulenspiegel chce pomścić Claes'a. W tym celu brata się ze spiskowcami, świadczy niezliczone przysługi uciemiężonym, wydaje zdrajców, staje na czele bójek, przedziera się po przez szwadrony nieprzyjacielskie z poselstwem do swoich, naraża się wielokrotnie na śmierć niechybną. lecz wychodzi zawsze zwycięsko z najtrudniejszego położenia, dokazuje cudów, zawdzięczając ocalenie wrodzonemu rozumowi i dowcipom.

W przeciwstawieniu do téj ewolucyi duchowéj syna wieśniaczego, kreśli autor rozwój moralny Filipa, późniejszego króla: dzieckiem unikał światła, słońca i ludzi, błąkał się zwykle po ciemnych korytarzach i kryjówkach, zawsze sam; największą przyjemność sprawiało mu męczenie zwierząt, palił na wolnym ogniu przyswojone pokojowe małpeczki, lub zwabiał słodyczami muchy, aby je w palcach tysiącami rozgniatać. Jako monarcha wreszcie, staje się wielkim inkwizytorem Flandryi.

Zarzucano nieraz de Coster'owi stronność historyczną: czuć w nim demokratę; między innemi Karol Potvin uważa, iż w zbyt niepochlebném świetle przedstawił panujących, szczególnie Karola V-go. Francis Nautet zbija te zarzuty, opiérając się na ciekawéj pracy Alfreda de Ridder'a, opisującéj „dwór Karola V-go"; krytyka pana Potvin wydaje nam się témbardziéj bezzasadną, iż De Coster wymienia dzieła historyczne, a całkowicie wiarogodne, z których czerpał szczegóły życia i panowania wyżéj wymienionego monarchy.

De Coster wiernie przedstawił w swém dziele Flandryę wieków średnich: ciemne sceny inkwizycyi, prześladowanie patryotów, gwałcenie idei, przeplatane obrazkami z życia duchownych, opisami procesyi i różnych innych ceremonii religijnych, duch nietolerancyi i fanatyzmu z jednéj, oporu i buntu z drugiéj strony—wszystko to urozmaicone sce-

nami pełnemi humoru i werwy, trywialnego komizmu i dowcipu, scenami biesiad niebywałych i fantastycznych pijatyk, hulanek i rozpusty, a obok obrazki pełne uczuć prostych, świetlanych, subtelnie melancholijnych, sielanki tchnące naiwnością. Widzimy tu wszystkie kasty, stany i wszystkie typy: straszne, niemal karykaturalne lub wdzięczne i naiwne, jowialne i wesołe, dobroduszne typy żarłoków, jak ów Lamme Goedzaek, typy pijaków, bohatérów, mnichów, księży, zdrajców, żołnierzy, dziewic, rozpustnic, czarownic. Widzimy też same brutalne i rozpasane sylwetki, które tak mistrzowsko oddali Steen, Teniers i Brauver, lub obrazy z życia, gdzie bachanalia dochodzi szału, jak w „Kiermaszu" Rubensa. Śliczny szkic Gilkiny, wdzięcznéj zdrajczyni, pięknéj jak marzenie, zwabiającéj kochanków w celu wydania ich w ręce oprawców, stanowi kontrast obok zadumanéj Nelli, poświęcającéj wszystko dla ukochanego i ojczyzny — wszak Nella symbolizuje serce Flandryi.

Opowiadanie o Ulenspiegelu przeplecione jest drugą opowieścią, całkiem fantastyczną: „legendą siedmiu" — tajemniczych s i e d m i u, których odnalezienie zbawić miało ojczyznę. Zobaczmy, na czém polega ta legenda.

Ulenspiegel i Nella pod wpływem czarodziejskiego napoju, danego im przez wróżkę, stali się we śnie świadkami sabatu duchów wiosennych; tu autor wprowadza nas w krainę fantastyczną, na zimną gwiazdę Syryusza, pokrytą lodowemi skałami, nad któremi panuje olbrzym—Zima. Dokoła olbrzyma spoczywającego na miękiém posłaniu śniegowém, leżą zeschłe liście i kwiaty i wszystko zda się drzémać, skamieniałe, zmrożone. W tém huk straszny powstaje między ścianami lodowemi, a te powoli rozdzierają się i zaczynają topnieć. Olbrzym-Zima szuka daremnie serca ziemi, aby je zlodowacieć; białe niedźwiedzie ryczą przeraźliwie, a foki skarżą się w wodach ponurych. Lody runęły... z chmur zstąpił piękny młodzieniec Lucyper-Wiosna; Olbrzym-Zima zbladł na jego widok i prosić począł o darowanie mu życia, lecz tylko pod wpływem ciepłego oddechu króla-wiosny, siły opuściły olbrzyma-Zimę, a król-wiosna łańcuchami przykuł go do bieguna; na jego rozkaz zstąpiły z chmur leśne duchy i duchy wód, dziewanny i świtezianki, geniusze wiatrów, deszczów i urodzaju — ziemia pokryła się roślinnością i kwieciem, przestrzeń rozweseliła śpiewem ptactwa i brzękiem owadów, a dokoła rozbrzmiała pieśń: chwała i cześć królowi wiosny, chwała słońcu i ciepłu! chwała i cześć życiu, chwała sile i przyrodzie!... wreszcie zwracając się do Ulenspiegela, grono dobroczynnych duchów zaśpiewało chórem: „po przez wojnę

i ogień, śmierć i głód, szukaj siedmiu! skoro północ obejmie zachód, koniec będzie ruinom! znajdź siedmiu!...”

Siedmiu pozostało zagadką dla Ulenspiegela, daremnie silił się o jéj rozwiązanie; daremnie szukał tych siedmiu! w pogoni za niemi oddał ojczyznie rozliczne przysługi, lecz sam nie doszedł tajemnicy. Wreszcie dowiedział się od tychże samych duchów i pod wpływem tegoż samego nasennego napoju, że Flandrya zostanie ocaloną, gdy pycha zamieni się w dumę, skąpstwo w oszczędność, złość w prędkość, obżarstwo w apetyt, zazdrość w czynność, lenistwo w zadumę, rozpusta w miłość; gdy północna Neerlandya złączy się z Belgią zachodem...

Zarzucono de Coster'owi wprowadzenie pierwiastku politycznego w rozwiązanie poetycznéj legendy sabatu duchów wiosny. Nie uważamy wszakże, aby szkodziło w czémkolwiek pięknu, wszak polityka i historya stanowią rusztowanie, na którém poeta zbudował całe swe dzieło; dobroczynne duchy lub bóstwa interesujące się sprawami i losem narodu, biorące nawet udział w polityce, nie stanowią bynajmniéj nowości sprzecznéj ze sztuką—epopee starożytne dają nam wybitny tego przykład.

„Legenda o Ulenspiegelu, powiada Kamil Lemonnier, to streszczenie wszystkich uczuć i energii Flandryi” — jestto rzeczywiście biblia tego kraju, epopea niemal drgająca geniuszem staréj Flandryi, odtwarzająca wszystkie jéj najsubtelniejsze i brutalne tętna, szeroki obraz obejmujący całokształt życia ówczesnego; dzieło to zostanie nieśmiertelne, jak nieśmiertelnym jest geniusz Flandryi, gdyż Ulenspiegel jéj rozum „może zasnąć, lecz umrzéć—nigdy!”

Talent de Coster'a, to z pozoru talent jasny i barwny, wesołość ta pokrywa jednak wiele melancholii, smutnéj prawdy i zadumy; łzawy uśmiéch, świetlny krajobraz z widniejącemi u horyzontu chmurami, to wiosna roztaczająca swe delikatne i radosne barwy na chmurném niebie, to zapowiedź szczęścia wśród bólu, dysonans wśród uciechy — autor nasz lubuje się w kontrastach. „Subtelna melancholia, smutek wyszukany, które poruszają najgłębsze struny serca... cała sztuka w nich leży”—pisze w swéj korespondencyi.

Wybujała fantazya zwraca go przedewszystkiém do baśni ludowych, legend, tematów mytycznych — tu talent jego sięga szczytu; wśród świtezianek i dziewann, geniuszów i duchów, wśród lasów nieprzebytych, bogatéj dzikiéj przyrody, autor nasz jest panem swego pędzla, czaruje subtelnością i rozmaitością cieni i odcieni. Przytém barwny język i forma jemu tylko właściwa, stanowią jego oryginalność i wielką zasługę literacką: legenda o Ulenspiegelu, jako obraz rewolucyi XVI w.,

pisana jest s t y l e m staro-francuskim. Francuzczyzna XVI w. i początku XVII w. była w jego mniemaniu bogatą paletą, bogatą w zwroty popularne, często grubiańskie lecz dosadne, pełne, dźwięczne, — nie brakowało jéj wszakże tonów wyrażających wzniosłe myśli i delikatne lub naiwne uczucia. Pełna zwrotów zgrabnych, niemal uroczych, starofrancuzczyzna przypadła do gustu naszego poety.

W zeszłym roku dokonano ekshumacyi zwłok de Coster'a — ziemia na grób wieszcza nie została zakupioną i trzy już osoby nad nim były pochowane; rodzina, przyjaciele i kraj cały uznali wreszcie, iż należy uczcić pamięć wielkiego poety i ofiarować mu kąt spokojny, a własny na cmentarzu ikselskim. Zaprojektowano nawet wzniesienie pomnika na jednym z placów brukselskich; kilku rzeźbiarzy rozpoczęło próby, między innemi zwraca uwagę szkic dłuta Karola Samuel'a, przedstawiający grupę głównych alegorycznych postaci legendy; na pierwszym planie rozum i serce Flandryi, Ulenspiegel i Nella połączeni uściskiem, obok Soetkin i Lamme Goedzaek, u stóp legendowa sowa i źwierciadło.

Romantyzm, tak żywo drgający jeszcze w sercu wielu poetów, należy wszakże do przeszłości; młodzi, idąc z duchem czasu, głoszą w ojczyźnie de Coster'a hasła nowych dążeń w sztuce, tak licznych z końcem naszego stulecia.

Wśród powieściopisarzy zwraca przedewszystkiém uwagę, urodzony w Bruksélli 1845 r., Kamil Lemonnier, przywódca naturalizmu w beletrystyce belgijskiéj. Początkowo zamierzał oddać się zawodowi adwokackiemu, lecz w krótkim czasie rzucił rozpoczęte studya i zamieszkawszy w uroczéj miejscowości (La Hulpe), wśród lasów i jezior, wziął się do pióra; tam w cichéj samotności stworzył większą część swych powieści lub krytyk artystycznych. Lemonnier jest przedewszystkiém malarzem, malarzem pióra, kolorystą; obrazki z życia, opisy natury lub charakterystyka osób, nabierają w jego ręku kształtów tak plastycznych, barw i tonów tak urozmaiconych, że czytającemu zda się, iż widzi sztychy pędzla zdolnych kolorystów; proza ta wydaje się ilustrowaną. Ogromna umiejętność wywołania obrazów! Jestto wszakże talent zbyt gruby, pociągnięcie pędzla jest szerokie i śmiałe, lecz brak mu subtelności, nie ma cieni i odcieni przejściowych; daremnie szukalibyśmy tu filigranowéj rzeźby — „wielkie bogactwo najszczególniejszych przymiotników, mówi Bertrand Lazare, i słów purpurowych, oryginalnych, układają się pod piórem Lemonnier'a w mozajkę, podobną do m o z a j k i b r u k o w é j, któréj brak finezyi i wdzięku.” Lemonnier jest wszakże twórcą tego kolorytu mozajkowego; znalazł nawet licznych naśladowców.

Jedna z pierwszych powieści tego powieściopisarza, napisana 1871 r., „Sedan" (wydana także dziesięć lat późniéj pod zmienionym tytułem: „Kostnica"), jest zbiorem obrazków z wojny, kreślonych na sposób epiczny. „Jestto jeden z najdosadniejszych pamfletów napisanych kiedykolwiek przeciw wojnie", powiada Huysmans. Daremnie szukalibyśmy tu frazesów i dowodzeń; obrazowością jedynie autor budzi grozę i nienawiść do strasznéj plagi, pociągającéj za sobą tyle dramatu. W r. 1881 K. Lemonnier wzbogacił literaturę dwoma pracami: *Le mâle* (samiec) i *Le mort*; pierwsza jest naturalistycznym opisem rozwoju instynktów miłosnych na łonie przyrody, w zapomnieniu świata i ludzi, wśród pól i lasów, kwiecia i zieloności. W „Umarłym" przedstawia psychologiczne męczarnie, wywołane wspólnie popełnioną przez dwóch braci zbrodnią w celu grabieży: wzajemna nienawiść budząca się wśród dusz dotychczas zgodnych, nieufność, podejrzliwość, skąpstwo, chciwość, chęć posiadania na własną rękę zrabowanych skarbów, strach wykrycia zbrodni, nocne zjawianie się upiora, rodzącą się zbrodniczą chęć usunięcia wspólnika mordu, wreszcie śmierć okropną we wzajemnéj bratobójczéj walce.

W *Thérèse Manique* z r. 1882 daje nam autor kilka doskonałych obrazków z życia prowincyonalnego klasy mieszczańskiéj, po za tém nie widzimy zgoła wielu zalet w téj nudnéj i rozwlekłéj powieści. W *L'Hystérique* z r. 1885 przedstawia świątobliwą zakonnicę, „siostrę Pokorę", rodzaj świętéj Teresy, obdarzonéj dziwną łaską jasnowidzenia; bardzo naturalistycznie przedstawia Lemonnier fizyologią tych jasnowidzeń, potrąca przytém o hypnotyzm i suggestyą. Razi tu brak subtelności, autor ani pojąć, ani oddać nie umié strony duchowéj, wzniosłéj, poetycznéj, niemateryalnéj, uciech wiary. *Ceux de la glèbe* (Pracownicy ziemi) z r. 1889 stanowią zbiór nowel, których duch i treść ogólna wiele mają wspólnego z „Ziemią" Zoli. Jestto zbiorowisko brudów, o których trudno zaiste pisać; Lemonnier okazuje się w nich o wiele jaskrawszym jeszcze naturalistą w brutalném tego słowa znaczeniu, niż mistrz z Medanu—prześcignął wszystkich. Inną powieść: *Happe-chair* dedykował nawet Zoli, „obadwaj badaliśmy w tymże samym czasie cierpienia ludu, pisze, pan opracowałeś życie biédaków trawiących swe istnienie w kopalniach węgla, ja wziąłem za temat kuźnię. Gdyś pan pisał *Germinal*, jam kończył *Happe-chair*. Przyjm pan dla upamiętnienia téj wspólności naszych spostrzeżeń tak nieraz okrutnych, niemniéj jak i w dowód méj literackiéj przyjaźni, dar, który składam z téj książki." Dziwne jednak, iż owa spostrzegawczość p. Lemonnier'a nie po raz to pierwszy nasuwa mu też same tematy, lub tematy podobne do tych, które Zola wybiéra do swych po-

wieści. Mniejsza zresztą o temat, czy jednak wspólność natchnienia miałaby także stać się powodem opracowania idei, stylu, porównań, barw podobnych, choć o wiele grubszych i cięższych u Lemonnier'go, niż u Zoli? *Madame Lupar* z r. 1888, *Le possédé* (Opętany) z r. 1889, *La fin des bourgeois* z r. 1892, *Claudine Lamour* z r. 1893, są także powieściami naturalistycznemi; w „Opętanym" analiza dyabolizmu zbliża się wielce do podobnych studyów Huysmans'a, w „Końcu burżuazyi" widzimy nawet całe sceny przypominające nam żywcem *Au rebours* tegoż autora. Przytém dzieło to jest syntezą poglądów Zoli na dziedziczność, które mistrz ten sformułował w „Doktorze Paskalu", i do pewnego stopnia skróceniem, objęcie w jedną powieść całego cyklu *Rougon-Maquart*'ów... *Claudine Lamour* za to jest wielce oryginalną opowieścią, pełną dowcipu, lekkości, finezyi, wziętą z życia artystki, diwy ubóstwianéj przez kapryśny Paryż i równie prędko zapomnianéj, skoro minęła moda — mówią, iż jestto sylwetka Ivetty Gilbert, któréj dwa lata zaledwie temu wielka stolica Francyi składała swe hołdy królewskie.

W odmiennym guście skreślił Lemonnier tom nowelek zatytułowanych: *Noëls flamands* (Kolędy flamandzkie); tu opiewa życie mieszczańskie lub wieśniacze, spokojne, bogobojne i naiwne. Jestto bezwątpienia najpiękniejsze dzieło tego powieściopisarza; harmonia, cicha estetyka zdaje się łagodzić i koić duszę podrażnioną poprzedniemi utworami tego samego pióra; przytém nowelki te noszą piętno ludowe życia flamandzkiego, duch naiwny staréj Flandryi wyziera z tych kartek łagodnéj poezyi. Zachwycające są drobne opowiadania, których bohatérami są dzieci, jak *Fleur de blé*, umierająca w dzień uroczystości świętego Mikołaja, gdy cel jéj marzeń, upragniona lalka, leży tuż koło niéj, lub biédny ów grajek, skrzypek z obcych krajów południowych, przybłęda, dogorywający z zimna i głodu w samą noc wigilijną, kołysany snami złotemi o pałacach cukrowych.

Co za świetna charakterystyka postaci tak żywych prawdą w „Dobrych przyjaciołach" lub „Herbacie méj ciotki Michaliny". Wszystko tu tchnie świeżością, szczerością bezgraniczną, atmosfera dobrotliwości, pokory, cichego, domowego szczęścia, nieświadomość grzechu. Trudno zaiste poznać w tym zbiorku autora „Pracowników ziemi."

Dames de volupté stanowią zbiór nowelek pisanych w tak odmienny sposób, że jeszcze trudniéj chyba poznalibyśmy w nich autora „Kolęd flamandzkich" lub „Umarłego". Między innemi znajdujemy tu słynne opowiadanie o tajemniczym zabójcy kobiét, „rozpruwacza" londyńskim, które tyle hałasu narobiło w Belgii i Francyi. Lemonnier

oskarżony o obrazę przyzwoitości publicznéj, stanąć musiał niedawno (16 października 1893 r.) przed sądem brukselskim i bronić osobiście i przy pomocy kolegów i adwokatów moralności swego „Człowieka zabijającego kobiéty”. Sąd uniewinnił wielkiego powieściopisarza. W noweli téj Lemonnier skreślił psychologię pierwszéj rozpustnéj zbrodni, wywołującéj cały ich szereg; autor, zwolennik fatalizmu, uniewinnia bohatéra opowieści, a współczując otacza go niemal aureolą męczeństwa. Zasada bezwzględnego determinizmu, a raczéj fatalizmu, któréj hołduje Lemonnier, nabawiła go niemałego kłopotu, w niéj to bowiem w mniemaniu etyków z pałacu sprawiedliwości leży cała niemoralność opowieści. Równie niesympatyczne są inne nowelki z tegoż samego zbioru (miłość w śmierci, lub szczęście w pragnieniu), zadziwiająca niezdrowém wyrafinowaniem. Autor występując tu jako szermierz dekadentyzmu, starał się przystować formę do treści, lecz mimo pretensyi do finezyi i wybredności styl jego jest ciężki, małoobrotny, ciemny, zawiły, irytujący brakiem wzlotu lub powabu, na które daremnie sili się autor tak znakomicie obeznany z efektami realizmu. Zaiste, mistyczne zaklęcia, wzywanie „nieznanego” lub „absolutu”, wzlot do potęg tajemniczych, dziwnie brzmią pod piórem zdolném do „mozaik brukowych”.

W końcu zbiorku znajdujemy bardzo ciekawy artykuł (*Esthétique*), ciekawy, gdyż odźwierciedla nam duszę artysty i jego mniemanie o sobie: „moi przyjaciele jednostrónowce, powiada, zarzucają mi, iż nie zasiadam na żadnym fotelu, w żadnéj określonéj akademii. Nie chcę siać saméj kapusty w mym ogrodzie, lub być podobny do krowy szczypiącéj trawę na okół kołka, zapuszczam się w rozmaite okolice i nie pozwolę się skatalogować pod żadną etykietą. Moje ziemie rozciągają się tam, gdzie poluję, czekam swéj zdobyczy, gdzie słońce rzuci cień mój przedemną. Widziałem ciężkie, zabłocone trepy wieśniacze i spoconą bluzę robotnika. Macałem wnętrzności zwierzęcia, a ekskrementy jego śmiało złożyłem na stos u stóp muru społecznego. Wymknąłem się od klasyfikacyi. Dotknąłem rękami białego anioła, co mieszka w duszy dziecka — nawiedziłem dobre dusze, nieznające grzechu. Po roślinach trujących zasadziłem w mym ogrodzie trawy lecznicze. Nastąpiło rozczarowanie; klucza nie było u mych drzwi, a raczéj zmieniłem zamek. Wymknąłem się od skrystalizowania; dożywotne nasiąkanie alkoholem w obrębie szklanego słoja nie licowało z zachciankami mego kapryśnego humoru. Nazwano mnie kameleonem, lub cyrkowcem przesadzającym naraz kilka siodeł! ach! w literaturze nawet, własność jest rozparcelowana. Balzac, rozpościerając ramiona na cztery strony horyzontu, mógł dumnie wykrzyknąć: To

wszystko moje! lecz dziś najsilniejsi karczują tyle przestrzeni, ile zasięgną łopatą. Ich praca nie sięga wyżéj kopca, który ciągle rozkopują i rozsypują, dopóki ziemia pod lemieszem nie rozdrobni się na pył cienki. Dawniéj, dzieło było obszernym okrętem rozpinającym swe żagle po przez atlantyki, zdążającym do krain coraz dalszych. Dziś jestto prom, który odbywa przejażdżkę z jednego brzegu na drugi, od wydawcy do czytelnika. Otóż, ja buntuję się przeciw temu kupieckiemu pojęciu osobowości. W każdém dziele artysta powinien rozpocząć genezę, każde winno być wysiłkiem innego człowieka, a złożone te osobowości, modelowane na wzór nieskończoności spraw ludzkich, zlewają się wreszcie w rodzaj cyklicznéj i wielkiéj nieosobowości... Zrobiłem z mego umysłu dom, którego okna otwierają się na purpurowy zachód i miękkie jasności księżyca. Czyż powiecie, żem władca bez państwa?... W dniu, w którym zrezygnowany do zamknięcia się pan w małém ogrodzeniu, nie będę już patrzał tam, na daleki horyzont, gdy zamkną trumnę nademną... mój mózg, jak sér, zjedzą robaki."

Pan Lemonnier zbyt pochlebnie tłómaczy swe błędy, przekształca je niemal w zalety. Piękny to frazes owa szerokość artystyczna sięgająca we wszystkie horyzonty... naturalizmu Zoli, dyabolizmu Huysmans'a, wyrafinowania dekadentów. Czy nie piękniéj jednak, zamiast sięgać po cudze horyzonty, stworzyć sobie jeden, ale własny i nowy? W tém zapewne leży sztuka. Wszystkiém się zachwycać, należéć do wszystkich obozów, składać hołd każdemu bóstwu, znaczy tyle, co nie miéć indywidualnéj duszy artystycznéj, prawdziwie oryginalnego ideału artystycznego, ani osobistego poczucia piękna. Już bracia Goncourt'owie wypowiedzieli podobne przekonanie, nie jest to bynajmniéj nowością. Więcéj ma wartości artystycznéj dzika i ciernista drożynka nieznana, lecz własna, niż udeptane ścieżki; po nich to jednak zwykł uczęszczać p. Lemonnier (zarzut ten spotyka go nie po raz pierwszy), a co gorsza, że mimo znakomitego talentu przystosowania i oryentowania, błąka się po tych ścieżynkach, aby w końcu wrócić na ubity gościniec naturalizmu. Tu jest u siebie, obeznany, śmiało i pewnie zdąża do celu; ogrzany myślami ogólnoludzkiemi, opisuje wszelkie przywary i brudy społeczeństwa źle urządzonego, kierowanego nietrafnie, jego nędzę i cierpienia, zbrodnie i występki, czasem dla kontrastu roztoczy cały szereg obrazków z życia ludzi, pochodzących jakby z innego świata, gdzie zepsucie nie położyło swych szponów, a robaki zgnilizny nie rozpoczęły rujnującego gospodarstwa. Lemonnier jest głęboko przejęty swą misyą społeczną.

Bardzo sympatycznie przedstawia się autor *Happe-chair*, jako krytyk sztuki. Nadmieniliśmy, iż talent malarza-kolorysty stanowi

główną ozdobę jego dzieł literackich: maluje piórem; zna się téż istotnie na pędzlu, może nawet chybił powołaniu. Jego „Malarze życia” (*Les peintres de la vie*) wydane 1888 r. zostaną cennym zabytkiem w literaturze sztuki. Hasłem jego: naturalizm, teraźniejszość i narodowość; nie lubi realizmu, uznając mimo to jego znaczenie historyczne, ważne z powodu wywołanéj reakcyi przeciw pretensyonalnéj sztuce arystokratycznéj i sentymentalnemu artyzmowi mieszczan. Realizm, według niego, jest ślepém zamknięciem się w obrębie materalnéj rzeczywistości, rzut oka jego jest ścisły, lecz nie sięga głęboko i zacieśnia horyzonty — kolory i linie, jakich używa, są prawdziwe, nie pragnie żadnych upiększeń, ni zmian żadnych. Naturalizm jest realizmem powiększonym, rozszerzonym przez studya nad środowiskiem i baczenie na skutki — to cała filozofia, któréj źródła tkwią w biologii, zoologii, antropologii i naukach społecznych. Naturalizm zdąża od osobnika do typu, a od jednostki do towarzystwa; on to wprowadził do sztuki „inteligencyą”, wszak sztuka, mówi E. Zola, jest zakątkiem przyrody widzianym po przez temperament.” Ten pierwiastek osobistego temperamentu i inteligencyi stanowi wyższość naturalizmu nad realizmem. Cóż może być piękniejszego w malarstwie nad portret! opowiedzieć życie ludzkie, odsłonić umysł, zgadnąć charakter, uchwycić duszę! co za wielkość! zaiste, tak głęboko nie przejąłby się malarz-realista swą rolą, daleki od uważania siebie za „sędziego” lub „spowiednika”, wszak dla niego „głowa” to kawał materyi do odmalowania, należy ją skopiować z zachowaniem tych samych linii i kolorów. W mniemaniu Lemonnier’a, portrecista winien być przedewszystkiém człowiekiem uczciwym, gdyż inni powierzają mu swe życie. Teraźniejszość (modernizm) stanowi wielkość sztuki i jéj znaczenie historyczne, „bądźcie z waszego wieku”, woła autor, wszak już Schiller powiedział, iż „kto nie jest ze swego czasu, nie będzie należał do wieczności.” Cała sztuka leży w tém pojęciu wieku, w rozumieniu jego umysłu, jego wielkości i stron słabych. Na tém polega prawdziwa sztuka historyczna, i artysta odtwarzając w ten sposób swój wiek będzie jednocześnie jego historykiem i poetą. Trzeba, żeby wiek mówił, głosił, walczył, kochał i modlił się przez szerokie usta sztuki, otwarte na wszystkie krzyki, wszystkie entuzyazmy, wszystkie nauki. Dzieło sztuki jest katedrą, amfiteatrem, salą kliniczną, polem bitwy, szkołą — formy zmieniają się nieskończenie, przystosowując się do wszystkich uczuć, do wszystkich myśli. Czuć i wzbudzać czucie — oto sztuka. Z tą potęgą w sercu i umyśle, wszystko jest dla niéj możebne. Sztuka jest pomocnicą nauki, wyprzedza ją przeczuwając skutki, kreśli jéj drogę... Lemonnier przypisuje sztuce misyę społeczną wielkiéj doniosłości — może nawet

zbyt wielkiéj — potrafi jednak pogodzić te zasady z hasłem „sztuka dla sztuki", którego jest jednym z najbardziéj zapalonych obrońców.

Pośród świetnie skréślonych sylwetek malarzy francuskich: Courbet'a, Millou'a, Corot'a, Rousseau'a, Chaplin'a, Stevens'a potrąca autor o kwestyę malarzy „potrzebnych" lub „niepotrzebnych" społeczeństwu. Potrzebnymi nazywa tych, którzy potrafili wyrazić pewne strony duchowe swéj epoki, tych, co zostawili po sobie ślad niezatarty, tych, co odzwierciedlili wzruszenia i uczucia swych spółczesnych. Sztuka winna być narodową, teraźniejszą, konkretną, powinna wyrażać myśli spółczesne, mówić językiem krajowym. „Aby teraźniejszość stać się mogła starożytnością, trzeba, aby wiało od niéj tajemnicze piękno życia".

Niepotrzebni są ci artyści, którzy nic nie przynoszą ze sobą, ani wzruszenia ani myśli żadnéj, nie znają namiętności, nie widzieli nic naokół siebie, żyli bez życia, nie mają nic do powiedzenia, nie mają ani ojczyzny ani ogniska, obojętni na teraźniejszość, w niezgodzie z ludźmi, nie zwierzyli swéj duszy przed nikim i nie pomogli nikomu zajrzéć we własne serce. „Imię ich legion", rasa *comis-voyageurs*'ów, odbywają swą pracę bez gorączki, bez zamiłowania, letnia woda płynie zamiast krwi w ich żyłach — pracują, kiedy chcą, przestają pracować, kiedy chcą—zamiast myśli, mają recepty.

Pisząc o Salonie paryskim z 1884 r. wspomina Lemonnier o Janie Matejce, którego „Hołd pruski" zrobił potężne wrażenie na naszym krytyku. Wielki ten malarz nie da się zakwalifikować do żadnéj kategoryi; jego artyzm gwałtowny, dziki, dekoracyjny, bez gustu i wymiarów, musiał wzbudzić we Francyi wstręt niezwyciężony — jednakże w swoim guście, przyznaje Lemonnier, jest to dzieło wyższego polotu— artysta wkłada w nie tyle potężnego indywidualizmu, iż poznać zeń łatwo duszę i aspiracye rasy. Tłum osób, przepych i pompa dekoracyi, układ całego obrazu, każą zaliczyć to płótno do dzieł romantyzmu do kawałków pełnych hałasu i wystawności. Jestto zamęt ludzi i koni, rycerzy o powiewających piórami kitach, chorążych, wszyscy w strojach historycznego karnawału; kolory zielone, błękitne, żółte wrzeszczą tu przeraźliwie wpośród akordów czerwono-ognistych szat i dekoracyi, wzniecających odblaski pożaru. Z całéj téj barbarzyńskiéj dysharmonii unosi się jednak wrażenie tłumu, które chwyta za serce: zdaje się, iż artysta chciał odmalować wrzask tłuszczy — bez rozumowania widz jest porwany. Nic tu nie ma dla radości oka—chwilami nawet gwałtowność tonów dochodzi do dzikości iście polynezyjskiéj — jest tam jednak a t m o s f e r a

historyi i ludzkości, uwydatniona gestem i barwą z talentem, któremu nie dorównał żaden z malarzy pseudo-historycznych Salonu.

O Brożiku wyraża się nasz krytyk, iż zachowuje tylko pozory ucywilizowanego, tyle w nim zamiłowania do błyskotliwości, tonów efektownych i krzyczących, do szkiełek kolorowych. Więcéj przypada mu do gustu Chełmoński, bardziéj wyrafinowany, uzdolniony zgrabnością i subtelnością sztuki francuskiéj.

Kończąc ten pobieżny szkic, nadmieniamy, że po ostatnim zbiorku nowel *Le Bestiaire*, wydanych w lipcu 1893, autor nasz z szybkością godną podziwu skréślił tom szkiców z Holandyi (*Esquises hollandaises*), które niebawem pojawią się w druku. Niezmierne bogactwo materyału i płodność niebywała! Tak jak Rubens, Lemonnier jest niewyczerpany.

Obok Kamila Lemonnier'a widzimy wielu innych pisarzy, walczących w szrankach naturalizmu lub nowszych kierunków sztuki; mistyczny Demolder, nerwowy Eckhoud, filozoficzny Picard zasługują na szeroką wzmiankę, lecz ramy niniejszéj pracy pozwalają nam wymienić jedynie ich nazwiska. W kierunku dramatycznym, niewiele dotychczas uprawianym w Belgii, wybił się znany i w naszym kraju Maurycy Maeterlinck.

Urodzony w Gandawie 1862 r. M. Maeterlinck zasłynął w młodzieńczym wieku jako talent odrębny i dziwny. „Ślepi", „Intruz" „Siedm kiężniczek", jednoaktowe obrazki dramatyczne zwróciły wnet uwagę świata literackiego. Jedni uznali mistrza za geniusza, inni za obłąkanego; jedni przecenili, drudzy nie zrozumieli. Istotnie bezsensownemi wydać się muszą rozsądnemu *bourgeois*, niewidzącemu nic po za obrębem wygodnego łóżka i dobrego obiadu, suto zapitego piwem, te niepokojące postaci targane bezustannie złowrogiém przeczuciem, zdążające niewiadomo dokąd, niewiadomo skąd przybyłe, przygniecione ciężarem nieubłaganego fatalizmu, przesuwają się jak we śnie hypnotycznym ciche i nieświadome, tajemniczo pociągnięte przez zagadkowe magnesy, zdążają do przestworza nicości. Przypatrzmy się tym dziwnym utworom newrozy.

Intruz, to śmierć, kusicielka, zdradziecko i zcicha zabiérająca swą ofiarę. Niemoc walczenia z absolutem, nieodzowność, nieodwolalność tego co stać się musi, niemożebność zaradzenia złemu nieochybnemu — wywołanie tych uczuć było snać zadaniem autora. Od początku do końca atmosfera niepokoju, przeczucie nieszczęścia krąży jak czarny ptak nad osobami dramatu — daremnie rozsądni usiłują od pędzić natręta... po cóż te strachy i zabobony? czy nie lepiéj zwrócić się do jasnych stron życia? Daremnie — wróżby złowrogie coraz bardziéj

szarpią sercem niespokojném: „Skoro choroba weszła do domu, zdaje mi się, iż nieznajomy przebywa wśród rodziny" — mówi pradziad. Ślepy ten starzec okazuje się jasnowidzący — on czuje kogoś obcego, intruza między swoimi, słyszy, iż strach ich ogarnął, że drżą, czuje bladość ich twarzy. Czemu nie powiedzą prawdy, ani co widzą, czemu oszukują go, biédnego starca ślepego? Ktoś obcy tu wszedł i zasiadł między nimi... Któż to? kim jest ten przybysz? czego żąda?... Niepokój wkrada się do serc najmężniejszych, występuje z coraz to większą siłą, rozstraja nerwy, przygniata mózg, wpija swe szpony coraz to mocniéj i natarczywiéj, wreszcie ogarnia duszę. Północ bije—słychać pośpieszne, zagadkowe czyjeś stąpanie... Śmierć jest tu! — dokonała dzieła [1]).

W „Siedmiu księżniczkach" *(Les sept princesses)* ta sama myśl przewodnia, to samo dążenie do symbolizowania śmierci, widma prześladującego każde istnienie, wiernego cienia, co po długiéj walce ze słońcem życia gasi je wreszcie: na białych marmurowych wschodach, wsparte na białych poduszkach, w białych atłasowych sukniach śpi, trzymając się za ręce siedm białych księżniczek, pięknych jak marzenie—dokoła palmy i laury — w dali po przez okna oranżeryjne widać ponury krajobraz północny, olbrzymie drzewa, lasy niebotyczne, ciemne wody głębokiego kanału połyskują tajemniczo w zmroku, maszty okrętowe majaczeją, podobne szubienicom. Czemu śpią one? z dalekich południowych krain przybyłe, nie mogą zżyć się z chłodem północnym — zamek jest tak stary, wilgotny, dokoła niezdrowe trzęsawiska, a drzewa wiekowe nie dopuszczają promieni słonecznych; one, tęskniąc za słońcem... śpią ciągle. Nie można ich zbudzić — daremnie dziadkowie, stary król i królowa stukają do drzwi i okien (cała prawie akcya odbywa się po za oknami oranżeryi), wciąż śpią; starzy niepokoją się, złe przeczucie wdziéra się natrętnie... Przyjeżdża królewicz — trzeba je zbudzić — stukają ponownie do okien, wzywają po imieniu uśpione księżniczki — nic nie pomaga. Wreszcie królewicz dostaje się przez ukryte wejście do oranżeryi (tu dopiéro zaczyna się akcya na scenie), staje przed wschodami marmurowemi, wzywa księżniczki, aby wstały... ruchem majestatycznym sześć z nich się podnosi, olśnione, spoglądają na królewicza, siódma, nieświadoma wybranka jego serca, ta, którą mógłby pokochać, a może już kocha, martwa, śpi snem wiecznym.

W „Ślepych" *(Les aveugles)* treść jest równie mało określona i nie mniéj niepokojąca: Wśród lasu, w zmiérzchu nocnym, między

---

[1]) „Intruz" przedstawiony 1891 r. w Paryżu, 1892 r. w Brukselli, w Wiedniu i Kopenhadze. „Ślepi" przedstawieni 1891 r. w Paryżu.

pniami leżących drzew i krzewów kolczastych, wśród odłamów skał i zeschłych liści siedzi grono ślepych; są między nimi starcy i staruszki ślepi od urodzenia, jedna idyotka, jedna waryatka, jedna piękna i młoda. W niepokoju oczekują powrotu tego, który ich tu przyprowadził — długo czekają, długo, a on nie wraca. Ściemnia się, noc zapada, „zdaje się, że gwiazdy lśnią się na niebie, ja słyszę je" — mówi jeden; nie wiedzą jednak na pewno, czy to zmiérzch czy dzień. Nocne ptaki przelatują z szelestem między drzewami, wiatr zrzuca zeschłe liście — co to jest? nie pojmują tego szelestu. Kiedy on wróci? co z nim się stało?... Przeczuwają jakieś nieszczęście; co z nimi będzie, gdy on nie wróci? wszak nie znają drogi. „Słyszałem, że się uśmiéchał zbyt poważnie, słyszałem, że oczy zamykał i chciał umilknąć — powiada ślepy starzec—słyszałem, że patrzył na mnie". Szerokie płatki śniegu, białe motyle mroźne, cicho sypać się zaczynają z nieba, zimno i głodno biédnym opuszczonym, strach coraz bardziéj wstępuje do dusz, jaki los czeka ich w téj samotni? Zdala słychać łoskot fal morskich, umiérających na wybrzeżu; z początku szum to nieokréślony, coraz groźniéj jednak morze przemawia. Słychać czyjeś kroki... to on?... nie! — pies to z miejscowego zakładu. Pies, wyjąc, biegnie tam, pod pień drzewa, daremnie wołają, nie chce odstąpić — coś tam jest – omackiem idą za nim, potykając się o kamienie i drzewa — macają... kształt człowieka. Tak, człowiek tam siedzi pod drzewem, zimny, skostniały — to trup jego, to on... co z nimi będzie? co poczną?... ryk morza coraz wyraźniejszy, przypływ się zbliża... szelest jakiś, ktoś jest wśród nich, ktoś przyszedł, czują go... kim jesteś?

Tak jak w „Intruzie" i „Siedmiu księżniczkach", w „Ślepych" nie ma właściwéj akcyi dramatycznéj; są to obrazki, których celem jest wywołanie uczucia śmierci. Maeterlinck jest niezwykle zdolny impresyonista; niedobre przeczucie, coraz to bardziéj niepokojące, wreszcie sytuacya bez wyjścia z widmem niechybnéj śmierci lub istotne sprawdzenie się wróżb grobowych kończą poemat. Suggestya gra ważną rolę w osiągnięciu wrażenia dramatycznego, niedopowiadanie, nieokréśloność, zagadka, estetyka tajemnicy. Wybór tematów jest niezwykły, szablonowa miłość nie ma tu żadnéj roli — ślepy, obdarzony niezwykłą czuciowością, słyszący gwiazdy, wzrok, słyszący milczenie, rozróżniający po dotyku kwiaty i barwy, pojmujący świat inaczéj niż zwykli ludzie, stał się jednym z najulubieńszych studyów psychologicznych dramaturga. Tu znalazł temat bogaty i nowy, nadający się do dziwacznéj i subtelnéj analizy duchowéj, świat to pełen magnetycznéj estetyki nieznanego.

Więcéj urozmaiconą jest treść nagrodzonéj w 1890 r. na konkur-

sie dramatycznym „Księżniczki Maleiny". Maeterlinck nie przyjął ofiarowanéj mu przez królewską akademię belgijską nagrody. Wiele mówiono i pisano o tym dramacie — niektórzy pod wpływem wrażenia jakiego doznali, widzą w autorze współczesnego Szekspira. Znać, iż Maeterlinck przejął się głęboko wielkim autorem „Hamleta", uwidocznia się to w sposobie prowadzenia akcyi i stopniowém potęgowaniu wrażenia, w tym względzie ma nawet coś wspólnego z wielkiemi dramatami greckiemi. Tło jednak, psychologia postaci, pobudki, dążenia, koloryt, artyzm cały są zupełnie oryginalne, niespodziéwane, niepospolite. Księżniczka Maleina, córka króla Marcellusa (rzecz dzieje się w wiekach średnich w Holandyi), kocha księcia Hialmara. Marcellus pogniéwany z ojcem Hialmara, nie chce zezwolić na ich małżeństwo — zamyka nieposłuszną córkę wraz z niańką do ciemnéj wieżycy. Wspólnemi siłami wyrywają one kamienie starego muru i uciekają; kraj zmieniony, zamek Marcellusa zniknął, zgorzał wśród wojny z sąsiadem. Bohatérka wraz z niańką idą tedy po przez ciemny las i dochodzą wreszcie do Isselmonde, rezydencyi księcia Hialmara; niepoznana wchodzi do pałacu; tu przyjmuje ją za służebną Uglyana, córka Anny, królowéj Danii. Piękna Anna, kochanka starego króla, zdołała za pomocą intryg zaręczyć córkę swą z Hialmarem; ten, poznawszy Maleinę, o któréj nie zapomniał, zrywa z Uglyaną. Wówczas królowa Anna postanawia pozbyć się pięknéj rywalki i dusi ją wśród nocy burzliwéj. Książę Hialmar, odgadując sprawczynię mordu, zabija Annę, poczém zwraca broń przeciw sobie.

Bohatérki Maeterlincka zdają się pochodzić z innego świata, podobne do cieni lub widm, przesuwają się uśpione, niezdecydowane, somnambuliczne, otoczone bladą aureolą mglistego światła księżyca. Taką jest Maleina o bladéj twarzy, białych rzęsach, tak szczególnym sposobie składania rąk i spuszczania oczu... „Wzrok jéj, zdawał się w jednéj chwili pogrążać w wielkim kanale świéżéj wody". Taką również jest Melisanda z dramatu „Palleas i Melisanda"[1]; zbłąkaną w lesie spotyka ją Goland, skąd się tu wzięła? nieszczęście ją wielkie spotkało, nie umié i nie chce o niém mówić, pochodzenie jéj pozostaje zagadką. Goland poślubia dziwną dziéweczkę, prowadzi ją do swego zamku; ciemno tu, cienisto (krajobraz podobny widzieliśmy w „Siedmiu księżniczkach", spotykamy go również i w „Księżniczce Maleinie"), stare mury wilgotne, trzęsawiska. Melisanda jest nieszczęśliwą w tém otoczeniu, przeczuwa nieszczęście—widmo żałoby unosi się już od pierwszéj sceny dramatu. Palleas, młodszy brat Goland'a, ko-

---

[1]) Przedstawiony w r. b. w Paryżu i Brukselli.

cha Melisandę, zyskuje jéj wzajemność; złe wróżby podtrzymują ciągły niepokój w sercach. Wreszcie mąż zazdrosny zabija Palleasa i rani Melisandę, która wkrótce umiéra. Przy łożu śmierci ukochanéj pojmuje Goland nieodwołalność swego postępku, jednak mimo niewierności żony uczucie niepewności, niedowiarstwo, niemożebność sprawdzenia, szarpią mu duszę, zostaną mu na zawsze.

Postaci, które Maeterlinck wprowadza do swych dramatów, są przedewszystkiém pozbawione osobowości i woli, działają bezświadomie, poruszone nieubłaganą ręką losu drobne ziarnka piasku, któremi wiatr dowolnie miota. Spełniają prawa opatrznościowe, życie ich jest następstwem przyczyn, których nie znają i nie rozumieją, są bezsilni wobec nieubłaganych praw przyrody; prochem są, w proch się obrócą, zdążają do nicości. Obdarzeni niezwykłą czuciowością, są niewolnikami swych przeczuć, nagabuje ich zagadkowe uczucie nieskończoności, ku któréj idą nieświadomie. Postaci to zbyt spirytualistyczne, nic materyalnego prócz formy podobnéj do cienia; cienie te błądzące przez życie mówią bardzo mało, powtarzają często wyrazy powiedziane przed chwilą, zdają się z trudnością myśléć, coś nieznanego kieruje ich krokami, ktoś wyższy nieskończenie i tajemniczy przez nie przemawia. Maeterlinck przystosował tu język do treści, jestto styl krótki, urywany i tak bardzo skromny — wyrafinowana prostota, świadoma i celowa.

W dziedzinie poezyi z pomiędzy wielu wyróżniamy Ivana Gilkina i Emila Verhaeren'a.

Ivan Gilkin, jeden z głównych redaktorów „Młodéj Belgii", jest poetą więcéj myśli niż uczucia, typ jednego z tych chorych, cierpiących na zbytek intelektualizmu, wyrafinowany analityk, okrutny w chęci zgłębienia tajemnic psychologicznych: „Jestem doktór dysekujący dusze—powiada w „Przekleństwie artysty"—pochylam me czoło z gorączkową ciekawością nad zepsuciem, występkiem, grzechem i przewrotnością. Macałem bolesne tajemnice wielkich dramatów, potém, ręce skrofuliczną jeszcze krwią zbryzgane, jako poeta drobiazgowo opiewam w mych wierszach, co przenikliwe me oko dojrzało w otchłani. A gdy brakuje przedmiotu dla noża dysekującego, sam kładę się na płycie grobowéj i z krzykiem zanurzam skalpel w me własne serce."

Zauważmy, iż Teofil Gautier w przedmowie do dzieł Baudelair'a, pisząc o dekadentyzmie, użył dosłownie tegoż samego zwrotu: poeta staje się swym własnym szpiegiem, jeśli braknie trupa, kładzie się na czarnéj marmurowéj płycie i zagłębia skalpel w swe własne serce. Co Gautier powiedział prozą, Gilkin wyśpiewał wierszem—nic

zarzucamy bynajmniéj plagiatu Gilkinowi, nie możemy wszakże uznać go za nowatora...

Widoczny na nim wpływ Beaudelair'a, prześladuje go ciekawość analizy, jest niewolnikiem swéj spostrzegawczości, zatrzymującéj go jednak najchętniéj przy stronach ludzkości brudnych, mętnych, skrytych, chciałby rozpłatać duszę ludzką, rozciąć wszystkie węzły, dojść wszystkich tajemnic, patrzéć na brata-człowieka na wylot jak przez szybę: „przechodniu szczególny, wybieram cię z tłumu, moja chęć ciekawa przenika twe ciało, memi muskułami obejmuję twe muskuły, włókno za włóknem, me nerwy przedłużają się wraz z twemi. Oczy otwierają się w głębi twoich oczu, zwoje mego mózgu przylegają do zwojów twéj mózgownicy. Otóż jestem tobą, otóż nowa świadomość otwiéra przedemną świat nowy—wreszcie wychodzę z ciebie zmęczony, blady i drżący jeszcze wracam do własnego istnienia...

Ostatecznie zarozumiałość i wiara w nieomylność osobistéj analizy dochodzi szczytu: „daremnie zazdrosne powieki zasłaniają twe niepewne spojrzenie, oczy me do pijawek podobne wysysają twych oczu tajemnice...

Czarna analiza, d y a b o l i z m, prowadzą poetę do jeszcze czarniejszego pesymizmu; świat jest zły, głupi, zbrodniczy—dusze ludzkie są bezecne, shańbione, przeklęte, pełno zazdrości, podejrzliwości, nienawiści; cnota, wymysł bezmyślnego optymizmu, nie istnieje zgoła. Grzéch pierworodny ciąży na ludzkości powstałéj w grzechu — człowieczeństwo dogorywa w tajemniczych torturach. Dzięki swemu jasnowidzeniu, poeta poznaje odmęty świata niedostrzegalne dla innych i pociągnięty jest ciekawością zajrzenia do otchłani i zaśpiewania piosnki nad przepaścią. Grzeszna ta ciekawość gubi poetę, prowadząc go do najbrudniejszych czeluści piekieł; poznaje się tu z najbardziéj wyrafinowanemi odcieniami występku — zostaje przeklęty i ukarany: „oczy me, woła, oczy me dumne, iż wydarły wielu sercom, mimo ust milczących, tyle niedoścignionych tajemnic, oczy me uczone i nieszczęśliwe, oczy me urny melancholijne, pełne łez i grzechów; oczy te gniewnie mi wydarł archanioł strachów nocnych, i wśród grobowych ciemności spuchnięte, potworne, podobne do olbrzymich księżyców żałoby, które już nigdy nie ujrzą słońca, rękami swemi, nigdy nienasyconemi, kieruje je archanioł gniewny!"

Oto treść „Przekleństwa artysty"; poemat ten wystarczy do scharakteryzowania poety, znając go, łatwo czytelnik pozna tegoż samego autora w zbiorku poezyi „Ciemności" (*Les Tenèbres*). Ten sam pesymizm, to samo miotanie się duszy w ciasném kółku występku, duszna atmosfera grzechu, beznadziejność przygniatająca, czarny całun okry-

wa świat cały, brak światła, powietrza, horyzontu, ciepła. Smutną przepowiednią kończy się poemat: „O dzwony ciężkie, dzwony powolne, przeklęte, chrapiące, dzwony dni złowrogich! dzwońcie dzwony pogrzebowe w ciemności, niech giną wioski bezecne, niegodne w płomieniach! Dzwońcie nad domem, gdzie mieszka hańba, występek! Dzwońcie nad zbrodnią, kazirodztwem, zarazą i nad zazdrością, gniewem, wojną! Lecz nikt nie słucha waszych upomnień, o dzwony, dzwony! i daremnie, gdyż dla nikogo ja dzwonię, dzwonię!

Istotnie, daremnie, sądzimy, pan Gilkin dzwoni, grozi i wzywa świat do poprawy, nie wielu zapewne znajdzie nawróconych. Nie potrafi przemówić do serc, brak mu zupełnie uczucia niezbędnego dla poety, dekadentyzm rozstroił do tego stopnia jego nerwy, zrobił go tak subtelnym egoistą, egotystą, że prócz własnéj osoby nie pozwolił mu miéć sympatyi do nikogo. Za to siebie uwielbia: „więcéj jestem samotny, woła, gdy mówię, niż gdy milczę. Myśl moja jest jako mur bez okien, ni drzwi i żadne oko ciekawe nie przenika do mnie. Sam tylko znam siebie, sam wiem kim jestem, sam zapalam lampę wśród nocy złowrogiéj, jako Bóg rozkoszuję się nicością samotności" — „widziałem! inni nie mają oczu; cóżby dostrzegli."

Nie sądzimy, iżby pan Gilkin istotnie był przeświadczony o boskiéj swéj nieomylności, jak możnaby wnioskować z jego poematów. Jestto zapewne forma tylko, idealizowanie pychy, zarozumiałości, samolubstwa, których zresztą mu nie brak, — wszak wady posunięte do ostateczności stają się wielkiemi, od talentu zależy nadanie im téj wielkości. Ojciec Grandet w słynnéj powieści Balzaca jest wielkim skąpcem, Gilkin radby swą pychę wznieść na takież wyżyny; brak mu jednak téj iskry bożéj, bez któréj nie ma arcydzieł, zamiast porywu wzbudza niesmak, staje się niesympatyczny i odpychający. Niedawno zmarły Wiertz, wielce odrębny malarz, romantyk i filozof, napisał na drzwiach swéj pracowni: „Pycha jest cnotą, tworzącą wielkie dzieła i raniącą miłość własną bliźniego; skromność jest maską, pochlebiającą miłości własnéj bliźniego, by sobie zjednać pochwałę" — i na płótnie unieśmiertelnił tę zachwaloną pychę, odtwarzając ją w postaci olbrzyma-natchnienia, sięgającego niebios wzrokiem, depcącego dzieła innych, wspartego o kolumnę w przepysznéj postawie lekceważenia, zaniedbania, ale i mocy. W obecnym czasie pycha weszła, że tak powiemy, w modę, bezgraniczny subiektywizm, stanowiący podstawę teraźniejszéj sztuki, jest przyczyną tego hołdu składanego pierwszemu z grzechów śmiertelnych. Artysta wkłada w dzieło swe osobiste wrażenia, przedstawia sposób czucia najbardziéj mu właściwy, daje swoje oryginalne, często najdziwaczniejsze myśli, szczególne porównania, ko-

jarzenia jemu najdroższe, gdyż stanowiące część jego istoty. Drudzy patrzą innemi oczyma, nawet w opisie natury i jéj odczuciu nie zgodzą się ze sobą, gdyż każdy odmiennie przefiltruje przyrodę przez swą duszę i inaczéj ją odtworzy. Tłum nie pojmie często artysty, szczególnie gdy forma wybredna lub dziwaczna utrudni mu wniknięcie w treść poematu; artysta wówczas nabiéra przeświadczenia o swéj wyższości i zamyka się coraz to szczelniéj od tłumu, którym gardzi, murem subtelnéj formy. Niektórzy, jak Ivan Gilkin, wpadają w przesadę, pycha pozwala mu porównać się jedynie z Bogiem; artyzm ten graniczy z obłędem wielkości, jeśli jest szczery, lecz u Gilkina nie czuć szczerości, jest to może więcéj maniera, poza lub przesada istotnego stanu duszy.

Ciekawe jest artystyczne wyznanie wiary naszego poety, ogłoszone w formie aforyzmów w „Młodéj Belgii" [1]. Przytoczymy kilka z najbardziéj charakterystycznych:

„Nie ma formy bez treści, tak jak nie ma kolorów bez farb. Gdy mówimy: dbajcie o formę! głusi rozumując źle, sądzą, żeśmy powiedzieli: zaniedbujcie treść! niech ich głupota spadnie im na głowy.

„Wielka myśl nie pięknie wypowiedziana jest niemożebnością, gdyż myśl może objawić się jedynie w granicach formy; wyobraźmy sobie wielką myśl ułomną? to przypuścić, że Wenus z Milo, mogła być garbatą lub kulawą.

„Ciemność, zmierzch, zagadka, tajemnica, mogą być przedmiotem dzieła sztuki w równym stopniu, jak i objawy jasne światła. Przystosuj tu formę do treści, a ty, dobry krytyku, nie miéj za zło tajemnicy, iż brak jéj jasności: doprowadziłbyś sfinksy do śmiechu.

„Łzy stają się nieśmiertelne, gdy doskonały sztukmistrz skrystalizuje je w dyamenty bez skazy.

„Uśmiéch Jocondy jaśnieje po przez wieki, gdyż ręka uczona skreśliła go na płótnie; gdyby ręka drgnęła, zepsułaby dzieło.

„Chcesz zrobić arcydzieło, malując swą kochankę? trzeba, byś odrazu więcéj kochał portret, niż oryginał. Jeśli nie przekładasz szczerze sztuki nad miłość, możesz być Don Juanem, lecz nie będziesz Michałem Aniołem.

„Niech każdy zostanie przy swym fachu: nie pytaj twego proboszcza o zdanie w dziedzinie sztuki; wszak nie prosiłbyś A. de Musset'a o udzielenie ostatnich sakramentów.

„Dzieło sztuki może stanąć przed trybunałem Piękna, trybu-

---

[1]) Marzec, 1893 r.

nałem Dobra, trybunałem Prawdy; pierwszy tylko wyda wyrok artystyczny.

„Między człowiekiem genialnym a kobiétą istnieje zawiść wieczna, gdyż nie potrzebuje jéj, aby stworzyć potomstwo...”

Gilkin celuje w formie i języku; daremnie szukałby kto usterek w rytmie lub harmonii, w tym względzie doszedł do wielkiéj doskonałości: ręka jego nie drgnie i nie popsuje dzieła — jest pewny siebie. Czego mu brak, to właśnie choć odrobiny nieporządku, pewnego zaniedbania, mógłby nieraz poświęcić cośkolwiek z formy dla wylania uczuć lub rozigranéj fantazyi; zbytek intelektualizmu zabił uczucie i poryw natchnienia. Jestto zimny analityk, kreślący wierszami pięknemi, jak dyamenty bez skazy dyagnozę dusz, z całą świadomością wyrafinowaną, bez chwilki zapomnienia. Wieje od tych poematów chłód grobowy, czuć zapach trupi, czytelnik wstrząsa się, nieprzyjemny dreszcz przebiega mu ciało, wreszcie: co za niesympatyczna atmosfera! wykrzyknie.

Otrząśnijmy się z téj woni stołu operacyjnego, rzućmy skalpel i gąbkę, opuśćmy salę szpitalną, pójdźmy odetchnąć swobodnie, spójrzmy na inne horyzonty.

Emil Verhaeren! oto nazwisko prawdziwie wielkiego poety i głównego przedstawiciela teraźniejszéj poezyi belgijskiéj. Z początku gorący zwolennik naturalizmu w sztuce, poeta ten ukazuje się nam jako temperament pełen werwy i energii, sensualizmu i dosadności. Pierwszy tom jego poezyi „Flamandki” (*Les flamandes*), wydany dziesięć lat zaledwie temu, jest wierném odbiciem téj przejściowéj fazy mistrza. Chciał on oddać, o ile można, prawdziwie charakter i uczucia flamandzkiego chłopa. Pod wpływem mistrzów holenderskich i flamandzkich: Rubensa, Jordaens'a, Crayer'a, umiłował naturalizm w malarstwie i literaturze, a w poezyach swych przedstawił chłopa Flamanda takim, jak go widzimy na obrazach Steen'a, Teniers'a, Brauver'a i t. p., chłopa brutalnego, zmysłowego, pijaka i zawadyakę, żyjącego istnieniem tylko zwierzęcém, nie pojmującego życia inaczéj, jak w ciągłéj hulance i zabawie po dniu pracy na pełném polu pod gorącemi promieniami słońca. Sylwetki wieśniaków, które widzimy na płótnach wyżéj wymienionych malarzy, poznajemy w poezyach Verhaeren'a — te same postaci, te same trywialne zabawy, te same pozy piękne w swéj grubéj brzydocie, estetyczne brakiem artyzmu, pociągające i wstrętne zarazem, to samo rozpasanie instynktów, ten sam wylew nadmierny życia. Emil Verhaeren zrozumiał chłopa, podobnie jak Zola w swéj „Ziemi”.

Z jego dzieła wieje nieprzyjazne uczucie dla ludzi wogóle, które zdaje się drzémać na dnie naturalizmu. Artysta realny widzi prędzéj zle niż dobre strony ludzkości, nie wierzy w ideał, wzniosłe, bezinteresowne uczucia są dla niego mrzonką—nie ma psychologii, istnieje tylko fizyologia, nie ma uczuć, są tylko instynkty, ideał to ciało, piękno jest materyalne, brzydsze stokroć od rzeczywistości, gorsze od zła, niesprawiedliwsze od niesprawiedliwości. W gruncie naturalizm jest grubym pesymizmem, pociągającym prostotą ideału dla nas zrozumiałego. Prawda jest hasłem téj szkoły! prawda naga, brzydka, głupia. Jestże prawda tak upośledzoną?—wątpimy.

Niedługo wszakże hołdował Verhaeren ideałom naturalizmu. Już w „Opowiadaniach północy" *(Contes de minuit)* widzimy zapowiedzi zmiany, mającéj nastąpić u artysty: malarz-naturalista, bohatér opowiadania, zawiesiwszy w swéj pracowni gotycki krzyż z umęczonym Chrystusem, odczuwa głęboki i tajemniczy wpływ gotyckiéj sztuki wieków średnich; pociągnięty tém pięknem mistycznem, wzniosłém, oddaje się z miłością owemu ideałowi, który wkrótce bierze górę nad dosadnym ideałem starego idealizmu. Metsys, Van Ortey, Hemsckerck, Van der Veyden, Buts, Champaigne zastąpią wkrótce Rubens'a, Jordaens'a, Steen'a, Brauver'a, Teniers'a.

W następnym tomie poezyi „Mnichy" *(Les moines)* z 1886 r. widzimy zwrot artysty do wieków średnich. Kréśli on nam życie zakonne w całéj jego prostocie i jednostajności codziennéj, piękne wzniosłością ideału i mistyczném oddaniem się rozmyślaniom i refleksyi, wyrafinowaniem, subtelnością jego uciech duchowych. Zakon—to związek braterski dusz, to uosobienie poświęcenia wzajemnego i miłosierdzia, to wzlot do uciech serca i umysłu. Opisuje on nam życie mnichów, ich zakony i biesiady, modlitwy i zajęcia tonem bezstronnego spostrzegacza, nie chcącego jeszcze wyraźnie wystąpić ze swém „ja". Pozostał jeszcze w formie i drobiazgowości opisu obiektywnego, jak przystało na realistę, nie mniéj sympatya i dobrotliwość w poglądzie na ludzi zastąpiły dawną do ludzi nieufność i krytykę.

Daje nam różne sylwetki mnichów: mnich epiczny—lew, herkules, stworzony do działalności wiecznéj, do przygniecenia piekieł swą potęgą, z oczu jego wyziera nieskończoność; mnich łagodny o twarzy anielskiéj, rozpościerający dokoła siebie blask gromnicy, podobny do lilii, u stóp którego należy rzucać palmy i róże; mnich prostoty, ogrodnik klasztoru, słodki, braterski, miłujący kwiaty, dla dobra których kocha ciepło i słońce, przechadzający się wśród słonecznego ogrodu, rozmawiając i pieszcząc się z nimi; mnich dziki o twarzy zczerniałéj, zarosłéj długim włosem, o głębokiém i błyszczącém jak podziemne

jeziora oku, zdający się żyć samotnie po niedostępnych lasach lub starych zapomnianych monasterach — serce jego drży pod grozą piekieł przed Bogiem mścicielem, Chrystusem umęczonym, strasznym, zczerniałym; mnich feodalny, syn królewski i książęcy, panuje nad zakonem, mnisi stanowią dwór jego, marzy o wojnach na krzyże, których celem Bóg. Inne wreszcie typy mnichów: ten obrał sobie zakon za grób, chciał zapomnieć minioną przeszłość, lecz życie jego — to ciągła walka z temperamentem, jego pokora samotna jest dumą, jest on królem w swém służebnictwie zakonném; ów, to marzyciel, badacz niezmęczony, przeżuwający dogmaty, szukający rozwiązania zadań nierozwiązalnych; tamten, to znudzony banalnością świata i ludzi, szukający ciszy i spokoju, nienawidzący wrzawy i sprzeczki, w klasztorze znalazł, czego pragnął, skamieniał, umysł jego lśni zawsze równém, jednostajném światłem jak lampa na grobie — dumnie, w pogardzie dla ludzi, umarł dla świata. Oni to, mnisi, przechowali naukę, jaśnieli światłem wiedzy i nauki po przez długie setki lat barbarzyńskich a wielkich wieków średnich; oni to prowadzą zbrojną Europę po przez puszcze do dzikiéj Azyi, a narody w głębokiéj ufności słuchają ich skinienia; oni są doradzcami książąt i panujących, prowadzą politykę, ustanawiają prawa, na ich rozkaz ku chwale Bożéj płoną stosy, pochłaniające tysiące niewiernych i heretyków, są cierpliwymi inkwizytorami mas, sądzą myśli, ważą sumienia, są głosem, sercem i mózgiem świata ówczesnego...

Verhaeren przejmuje się zachwytem iście poetyckim nad tą niewielką grupą ludzi, która wzniosła się do takiéj wyższości umysłowéj i moralnéj nad tłumem, iż rządzi nim, kieruje według upodobania. Wyraźnie okazuje poeta zachwyt swój nad subtelnością mistycznych uciech wiary: „Szczęśliwi ci, Panie, co mieszkają w Tobie, zło dni nieszczęśliwych nie szarpnęło ich duszą! śmierć jest dla nich słońcem. Szczęśliwi ci, co kroczą drogą modlitwy i spokoju, ze wzrokiem magnetycznie pociągniętym przez mgliste światło, zdające się zagadkowo połyskiwać na horyzoncie.”

Mistycyzm nęci poetę, widzi w nim nieskończone piękno i poezyę; śmierć staje się jednym z ulubionych tematów: „Niech ci będzie chwała i cześć śmierci surowa; niech ci będzie chwała i cześć na wieki! ponura kusicielko! czarna miłości! Niech śpiéwają twą chwałę, śmierci pobożna, śmierci spokojna, śmierci jasna, śmierci mnichów, męczenników i dziewic, chwała ci, śmierci, rodząca życie, śmierci, tworząca świętych!”

W ostatnich latach Verhaeren wzbogacił literaturę belgijską dwoma arcydziełami. „Wieczory” *(Les soirs)* i „Pogromy” *(Les dé-*

bacles) są bezwątpienia najpiękniejszemi poezyami spółczesnéj literatury belgijskiéj. W czasie tym poeta przebył śmiertelną chorobę; zniechęcenie, znużenie, zmęczenie fizyczne i moralne odbijają się w jego dziełach. Pesymistycznie nastrojony, staje się wrogiem wszelkiéj działalności, nienawidzi próżności i głupoty ludzkiéj, banalności i upartego, ciasnego fanatyzmu działaczów. Bolesne przygniecenie, rozczarowanie wszystkiém cechuje go teraz. Marzenie subtelne, głęboko mistyczne, budzi się w jego duszy, pragnie cierpienia, upaja się niém i rozkoszuje. Duma jego poprzestać jednak nie chce na banalném pospolitém cierpieniu, trzeba mu boleści wyrafinowanéj, najokrutniejszéj, szarpiącéj najdelikatniejsze, najwrażliwsze struny duszy, chce zaogniać, rozszerzać swe rany, cierpiéć, jak jeszcze nikt nie cierpiał duchowo, doznać najwyższéj rozkoszy w tém, aby czuć się królem swéj boleści, sprawcą swego cierpienia i niewolnikiem czarnéj swéj rozpaczy. „Cierpiéć! — woła —cierpiéć nieskończenie lecz dobrowolnie! boléć, gdy chcę boleści, rozpaczać, gdy chcę rozpaczy! Szczęśliwy, kto upaja się łzami własnemi i z kwiatów swéj męki układa wieniec cierniowy!" „Bądź swym katem, swym obowiązkiem, swą męczarnią, swym postrachem!"

Wyobraźnia poety przybiéra czarny, beznadziejny charakter; noc i śmierć widzi on wszędzie; mroki zstępują na niebo, do myśli, wdziérają się do serc — dokoła słychać głuche jęki niewidzialnych lecz odczutych istot, nieskończenie umęczonych, zamiérających powoli w bólach głuchéj rozpaczy—przestrzeń zaludniona temi istotami storturowanemi, przyroda cała zdaje się żyć gryzącém cierpieniem, dręczącą katuszą, ciągłém, powolném konaniem — niebo jasne, nienaturalnie abstrakcyjne, zimne jak stal, nieskończenie niedostępne — zachód torturowany pożarem krwistym słońca.

Wreszcie halucynacye wyrafinowanego okrucieństwa przesuwają się przed myślą poety: zjednanie serc ufnych, nie zepsutych prostaczków, aby je zawieść w ufności, gryźć te słodkie serca niewinnych i rozkoszować się uczuciem własnéj podłości... „do obłędu chcę iść, do obłędu i jego słońc"—woła poeta.

Wkrótce po tych okropnych widziadłach nowe i inne obrazy przesuwają się przed wyobraźnią poety, ukołysany jest snami złotemi dziecinnemi, naiwnemi, pełnemi prostoty i wiary, harmonijnéj estetyki i świetlnie jasnego kolorytu. Co to za zmienność wyobraźni, bogactwo obrazów, delikatność i różnobarwność kolorów!

Przyroda stała się cząstką jego jestestwa, patrzy na nią subiektywnemi oczyma, widzi ją taką, jak mu się przedstawia w danéj chwili, sądzi ją osobistemi wrażeniami, spogląda na nią oczyma wyobraźni

i taką ją opisuje. Z obiektywnego realisty Verhaeren stał się wyrafinowanym impresyonistą.

Drobiazgowa autoanaliza, zatopienie się w osobistych uczuciach i wrażeniach, chwytanie w lot tych psychicznych stanów duszy i szczerość bezwzględna w ich oddaniu — są cechami poetyckiemi Verhaeren'a. Szerokość fantazyi, oryginalność w zagadkowych widziadłach wyobrażeń, halucynacye, zmienność temperamentu, raz subtelnie okrutnego, to znów łagodnego dziecinnie, są tyluż przymiotami poety. Dekadentyzm, który owładnął jego nerwami, nie nadszarpnął mu dobroci serca, nie oziębił uczuć. Jestto natura ufna i kochająca, łagodna i wrażliwa, którą halucynacya prowadzi do wrót niebios i piekieł, szamotana bezustannie odmiennemi fantastycznemi widziadłami. Ostatnie poezye: „Kraina halucynacyi” *(Les campagnes hallucinées)* z 1893 r., poświęcone są wyłącznie tym zagadkowym majaczeniom, nacechowanym pesymizmem głębokim, dziwadłom chorój imaginacyi, dochodzącój do obłędu; pieśni waryatów zwracają tu uwagę, niezwykłością obrazów, bogactwem porównań denerwujących, dziwnych, różnorodnością zamętów duchowych.

Rozwijająca się literatura belgijska zdąża za duchem czasu: Maeterlinck, Gilkin, Verhaeren, w niektórych razach Lemonnier, wszyscy noszą na sobie, lecz w sposób odrębny, to charakterystyczne piętno sztuki dobiegającój wieku — symbolizm, samoanaliza, impresyonizm, mistycyzm. Dogmaty runęły — zapanowało subiektywne pojęcie piękna; każdy trzyma swą sztukę jak sztandar i żyje z nią samotny”. Razem z tym upadkiem dawnych ideałów czy upada także i sztuka? upadek to sztuki, czy powstanie innego, nowego piękna? Śmierć to czy odrodzenie? A może jestto tylko faza przejściowa, faza poszukiwań, macań, niepewności, rozproszenia w celu znalezienia nowego ideału, wznioślejszego piękna, syntezy wszystkich aspiracyi artystycznych? historya to wykaże, a tymczasem hasłem naszém niech zostanie t e r a ź n i e j s z o ś ć—„bądźmy z naszego wieku”!

D-r A. Zofia Joteyko.



SIOSTRY MALINOWSKIE.

POWIEŚĆ *).

VII.

Przez cały marzec i połowę kwietnia padały tego roku śniegi, które otulały białym puchem ziemię, wierzchołki drzew i dachy. I zimna, wiatry nie ustawały.

Aż naraz w początkach maja wyjrzało z po za chmur słońce. Z ziemi nieśmiało zaczęła wyglądać gdzie niegdzie delikatna trawka i ni stąd, ni zowąd w grządkach ogrodów zjawiły się wystrojone hyacynty i krokusy. Rozglądały się dokoła trochę zawstydzone, jak damy, które za wcześnie na bal przyszły. Zresztą, wszystko dokoła było w strojach ciemnych; na ogołoconych drzewach nie było jeszcze ani jednego zielonego pączuszka, tylko one wystroiły się w swoje szaty różowe, kremowe, białe, fioletowe.

W koło nich nie było nikogo. Tylko słońce czyniło honory domu bardzo uprzejme, gościnne, nie szczędzące hojną dłonią złota, blasków i ciepła.

Poczęło się zbiegać ptastwo... Zjawiła się wiosna, która, ocierając sobie kułakiem oczy z długotrwałego snu, zdawała się mówić:

— Ot! już jestem. Jak się macie? Spóźniłam się trochę. Wybaczcie. Zaspałam w téj bieli poduszek ze śniegu. To zdrajca wiatr

---

*) Zob. „Ateneum“ zeszyt marcowy r. b., str. 228.

zimowy usypiał mnie tak mocno, otulał białą pierzyną. Brr! Nie patrzcie się na mnie: jeszcze jestem w negliżu. Ale za to teraz muszę wynagrodzić tę stratę czasu i lenistwo. Roboty czeka mnie huk. Zobaczycie, nie będę próżnowała. Nadążę.

I rzeczywiście sprawiała cuda. Nazajutrz jednego źdźbła śniegu już na świecie nie było. W téj robocie pomogło jéj gorliwie słońce. Z nieba pozdejmowała wszystkie szare pokrowce, powymiatała chmury... i wyjrzało niebo cudownie piękne, całe z blado-niebieskiéj jedwabistéj materyi, tak delikatnéj, że się aż marszczyła, całe jednolite z jednego kawała, bez ani jednéj plamki i długie, długie, rozciągające się ponad cały Borów, ponad pola, ponad łąki, aż het ku lasom—wszędzie turkusowo-niebieskie.

Na łąki i ogrody porozwieszała jakby w mgnieniu oka ogromne zielone dywany (skąd je wyrwała—nie wiadomo), drzewa, nie zdołano nawet zauważyć, kiedy poubierała w pączuszki, przemieniające się z dnia na dzień w przedziwnie delikatnéj i misternéj roboty—listeczki, listki, liście. Ptastwu dawała lekcye śpiewu, rozpoczynającego się od nieśmiałego świegotu, podobnego do próbnych etiud, stopniowo do rzeczy coraz trudniejszych, dłuższych.

I niezliczone mnóstwo innych śliczności jeszcze nagromadziła. W powietrzu naprzykład ponakładała balsamu, wietrzykowi nakazała ludzi łechtać. Figlarny młokos sprawiał tę misyę bardzo chętnie, bo to go samego bawiło. Woda szemrała, fiołki pachniały. Któżby zresztą te wszystkie cudowności powyliczał?

A wiosna, zmęczona już trochę tą nagłą pracą, zdawała się mówić:

— A widzicie! — zdążyłam. — No, teraz może sobie już przyjść lato.

Cóż dziwnego, że te wszystkie rozkosze wysypane tak nagle na głowy, wypisały się téż i na twarzach ludzi. I wszyscy dokoła mówili i śmieli się głośniéj, poruszali się żwawiéj, oczy im się wciąż świeciły, a na ustach błądziły piosenki.

Ho, ho! wiosna!

Nawet ten nędzny Borów wyglądał, panie, tak, że aż miło. Odświeżył się; wcale sobie niczego.

I doktór, siedzący po ukończeniu zajęć na werendzie swego dworku, nie poznaje nędznéj mieściny. Opuścił teraz werendę i spaceruje po ogródku.

Na ziemi zielono tu już zupełnie. Tylko drzewa jeszcze gołe. Tém lepiéj, nie zasłaniają błękitu nieba. Choć wieczór na dworze — jasno, jak w biały dzień.

Na balu kwiatów w grządkach pojawił się nowy gość: tulipany ubrane szkarłatno. Hyacynty i krokusy wydają się być z tego bardzo zadowolone. Doktór uraczył całe towarzystwo sorbetem ze świéżéj wody z blaszanéj poléwaczki.

Teraz wyjrzał po za sztachety. Od głównego rynku aż het ku kościołowi ciągnie się droga z podwójnym szeregiem domków, otoczoczonych zieleniejącemi ogródkami.

W mieszkaniach pootwiérano już okna, na których stoją doniczki złocisto ceglastych laków, a w szklankach kąpią się w wodzie bukieciki fiołków.

Na ławkach z robótkami w ręku lub z książką siedzą panienki. A w koło nich w siódmém niebie harcują dzieci z wiosennym wietrzykiem, słonkiem, kwiatami, już za pan brat. Nic dziwnego, to wszystko dokoła tak młode, jak one; radują się więc wzajemnie i pojmują rówieśnicy.

Lecz doktorowi zamało tu jeszcze było powietrza, za mało nieba, za mało aromatów, za mało słońca. Chciał się kąpać w tych bogactwach.

— Maniu — krzyknął na żonę. — Patrz, jak pięknie na dworze. Czy nie przeszłabyś się ze mną za miasto.

— Gdzie mi tam spacery w głowie — odrzekła, wyglądając przez okno. — Nie zrobiłam jeszcze rachunku z kucharką. Zresztą muszę przygotować pokój dla Wandy. Wiész, że jéj z dnia na dzień oczekuję.

— Zdaje mi się, że z młodą dziewczyną nie trzeba robić takich nadzwyczajnych ceremonii. Może spać gdziekolwiek. Zresztą rób, jak chcesz, pójdę sam. Do widzenia.

Wziął laskę, kapelusz i, zamknąwszy za sobą furtkę ogródka, wyszedł z domu.

Wiedział o tym przyjeździe siostry Malinowskiéj. Maniuta już ją oddawna do siebie prosiła. Nie miał naturalnie nic przeciwko temu, że jakaś tam panienka będzie pomagała przez kilka tygodni żonie w zajęciu się gospodarstwem i dziećmi. Po za tém przyjazd młodéj dziewczynki, którą tam kiedyś na swoim ślubie widział w zaniedbanéj sukience z potarganemi włosami, nie grzał go, ani ziębił. A powtarzane bez końca szczegóły żony, gdzie ją pomieszczą i t. p., wchodziły mu jednėm uchem, drugiém wychodziły.

Teraz, zapomniawszy już o Wandzie i o jéj oczekiwanym przyjeździe, kieruje kroki swe ku rynkowi.

Na rynku lato jeszcze wyraźniéj czuć się dawało. Było tu kompletnie gwarno. Przed bramami domów stały całe grupy ludzi. W po-

wietrzu rozlegały się głośne rozmowy, śmiechy, żarty. Przed sklepikami kupcy wystawili stołki, na których siedząc panie kupcowe robiły na drutach pończochy. Na gankach rozwieszone były poduszki i piernaty. Błota nie było już ani śladu i przekupnie porozstawiali w samym środku stragany.

I cały rynek kąpał się w złotém oświetleniu słońca, pod wpływem którego biły aż w oczy barwy domów zielone, pomarańczowe i białe, jak również ostre lśniące od czystości kamienie, któremi wyłożone były dokoła domów wąziutkie, wysokie chodniki.

Rynek wyglądał wskutek tego oświetlenia jakby świątecznie jakoś odświéżony, jakby z przechowania z pudełka wyjęty. A nawet niebiesko pomalowana kapliczka z polichromowanym świętym Józefem na środku wyglądała, jakby umyślnie była pochyloną, a nawpół zawalone w koło niéj sztachety i tęczowo jarzące szybki w okienkach jéj potłuczone, dodawały jéj jeszcze uroku.

Doktór skręca w boczną uliczkę, aby nie łączyć się z powracającymi widocznie także ze spaceru pocztmistrzem, starym aptekarzem i jego spólnikiem Kacperskim, wystrojonym w tym roku po raz pierwszy w wydobyty z przechowania słomiany kapelusz i nankiny. Rozprawiali, szeroko gestykulując. Musieli mówić o polityce, a sądząc z zapału aptekarza, przyszła zapewne koléj na Bismarcka.

Doktór, skłoniwszy im się zdaleka, mija wąską uliczką z podwójnym szeregiem zwalisk po ostatnim pożarze; ze swoim lazurem jedwabistego nieba w rubinowém oświetleniu zachodzącego słońca przypomina ona rumowiska Pompei. Daléj ciągną się długie, białe, martwe mury jakiéjś zbankrutowanéj zamkniętéj fabryki. I jeszcze jakiś młyn opustoszały, wiatrak, jeszcze jakaś chałupa, potém w znacznéj oddali druga, jeszcze jakaś karczma... i Borów ze swoim rynkiem, kapliczką, kościołem, ze swojemi kominami, dachami i krzyżami cmentarzyka znikają powoli z oczu. Miasto jest już po za nim.

Odetchnął. Nie jest już teraz pewnym jakimś lekarzem praktykującym w Borowie, nie jest mężem pani Maniuty, nie jest sąsiadem Łupinkowskich, nie jest sobą. Jest jakimś atomem całoświata, nie zdającym sobie jasno sprawy z niczego, cieszącym się światłem, słońcem, powietrzem, tém, że żyje bezmyślnie jak ptak, jak gwiazda, jak kwiaty.

Przed nim wije się szarą wstęgą droga, strzeżona przez podwójny szereg niebotycznych czarnych drzew, pokrytych delikatnemi pączuszkami seledynowego liścienia. Z jednéj strony, znacznie niżéj drogi, ciągną się w zagłębieniu łąki, zdala tam het w zagajeniu, bieli się zagroda, a przed nią pies, patrząc w niebo, szczeka bez żadnego powodu, jedynie jak gdyby chciał przerwać monotonię ciszy.

A tu bliżéj drogi przed chalupą jakiś tęgi zuch obejmuje dziewczynę w kraśnéj chuście, aby skraść z jéj świeżych ust całusa, ona broni się z tą zaciętością dziwnego jakiegoś wroga, który pragnie być zwalczonym.

Starzy przypatrują się tym zalotom z zachęcającemi uśmiechami, wspominając czasy, kiedy i oni tacy byli. A młode dziewczyny, siedzące na baryerze, szturchają się wzajemnie ukradkiem i zapłonione zakrywają sobie twarze fartuchami, a parobcy krzyczą, zachęcając:

— Hop, ha!

Z drugiéj strony drogi ciągnie się staw, wielki bez końca, służący za lustro niebu, a wzamian staw przegląda się w niebie, udzielając sobie wzajemnie błękitów, wpatrzeni w siebie, jak dwoje kochanków z modremi oczami.

Lecz teraz ponad stawem zachodzi słońce. I całe niebo, jakby zakwefione płaszczem z rozpuszczonego w ogniu złota, odbija się w przezroczystéj wodzie, zaróżowiając skromne białe lilie i nenufary, które, jakby nie przyzwyczajone do zbytków, zdają się płonąć ze wstydu. I szereg okienek w bielejącéj ponad stawem chacie błyszczy miliardem rubinów. Jak gdyby w salonach chaty rybaka, jak na uczcie Krezusa, jarzyły się światła setek świeczników i żyrandoli.

A orkiestra ptastwa nie ustała świegotać, słychać przytém chrząszczy i żab skrzeczenie.

Lecz te wszystkie cudowności niczém nie są w porównaniu z tą niewysłowioną rozkoszą, jaką sprawiają twoim piersiom cudne aromaty, ożywcze tchnienie wiatru i to „coś” nieokreślonego, co posiada tylko młodość i wiosna—coś, co uśmiéch na usta sprowadza, skrzydła do ramion przypina.

— Nie! — mówi w zachwycie doktór — za godzinę takiéj rozkoszy, warto w życiu trochę pocierpiéć. Przecież każdy nędzarz zniósłby bez narzekań trochę głodu, gdyby był pewny, że niebawem na taką ucztę Lukulla zostanie zaproszonym.

Na drodze zaturkotała bryczka. I doktór pewny, że w bryczce téj jedzie jakiś obojętny mu nieznajomy, że zbliży się i minie go—jest mu wdzięczny za to urozmaicenie krajobrazu, za ten turkot kół, za pyszną plamę, jaką tworzą na szarym gościńcu siwe konie w rubinowych promieniach słońca śród fioletowego tumanu kurzu.

Lecz w bryczce téj siedzi młoda dama, która, spostrzegłszy na drodze przechodnia, każe zatrzymać konie. I doktora uderza, że jest olśniewającéj piękności, jak jakieś zjawisko. Jak gdyby spadła, ot, hen stamtąd z onéj złocistéj łuny, niby z ognistych wrót otwartego nieba.

— Przepraszam pana — zapytuje głosem, mającym dźwięk szeregu zawieszonych maleńkich dzwoneczków — wszak to Borów? Czy daleko stąd do mieszkania doktora Klimowicza? — i wnet dodaje tym samym tonem dzwoneczków. — Ależ przecież się chyba nie mylę: to pan jest... Jak mamę kocham, to doskonałe... Pan mnie nie poznaje?— zapytała w końcu, pewna, że się nie myli.

— Rzeczywiście nie przypominam sobie—mówi, przypatrując się jéj uporczywie, przekonany ostatecznie, że to wszystko jest snem. Wreszcie uderza się w głowę:

— Przez Boga żywego, czyżbyś pani była...

— Wanda, naturalnie — odpowiada zażenowana, w końcu odrobinkę zniecierpliwiona.

Wyskoczyła z bryczki. Postanowiono, aby konie z jéj rzeczami szły naprzód, oni mieli iść do domu pieszo.

— Nie otrzymaliście mojéj depeszy.

— Ależ nie, nie. Przysłalibyśmy przecież konie, a raczéj sami przyjechalibyśmy na stacyę.

Przeprasza ją za tę najętą brykę i za przykrości, jakie prawdopodobnie w nieznaném miejscu sama jedna musiała zwalczać.

— Mniejsza z tém, kiedy to wszystko już przeszło. Co Maniuta robi, dzieciaki? Taka jestem ciekawa je zobaczyć! Ładne, co?

— Ucieszą się ogromnie przyjazdem. Ale jak się zmieniła!—rzekł, nie mogąc od niéj oczu oderwać.

— Kto? Ja! No, zdaje mi się. Nie widzieliśmy się tyle lat. Byłam wtedy nieznośnym bębnem, prawda? Ale—kończyła, spojrzawszy mu w oczy—nie zmienił się wcale.

Nie wiedzieli ostatecznie, czy mają sobie mówić: ty, pani, panie, czy szwagrze.

Całe to spotkanie było trochę niezwykłe. Przytém ten zachód słońca, ten staw, lilie, nenufary... Wydawało im się, jak gdyby to wszystko już gdzieś czytali, widzieli—tylko z tą różnicą, że teraz w tym rozdziale romansu to oni właśnie są bohatérami.

Znali się mało i teraz czuli się skrępowani. I Wanda z obawy, aby nie odgadł jéj myśli, odwracając się od niego i rozglądając na wszystkie strony, wykrzyknęła:

— Ach! Jak tu pięknie, jak tu pięknie! Proszę tam spojrzéć: te szybki, oświetlone odblaskami słońca, przeglądają się w stawie. Co za tony, co za barwy, prawda? Ależ w mieście przez sto lat nic podobnego się nie zobaczy. Ach! cóż za pyszne białe lilie i te zielone tataraki! Ach! A te nenufary, jak z dukatowego złota, tuż u samego brzegu. Pan pozwoli, że tego trochę narwę.

Musiał jéj pomagać w téj robocie, ciągle milczący, zmieszany, jakby oszołomiony.

— No, ale trzeba iść — zadecydowała wreszcie — bo się zaczyna ściemniać.

Ofiarował jéj do drogi ramię. Zaczerwieniła się i nie przyjęła, tłómacząc się szeroko i nie przekonywająco:

— Dziękuję bardzo, ale nigdy nie chodzę pod rękę. Daleko lżéj jest chodzić saméj. Zresztą suknie są teraz tak niewygodne, że trzeba tren w ręku trzymać.

Zacięła się. Teraz żałowała, że nie przyjęła jego ramienia i że wogóle wysiadła z bryczki. Sądziła, że będzie ze szwagrem swobodniejszą. A na jéj młodocianéj twarzyczce wszystko co mówiła, co myślała i co ukrywała czytało się wyraźnie, jak na białéj karteczce welinu.

Szli obok siebie: ona niezwykle zgrabna w swoim podróżnym, jasnym, jedwabnym płaszczyku, który podczas chodu faluje miarowo w koło jéj szykownéj figurki, — on ogląda ją ukradkiem od stóp do głowy.

Podniosła białą gazową woalkę u swego miękkiego, okrągłego kapelusika. I doktór upewnia się w duchu:

— Nie przesadzam wcale. To jest skończona piękność. Że téż oni wszyscy nic o tém nie wspominali.

Nie urosła bardzo. Jest średniego wzrostu, niższa od Maniuty. Figurka jéj dawniéj niezbyt foremna, teraz posiada wygięcia lalki wystawowéj. W pasie cieniutka, piersi ma bogato zaokrąglone. Twarzyczka jéj także popełniała. Taż sama matowa cera alabastrowa, wydelikatniała jeszcze, jak z jedwabiu. Na policzku czerni się ponętnie ten jéj charakterystyczny pieprzyk, a czarne oczy, pełne wyrazu to melancholii, to skromności, to ognia — pozostały też same, zadziwiającéj piękności.

— Żem téż tego wszystkiego dawniéj nie zauważył? Prawda, że dawniéj się na nią nie patrzało. Swoją drogą, wypiękniała nie na żarty!

W koło nich cisza, tylko psy zdaleka szczekają. Niebo roztacza swoją powódź rubinów, a wietrzyk łechce im twarze. A oni idą wciąż naprzód. Mówią ze sobą, ot! aby coś powiedziéć, a w myślach za to wrażenia aż się tłoczą.

Tworzyła pyszny dalszy ciąg tego rozpoczętego spaceru, który on pod względem wrażeń nazwał ucztą Lukulla. Nie ustępowała zachodowi słońca, lazurom stawu i nieba. Była w tym samym tonie. Natura i na nią się wysiliła i doktór powtarzał sobie bez końca:

— Jest skończoną pięknością. Że też oni nic o tém nie wspominali.

Wreszcie stanęli u celu drogi. Maniuta szczerze była ucieszona przyjazdem siostry, któréj od tak dawna nie widziała. Z radości aż się rozpłakała. Wanda, rozgościwszy się w domu, czuła się teraz swobodniejszą, niż w owém sam na sam ze szwagrem. Jakoż jaśniała młodzieńczością, dowcipem, werwą, którą niebawem ożywiła cały dom w ciągu godziny.

Biegała po wszystkich pokojach. Pieściła i bawiła się z dziećmi, wszystkiém się zachwycała, ciągle jeszcze w pewnéj ekscytacyi, jaką młodzi odczuwają zwykle w podróży.

Zrzuciła już z siebie podróżny płaszczyk i przyczesała włosy. Miała na sobie bluzkę, doskonale uwydatniającą jéj foremne piersi i figurkę. Bluzka ta była koloru czerwonego, od którego odbijała pysznie jéj blada, matowa cera i krucze włosy na okrągłéj foremnéj główce. Wyglądała, jak laleczka. Znać było, że lubi ładnie się ubiérać. Zaraz na wstępie bardzo poważnie zrobiła uwagę siostrze:

— Maniuto! bój się Boga, jak można się tak zaniedbać. Któż tak zaczesuje teraz głowę? Na co ta grzywka, zasłaniająca ci czoło, bardzo ładne? Teraz robi się wszystko podług stylu. Włosy upina się do góry, jak Venus Medycejska, lub jak naśladujące ją Wenecyanki w epoce renesansu. Przecież ty szczęśliwa widziałaś w Wenecyi Tycyana, Veroneza, Tintoretta.

— Ach! Daj mi pokój! Mnie tam Tintoretto teraz w głowie! Rozprawiaj o nich z moim mężem. Będzie w siódmém niebie.

— Jak cię kocham, muszę cię przeczesać. Nie mogę się patrzéć. Maniuta ciągle się uśmiechała. Znać było, że jest trochę dumna z powodu piękności i szyku siostry i że Wanda zrobi z nią, co zechce.

Doktór nie spuszczał z niéj oka.

— Co się z téj dziewczyny zrobiło, prawda? — zwróciła się z uśmiechem do męża.—Słuchaj Wando, ile masz właściwie lat?

— Nie pytaj się lepiéj. To rzecz bardzo drażliwa. Mam już lat niestety dwadzieścia.

Westchnęła.

— I żadna partya ci się jeszcze nie zdarzała?

— Ach! Dajcie mi pokój. Mama mi dość tém nadokucza. Cóż ja jestem winna, że mnie nikt nie chce — mówiła z komiczną rozpaczą.

Maniuta zaczęła ją rozpytywać o rodziców, o znajomych, o różne ploteczki.

— Czy nie wiész, ile téż mama płaci kucharce na kwartał. Bo tu niżéj dwunastu rubli...

Doktór wyszedł z pokoju.

— Wiész, Maniuto, twój mąż jest kompletnie pięknym mężczyzną. Jaka broda, jakie oczy!

— Ha, ha! Piękny! Nigdy nim nie był. Jest taki sobie przystojny, poważny. Zobaczysz tu prawdziwie ładnych chłopców. Niejaki pan Marcinkowski naprzykład.

— Nie jestem ciekawa. Wogóle nie mam zaufania do prowincyi. Ale co się tyczy twego męża, nie jest może efektowny, trochę za szczupły, za blady, źle się trzyma, włosy nosi za długie. Ale głowa przepyszna dla malarza. A jakie ma ładne ręce, wąskie, długie, nerwowe. Dobrze żyjecie ze sobą?

— O! Doskonale. W pierwszych latach nie bardzo rozumieliśmy się. On był dawniéj trochę egzaltowany. Chciał odgrywać Romea, Fausta. Trudno, nie jestem ani Julią, ani Małgorzatą. Nie mam czasu myśléć o mężu i romansach. Powoli wybiłam mu te brednie z głowy. I teraz żyjemy ze sobą jaknajlepiéj. Jest dla mnie bardzo poczciwy. Wogóle przekonasz się, jesto człowiek bardzo zacny. Nie jestem i nie byłam nigdy zaślepiona. Lecz jest doprawdy nawet za szlachetny w stosunkach z ludźmi, na czém zawsze jaknajgorzéj wychodzi. Z czasem i tę szlachetność mu wybiję z głowy.

— Czy nie przeszkadzam? — zapytał doktór, wchodząc do pokoju.

— Ani trochę. Wiész, mówiliśmy o tobie. Trzeba ci było słyszéć. Wanda jest tobą zachwycona. Mówi, że masz prześliczną głowę, brodę, oczy.

— Jesteś niedyskretna. Idę do dzieci—rzuciła, wybiegając z pokoju zaczerwieniona.

Wieczorkiem zjechała do nich cała Łupińszczyzna i pan Marcinkowski. Dowiedziawszy się o nowym gościu, zjawili się téż, niby o niczém nie wiedząc, zaciekawieni aptekarzowstwo i pan Kacperski. Zapalono lampy w salonie, i całe towarzystwo ugrupowało się w koło wielkiéj kanapy. Maniuta, nie przygotowana do przyjęcia tylu gości, zajęta była w kuchni; honory domu pełniła Wanda, która mogła powiedziéć, jak Cezar, że przyszła, ujrzała i zwyciężyła. Nie mówiąc już o Łupinkowskich, lecz oczarowała nawet bardzo trudną panią aptekarzową.

A pan Marcinkowski, pomimo swojéj zwykłéj swobody fachowego donżuana, zapomniał jak to mówią, języka w gębie. Przy końcu wieczoru zaledwie rozruchał się trochę nerwowo, opowiadając bez

wielkiego dziś powodzenia anegdotki, jeszcze mniéj prawdopodobne, niż zwykle.

— Jak Boga kocham — zaklinał się co chwilę—byłem tego naocznym świadkiem.

Nawet panny aptekarzówny i ich młodziutkie kuzynki śmiały się z tych fars dziś mniéj niż zwykle, jak gdyby czuły, że te anegdotki blędną przy dobrym tonie dowcipu Wandy. Nie spuszczano téż z niéj oczu.

— Cukiereczek!—cmoknął stary Łupinkowski.

A doktór pokręcając wąsa, bronił się.

— Jesteście państwo zbyt łaskawi. Zepsujecie mi ją na nic.

— No, jakżeż ci się podobał Marcinkowski?—zapytała Wandę po wyjeździe gości pani Maniuta.

— Ach! jest okropny — odrzekła, robiąc minkę.— Za zdrowy, za czerwony, przytém wulgarny, jak stangret.

Doktór podziękował jéj za to uśmiéchem. Maniuta nie miała czasu dysputować. Spieszyła do kuchni, ubolewając, że prawdopodobnie spać się dziś nie położy. Ma tyle roboty z odbiéraniem i chowaniem sprzętów po gościach.

— Widzisz, jaki to los być zamężną.

— Moje życie — odpowiedział jéj mąż z odrobinką ironii — masz pięć sług. Jeżeli ci nie wystarczają, weź sobie do pomocy szóstą.

Maniuta, nic nie odpowiadając, wyszła.

— Jabym nie potrafiła tak pracować. Jaka ona się zrobiła gospodarna, jaka oszczędna—chwaliła ją przed mężem Wanda.

— O, niezmiernie—odrzekł jéj tym samym tonem, co przed chwilą.—Wydaje tylko sześć tysięcy rubli rocznie na dom, a są przecież kobiéty, które wydają piętnaście.

— Sześć tysięcy?—zapytała naiwnie.—Mnie się zdaje, że na taką mieścinę to bardzo wiele.

— Nie wiem, nie znam się na tém, bo sam na siebie nic nie wydaję. Ale warszawianka zrobiła dziś furorę nielada — rzekł uśmiechnięty, zmieniając rozmowę i nie wiedząc zawsze, czy ją tykać, czy nazywać panią.

— Ach! jak ojca kocham, nie pojmuję doprawdy, co ludzie we mnie widzą. Nie jestem brzydka, wiem o tém, ale nie cierpię swego typu. Jestem zamała—mówiła, karykaturując swój rysopis—do tego, twarz mam zaokrągłą, laleczkowatą, bez wyrazu, jak na wystawę do okna fryzyerskiego. Gniéwa mię to zawsze, że zupełnie inaczéj wyglądam, niż jestem w istocie. Przekonacie się, nie jestem malowaną laleczką.

Nazajutrz z samego rana zabrała się do dzieci. Na swoich białych paluszkach układała im pukle z peli ich włosów. Powkładała im białe sukienki, które przywiozła im z Warszawy, uszyte własnemi rączkami. Dzieciaki wyglądały teraz prześlicznie. Skokietowała je téż odrazu. Zaczęły przepadać za ciocią Wandą.

— Ach, Boże! jakież one śmiészne. Edmundzie, kochasz ciotkę? chodź tu zaraz do mnie.

I Edmund, tłusty dwuletni chłopak, zaledwie chodzić umiejący, tak się do niéj spieszył, że przewracał się śród drogi. Nie płakał jednak, a Wanda twierdziła, że robi *bonne mine à mauvais jeu.*

Zmieniwszy fryzurę siostry i ubranie dzieci, zabrała się teraz do mieszkania. Zauważyła, że dzieci zanadto hałasują i wałęsają się po całym domu, bo pokój ich jest za ciasny i umieszczony zablisko salonu. Odkryła na końcu mieszkania jakiś duży słoneczny pokój, zwany gościnnym, a stojący bez żadnego użytku i tam przeniosła dzieciarnię.

Doktór uważał tę myśl za genialną, Maniuta zaś, zwykle dość uparta, Wandy jak wyroczni słuchała. Wanda uśmiéchała się.

— A co! wygląda tu teraz trochę inaczéj, prawda?

Teraz zauważyła, że meble w salonie ustawione są tak blisko ścian, jak gdyby była obawa, że mury runą i że dlatego krzesła i kanapy muszą je podtrzymywać, że salon urządzony jest w kwadrat banalnie, jak u dentysty.

Własnemi rękami porozsuwała po całym pokoju kozetki i fotele, przesunęła w róg fortepian, powyszukiwała jakieś stare wachlarze, które poprzybijała fantazyjnie na ścianach. Powyrzucała z wazonów bukiety sztucznych kwiatów, a na ich miejsce powkładała związane od niechcenia wielkie snopy zerwanych na drodze wodnych roślin, traw, tataraków i kwiatów. Porozrzucała na stolikach niby w nieładzie książki, albumy, fotografie. I zmęczona, spoglądając na swoje dzieło, zapytywała tryumfalnie:

— A co? Cóż wy na to?

Doktór był zachwycony.

— Tyle fantazyi, tyle gustu. Ho, ho! artystka!

Wanda uśmiéchała się. Czy pieściła dzieci, czy ustawiała meble, czy dowcipkowała, wiecznie śledziła, jakie sprawia na otaczających wrażenie.

Rzeczywiście pokój zmienił swój zimny, nudny, filistersko-mieszczański charakter i choć nic nie dodała, przez samo rozstawianie tych samych mebli—wyglądał zupełnie inaczéj, był w nim pewien charakter, polot; stał się podobnym do pracowni artysty; przyjemnie w nim było siedziéć.

Maniuta trochę się broniła:

— Eh! waryatka jesteś. Wygląda tu jak w lesie. Aptekarzowa nie znajdzie tu swojéj kanapy. Wszyscy śmiać się będą.

Lecz nowe urządzenie salonu pozostało, a sąsiadki nietylko, że się nie śmiały, ale i u siebie meble inaczéj porozstawiały. Naturalnie, była to już tylko karykatura gustu Wandy.

Za Wandą przepadała i służba, bo panienka wchodziła od czasu do czasu do kuchni, gładziła jaką z dziewcząt po twarzy i pytała:

— Jak się masz, Maryś, a masz już narzeczonego?

— A mam, proszę panienki — odpowiadała uszczęśliwiona, zaburaczona po uszy dziewczyna.

— A czém jest? fornalem? ho! ho! A pamiętaj zaprosić mię na wesele.

Któregoś dnia znalazła w kuchni jakiegoś podrzutka szczeniaka. Odebrała go kucharce i ceckała, całowała.

— O, jakiż on śliczny, jaki śliczny, jakie ma ślépka i szerść taką jedwabną. Już go wam nie oddam — i zabrała go do pokoju uprosiwszy siostrę, aby go nie wyrzucać. I czuła instynktownie, jak po za jéj plecami cała służba zachwycała się nią:

— Niech Pan Jezus i Matka Boska ześlą panience dobrego męża, dzieci, zdrowia i wszelkiéj pomyślności.

— Za co oni mię tak wszyscy kochają? — twierdziła niby bardzo naiwnie, nie przestając kokietować służby, dzieci, każdego psiaka, jakiego na drodze spotkała.

Znał już ją cały Borów.

I kiedy zwinna sunęła w swojéj fantazyjnéj pelerynie i w stalowym, wielkim jasnym kapeluszu z piórami, cała jakby ze starego obrazu zdjęta, żydówki stawały przed swemi sklepami, mieszczki kupiły się w bramach i trącały, a i z okien ciekawe głowy wyglądały, aby warszawiankę zobaczyć.

Nic podobnego w życiu nie widziały. A niektórzy mężczyzni zawyrokowali, że jest poprostu za ładna, za zgrabna, za szykowna. Choć pomimo to wszystko, to jéj przyznać trzeba, nie dumna i grzeczniejsza od aptekarzówny, która nie warta rzemyka u trzewika jéj rozwiązać. Lecz człowiek w oczy jéj nawet spojrzéć nie śmié. A któżby tam marzyć mógł, aby się w nim zakochała! ot—dla królewicza chyba!

Naturalnie czując, jak każde jéj słówko jest dobrze widziane u jéj szwagra, starała się jemu przypodobać jeszcze więcéj, niż innym. Nietylko kobiécie, lecz przecież każdemu sprawia to przyjemność czuć, że się komuś bardzo podobamy. Odpłaca się po większéj części sympatyą i wzajemnością.

Wanda przeczuwała instynktownie, że doktór trochę więcéj nawet z nią sympatyzuje, niż to było koniecznym obowiązkiem gospodarza domu i szwagra. Nie widziała w tém nic złego, jeżeli w braku innego męskiego towarzystwa—poflirtuje z nim odrobinę.

Kiedy doktór pytał żonę, jak ma nazywać jéj siostrę, bo wszak nie wypada tykać dorosłéj panny—odrzekła mu:

— Oszalałeś chyba. Chcesz takiéj smarkatéj mówić: pani. Przecież kiedy byłeś moim narzeczonym, ona była brzdącem prawie. Zresztą jest moją siostrą. Na co ta komedya. Nie lubię w niczém przesady.

Podobnie objaśniała téż Wandę, która także badała ją w tym względzie. Lecz Wanda jéj nie posłuchała, a i doktór unikał tego „ty", ocalając sytuacyę: „siostrą". Późniéj zaczął jéj mówić: „Niech Wanda", ostatecznie skończyło się na: „pan i pani".

Lecz Wandę zaczął bawić ten stosunek z nim — trochę niezwykły. Flirt był tém przyjemniejszy, iż nie banalny. Łatwo jéj było odgadnąć, że doktór był nietylko poczciwym, lecz posiadał wrodzone poczucie delikatności. Jest nadto dobrze wychowanym, a dla kobiét tak rycerskim, jak na starego romantyka przystało. W stosunku jego do niéj mieściło się coś pomiędzy przyjaźnią a uczuciem ojca lub starszego opiekuna. Naturalnie, żadnych uścisków rąk, żadnych wzdychań, żadnych zaczerwienień.

Przyjemném jéj było to jego ciągłe opiekowanie się jéj zdrowiem, ten bukiecik najpiękniejszych róż z ogródka, jaki codziennie od niego otrzymywała i ten jego ciągły uśmiéch, który towarzyszył wiecznie wszystkiemu, co opowiadała i co uczyniła.

Zresztą panna na wydaniu, choć bawi tu na wsi dla wypoczynku, nie powinna w sztuce przypodobania się wychodzić z wprawy.

Jedną z pasyi Wandy stało się teraz naprzykład przygotowywanie smakołyków na obiad z książki kucharskiéj. W domu, gdzie każdy grosz musiał być wyliczonym, matka nie pozwalała naturalnie na takie eksperymenty. Tutaj śpiżarnia była przepełniona, a pieniądze ciekły jak przez dziurawe sito i Wanda... używała.

Kładła biały fartuszek, co ją ogromnie bawiło, i tłukła zapamiętale w moździerzu migdały, sypała wanilię, rodzynki, wypróżniała słoiki konfitur i przygotowywała jakieś nadzwyczajne legóminy, które się wiecznie nie udawały.

— Gdybyś ty chciała dać już raz pokój z temi specyałami — mówiła jéj przy stole Maniuta.

— Nie, przeciwnie — bronił doktór — uważam, że choć ten krem niby się nie udał, w smaku jest bardzo dobry.

A Wanda skosztowawszy, pokładała się od śmiéchu.

— Nie, wiecie, to jest taka ohyda, że usta wykrzywia.

I wszyscy przy stole rozweselali się jéj śmiéchem, nawet Maniuta. I Wanda po kilku dniach powracała znowuż do swoich eksperymentów gospodarskich.

I znowuż skosztowawszy sama (nie śmiano zawsze robić jéj przykrości) parskała przy pierwszym kąsku swoim młodzieńczym prześlicznym śmiéchem i, odkładając łyżeczkę, dodawała, przechylając się od śmiéchu na krześle:

— Nie, to jest niemożliwe do przełknięcia. Nie jedzcie, bo się potrujecie wszyscy — mówiła, kokietując znowuż swoją nieznajomością gospodarstwa.

I Maniuta rzucała spojrzenia w stronę męża.

— Paradna jest, co? I któż ci każe to robić?

— Daj jéj pokój — ujmował się zaraz doktór—jeżeli to ją bawi.

— Wando, czemu nie zasiądziesz kiedy do fortepianu? Czy nie uczyli ciebie grać — strofowała ją Maniuta w swojéj roli matkującéj starszéj siostry.

— Zarzuciłam fortepian i wytłómaczyłam mamie, że szkoda wyrzucać pieniądze na dyletancką fuszerkę. Bo czyż może być coś nudniejszego nad to odgrywanie przez pannę na wydaniu tych wiecznych, pięknych kawałków w rodzaju *Prière d'une vierge* Bądarzewskiéj, lub *Souvenir de Spaa* Beyer'a—rozśmiała się.

— Dlaczegóż grać koniecznie starzyznę, trzeba grać kawałki modne, będące na czasie.

— Nie, nie gram pięknych popisowych kawałków z czuciem i fałszywie w basie. Czytam nuty nieźle. Przerzucam partycye fortepianowe, grywam na cztery ręce, jeżeli zjawi się coś nie modnego, lecz istotnie wartościowego i ciekawego. Wertuję Szopena... ale dla siebie, bez żadnych popisów dyletancko-wirtuozowskich. Pieniądze, które mama przeznaczała na dalsze lekcye muzyki, obracałam na malarstwo. Pobiérałam przez długi czas lekcye rysunków. Z początku mama wzdragała się z tém trochę, wreszcie ustąpiła.

— O, wiem, przypominam sobie, tyś od najmłodszych lat była faworytką mamy.

— Bo czyż jest coś piękniejszego nad malarstwo, uchwytywanie żywcem natury. Nieraz zobaczy się coś tak pięknego... czego słowami określić nie można, nawet gdyby się było poetą i nie ma się spokoju, póki nie weźmie się ołówka i nie uwieczni w swoim albumie. Wtedy dopiéro ten kawałek nieba, czy lasu, czy drogi, czy zamku, staje

się twoją własnością. Takich posiadłości mam już bardzo wiele. To jest też mój cały majątek.

— Naturalnie — mówił doktór—przy takich skarbach nie można nazywać się biedną. Kto tak czuje, jest takim artystą — gdzie się obróci, znajdzie bogactwo wrażeń, któremi może się raczyć po uszy.

— Oh! nie mówiłam tego, aby wywołać pańskie komplimenty.

— Raczcie się oboje wrażeniami — mówiła Maniuta — ja idę do kuchni, bo nie wiem, czy one was nasycą. A nie wiem, czy jesteście tak bogaci, aby módz trzymać kucharza. A legóminy Wandy kwalifikują się także jedynie do tego, aby je wyrysować w albumie.

— Mnie one bardzo smakowały, a ręczę, że i narzeczonego jéj zadowolą.

— Narzeczonego—tak, ale męża—nie.

— Dlaczego?

— Dlatego, że co innego narzeczony, a co innego mąż. Nie mam czasu na pogawędki. W każdym razie uważam twoje malarstwo za wybryk i dziwię się, że mama ci na to pozwoliła. Chyba, że teraz taka moda, aby panny uczyły się malować? Skąd ci przyszła ta myśl?

Wanda wytłómaczyła siostrze, że ma koleżankę z pensyi i przyjaciółkę, córkę jednego z najwięcéj znanych i cenionych starszych malarzy. Prowadzą tam dom bardzo otwarty i przyjemny. Zbiéra się cała śmietanka znakomitości warszawskich: artyści, wirtuozi, literaci, malarze i rzeźbiarze. Pośród nich renomowani i znani, a także młodzi biédni—cyganerya.

— Gdybyście wiedzieli, jakie to ciekawe towarzystwo, jakie to typy nie banalne, nie filisterskie ci wszyscy młodzi reformatorzy, poświęcający chléb codzienny dla idei, dla sławy. A jacy przytém dowcipni, jacy inteligentni. Ach, bawię się tam pysznie! Nic dziwnego, że jestem potém co do towarzystwa mężczyzn dość wybredna i że panowie Marcinkowscy podobać mi się nie mogą. Nie cierpią oni wszystkiego, co jest pospolite, banalne, filisterskie. Otóż pięknie by było, gdybym się u nich wybrała ze sakramentalném odegraniem np. *Reverie* Bądarzewskiéj i udawała dystyngowaną pannę na wydaniu. Oni i tak już nazywają mię panną Montmorency.

— Nic dziwnego. Widzą na tobie zawsze porządną sukienkę, a oni, jak sama twierdzisz, chodzą bez butów. Ładne mi ideały. Ja bym na mamy miejscu, nie pozwoliła ci chodzić do takich cyganów. Jeżeli chcesz tych wirtuozów słyszéć, za rubla masz ich w teatrze. A wyjść za mąż za jakiegoś tam malarza czy artystę, nie jest żadną karyerą. Bo mówcie sobie, co chcecie, a każda panna z przyzwoitego domu powinna grać na fortepianie i tyle.

— Dobrze, już dobrze—przerwał zniecierpliwiony doktór. — Nikt tu nie chce zmieniać twoich przekonań, na co więc silisz się na takie szerokie i obfite argumenty?

— Wiem dobrze, co mówię. Bo one, jak widzę, mają teraz wszystkie przewrócone w głowach — kończyła, jak gdyby była już od lat 20 za mężem i zapomniała zupełnie, co jest młodość.—Ale nie mam czasu na romanse. Bądźcie zdrowi—i odeszła do kuchni.

— Maniucie zawsze zdaje się—mówił po jéj wyjściu doktór — że mąż jest z zupełnie innéj gliny uformowany niż narzeczony, że ma inne gusta i inne wymagania i że przemienia się nazajutrz po ślubie z bruneta w blondyna lub odwrotnie. I w żaden sposób nie można zmienić w niéj tego przekonania. My, mężczyzni, jesteśmy w życiu bardzo kiepskimi aktorami, nie kłamiemy nigdy. Jeżeli mówimy naszéj narzeczonéj, że lubimy słońce, to po ślubie nie będziemy twierdzili, że lubimy noc. Udawać poprostu nie potrafimy. Jeżeli posiadamy jakie pazurki, dostrzeże je doskonale już narzeczona. Po za tém pozostajemy zawsze ci sami, jednolici. Nasza psychologia jest bardzo łatwa do zbadania.

— A nasza?—zapytała filuternie.

— Szeroko by o tém mówić. Zresztą nie chcę być podobnym do owego podróżnika, który ujrzawszy jedną angielkę, pisał tegoż samego wieczoru, że w Anglii wszystkie kobiéty są rude.

Przestawali teraz ze sobą bardzo wiele. Tematu do rozmowy nie zabrakło im nigdy. I okazało się, że Wanda miała słuszność, twierdząc, że jest zupełnie inną, niż się wydaje.

Po za swoją piękną twarzyczką i młodzieńczym śmiéchem była poważną osóbką, mającą własne poglądy na życie, przekonania, ideały. Była przytém artystką bardzo wrażliwą na piękno natury i doskonale odczuwała sztukę. Przynajmniéj tak trzeba było wnioskować z tego, co mówiła.

Maniuta przekonała się prędko, że siostra nie będzie dla niéj tém, czém sobie wyobrażała, to jest pomocą w gospodarstwie i w niańczeniu dzieci, choć zdawało się, że Wandzie i to przyjemność sprawia.

Obawiała się téż, żeby młodsza siostra ze swoim szykiem, wrodzoną dystynkcyą i wykształceniem nie znudziła się w jéj domu na pustkowiu, gdzie dni monotonnie płynęły, dlatego była téż bardzo zadowolona, że mąż jéj porzucił dawną apatyę, stał się weselszym i widocznie, o ile mógł, starał się rozerwać gościa.

I nieraz, kiedy po ukończeniu kilkogodzinnego liczenia bielizny do dużego prania, powracała do pokoju z zapytaniem:

— Gdzie panienka?

— Panienka wyszła z panem na spacer — odpowiadała jéj służba.

A Maniuta uradowana mówiła sobie w duszy:

— A jednak poczciwy jest, że się tak zajmuje moją siostrą. Co ja bym bez niego z tą dziewczyną tu zrobiła?

VIII.

Wanda bawiła na wsi od kilku tygodni.

Lato zajaśniało już w całym swoim blasku. Ptastwo na dobre się rozśpiewało. Drzewa pokryły się liśćmi, łąki gęstą, coraz ciemniejszą zieloną trawą, a pola złotém zbożem, przetykaném czerwonym makiem i modremi chabrami.

W całéj naturze znikły już owe półtony: nieśmiały seledyn roślinności i bladość błękitów nieba. Teraz ptastwo śpiewało całemi siłami swych gardziołek. Słońce nie skąpiło złota, niebo było szafirowe, a kwiaty przybrały się w barwy jaskrawe, pysznie odbijające od ciemno-zielonéj trawy i szafiru nieba. Cała natura była w pełni swego rozkwitu i harmonii.

I doktór z Wandą o ile mogli opuszczali duszne pokoje i ciasny ogródek, aby odetchnąć na otwartém powietrzu i uraczyć się do syta wszystkiemi cudami pogodnego lata.

Jednym z ulubionych ich spacerów to tak zwana Struga. Była to już cała wycieczka i chodzili tam przed wieczorkiem w razie, jeżeli doktór po poobiedniém przyjęciu nie miał już wizyt ani na mieście, ani w okolicy.

Mijali wtedy ową wąską uliczkę ze zgliszczami, podobną do Pompei i niezrażeni szczekaniem wiejskich kundli skręcali obok białych murów martwéj fabryki—nie ku szosie, lecz w bok.

Tu czekała ich najuciążliwsza część przeprawy: wyboje i piachy, ciągnące się przez dziesięć minut drogi, w piasku tym toną pantofelki Wandy. Teraz za to mają już pod stopami miękki dywan łąki i Wanda wykrzykuje za każdym razem:

— Ach! Jak tu pięknie!

Gleba tu nie świetna, lecz widok na téj płaszczyznie istotnie prześliczny. Perspektywa szeroka, ledwie okiem objąć można i na wszystkie cztery strony jest coś do widzenia.

Przed nimi ciągnie się lasek rzadki sosnowy, a w nim na samym skraju bieli się chałupa odludna. Przed drzwiami w kołysce malowanéj, na czerwonych poduszkach bawi się swemi nóżkami tłusty dzie-

ciak w śmiesznie upstrzonym czépku; strzeże go brat, ledwie od ziemi odrosły w zgrzebnéj koszulce, z zamorusaną twarzą, z lnianemi włosami. Pies poważnie wylegujący przed chałupą, teraz zrywa się i szczeka na przechodniów bez wielkiego zapału, ot, aby zrobić swoje z zasady.

— Patrz pan, jaki śliczny dzieciak i ten opiekun jego jaki śmieszny i ten psiak... Ach! przepraszam pana na chwilę, muszę do nich pobiedz.

I nim się obejrzał, już bujało na ręku wyjęte z kołyski dziecko, częstowała lnianowłosego opiekuna karmelkiem wyjętym z kieszeni i gładziła psa, który zrazu z niedowierzaniem, późniéj z wielką sympatyą jéj się przypatrywał i w dowód swojéj łaski ogonem ruszał.

Wreszcie pożegnała się z nimi. Odeszli. Rozglądają się dokoła.

— Nigdy się dość tą Strugą nie nacieszę. Nigdy od was nie odjadę—mówi Wanda, patrząc dokoła w ciągłych zachwytach.

Po za nimi rysuje się miasteczko z kominami domostw, kościołkiem i krzyżami cmentarzyka. A tu z boku ciągną się łąki, całe z ciemno-zielonego aksamitu, na których ucztują poważne krowy i wiejskie szkapy w zbytecznych powrozach, bo nie śni im się stąd uciekać.

A tam, hen zdaleka, na wzniesieniu czerwieni się domek dróżnika, czernią się na żółtym plancie kolejowym równą linią szyny, a po nad niemi przy słupach z białemi izolatorami drgają pasma drutów telegraficznych.

— Mój drogi panie—błaga Wanda ze swoją młodzieńczą wrażliwością i werwą — niech pan spojrzy tam i zmruży oczy. Czy ten las nie wydaje się zdala zupełnie niebieski, a tam het niebo łączy się zupełnie z ziemią. Prawda? A jakie oświetlenie pyszne! A tam, hen, hen, zdaleka —widzi pan? te uschłe drzewa cieniutkie bez liści i te druty na tle nieba zupełnie, jakby malowane sepią!

Przyjemny wiatr, jak u siebie w domu, pełni rolę uprzejmego gospodarza na téj wielkiéj płaskiéj równinie. Udaje bardzo zajętego: muska drzewa lasu, to przebiega ku drutom telegraficznym, jak gdyby miał im coś do powiedzenia i znowuż powraca: łaskocze dzieciaka w kołysce i uśmiecha się gościnnie do doktora i Wandy.

Lecz naraz świst rozpruwa powietrze i jakieś w miarowych odstępach ciężkie: pu, pu, pu — niby sapanie olbrzymiego przedpotowego tworu rozlega się śród ciszy.

Przystanęli.

To tam, hen na linii, pod drgającemi drutami wije się olbrzymi wąż czarny: to lokomotywa, podobna do paszczy smoczéj, ciągnie swój

olbrzymi tułów: długi sznur czarnych wagonów. I narobiwszy hałasu swoim świstem, sapaniem i turkotem kół o szyny — znika, pozostawiwszy w powietrzu kłęby dymu, a ludzi odpoczywających tu śród dobrotliwéj ciszy natury, przejmuje jakiś mimowolny strach przed tą złowrogą potęgą i grozą. Wanda drgnęła i przymknęła aż oczy.

— Czyżby panna Wanda obawiała się jeździć kolejami?

— Nie obawiam się niczego. Ale wszak sprawia wrażenie nagłe światło śród nocy, lub *fortisimo* śród przeciągłego *piana*? Chociaż lubię jedno i drugie. Nie żalę się téż i na te przemiany. To dobry taki tusz zimny, działa jak prąd elektryczny. Przecież wy to nawet chorym zapisujecie, prawda? Chodźmy daléj.

Wstrząsła się jeszcze raz i poszli.

A on nie odpowiadał jéj nic. Nie dziwił się już, iż każda myśl, jaką wyjawiała, była jakby wyjętą z jego myśli i głowy.

Minęli małą kładkę. Na skraju lasu ciągnęła się wąska struga, objęta w wysokie strome brzegi, pokryte gęstą trawą i krzakami dzikich malin, głogu i jerzyny. To było ich ulubione miejsce. Usiedli na trawie. Na kolanach trzymali książki, które wiecznie ze sobą przynosili, szczycąc się tém, że nigdy jakoś nie przyszło do tego, aby je czytać. Czas tak prędko schodził.

U stóp ich szemrała woda, a za wodą szeroko rozciągały się w ich oczach widziane już podczas drogi zielone pastwiska z końmi i krowami, plant kolejowy, czerwona budka dróżnika, lasek, a tam, hen w górę strzelały kominy, kościół i krzyże.

A po nad tém wszystkiém rozciąga się olbrzymie niebo, z którego wiatr pozrywał skrzętnie chmury co do jednéj, nie pozostawiwszy ani źdźbła białego obłoczka. I niebo całkiem nagie jaśnieje swoją jednolitą niebieskością.

— Jakie to wszystko przepyszne w kolorze—mówi Wanda swoim stylem malarskim, zmrużając oczy. — A moja czerwona bluzka tworzy także doskonałą plamę na téj zieleni pod błękitem nieba, prawda? Czemu pan się uśmiecha?

— Bo to może nie bluzka, ale jéj właścicielka tworzy przepyszną plamę na tym pejzażu?

Zrobiła śliczny grymasik zdziwienia i pokręciła główką, jak gdyby chcąc mówić: „No, no, także mi...” przyzwyczajona do tego, że jest ładna. I znudzona odrzekła, wzruszając ramionami:

— Dziękuję panu za komplement, panie Marcinkowski.

Odpowiedziała to z tak ładną minką, że doktór roześmiał się. A ona łechtana wiatrem, rozkoszując się aromatem powietrza i szerokiemi widokami, ciągnęła daléj, przejęta, zmieniając rozmowę:

— Świat jest piękny; i przyjemnie jest umiéć to ocenić i zdawać sobie z tego sprawę. Ten cały modny pesymizm—to blaga. Przyjemnie jest żyć—rzekła, odgadując jego optymizm i lubiąc być zawsze tego samego co inni zdania.

— Naturalnie — odrzekł jéj, wymowny dziś, rozegzaltowany. — Można byłoby być szczęśliwym, gdyby ludzie nie spaczyli życia i nie czynili z niego licho wié czego, jakiéjś karykatury, mogącéj zadowolić karłów, lub głupie i złe dzieci. Twierdzisz, że samo odczuwanie piękności natury daje ludziom szczęście. A iluż ludzi zwraca na nią uwagę? Jeden na stu z pomiędzy artystów, jeden na tysiąc z klasy inteligencyi, jeden na milion z arystokracyi, ani jeden z urzędników, ani jeden z kupców—nikt z burżuazyi całego świata. Mówimy o świecie starożytnym i o wiekach średnich i przytaczamy zawsze Homera i Danta. Mówimy o romantyzmie i pojawiają nam się w myśli Werther, Manfred, Rolla. Nastał *fin de siècle* i zjawił się Płoszowski i kilku potomków Bourgeta. Lecz pomyśl, ile miliardów ludzi przez całe wieki zdobywa się na tę esencyę z maleńkich atomów, z których dopiéro przy pomocy geniuszu tworzy się człowiek, mający swoje własne idee, swoje zdanie, czujący, myślący — wszystko jedno, czy to będzie typ dodatni, czy też ujemny. W każdym razie jest to ktoś, jest to człowiek. I pomyśl, ile dokoła niego kręci się miliardów ludzi, umiejących tylko urodzić się, pracować na chléb, grać w winta, miéć dzieci i umrzéć! Są to ludzie, którzy wiedzą tylko to, co przeczytają w gazetach i powtarzają, że należy postępować tak, a nie inaczéj, ponieważ inni tak postępują. Pan Piotr, mając lat 28, żeni się dlatego, że pan Jan będąc w jego wieku także się ożenił. Więc i pan Piotr ma salon z czerwonemi meblami, trzyma Francuskę do dzieci i chodzi jak pan Jan do teatru, lub gra w winta. Jest on lekarzem, adwokatem, urzędnikiem, fabrykantem, lub kupcem. Ot, i on cały od stóp do głowy. Różni się od innych tylko kolorem włosów, kształtem oczu, ust lub nosa. Nic wydobędziesz z niego nic. Nie może ci dać więcéj nad to, co posiada. Słyszysz od niego wiecznie też same utarte frazesy, płytkie o wszystkiém sądy. A jaki przytém pewny siebie, jak szczyci się swoją trzeźwością i rozumem, a jaki niedobry, cyniczny! Jak drwi sobie z gwiazd i księżyca, jaki ostry krytyk sztuki, choć sądzi ją z całéj swojéj wysokości, niby magnat po dobrym obiedzie swego błazna, jeżeli ten nie dość go bawi. Ci ludzie ulepieni są z pewnych instynktów, przesądów i przyzwyczajeń, po za tém nic w nich nie ma. I jeżeli ich zapytasz o coś, co w ich szemacie życia nie figuruje, uważają cię za waryata. Nie! Kultura wieków nie bardzo się na nich wysadziła. A Werther, Manfred, Płoszowski różnią się od nich wszystkich więcéj, niż oni od Aszantów, lub Aszanci od zwierząt. Po-

myśl więc, czy rozkoszą jest żyć na najpiękniejszym ze światów pośród pustki, żyć samemu śród miliarda ludzi, przed którymi musisz się ukrywać, którzy ciebie nie rozumieją i uważają za człowieka, spadłego z innéj komety.

— Jakie pan ładne dziś rzeczy mówisz i jak przyjemnie jest pana słuchać!

A on ciągnął dalćj:

— Lecz nie wymagam od nich tego, czego mi dać nie są w stanie. Wymagam jedynie, co jest z gruntu ludzkiém: serca. Nie filantropii, składek miesięcznych, ogłaszanych w kuryerze i pożyczek bez zwrotu, udzielanych wykolejonym przyjaciołom. Lecz my się tak wszyscy w gruncie mało kochamy, tak każdy z nas jest osamotnionym na świecie, tak mało kto cieszy się szczerze twoją radością, a martwi twoim smutkiem. Mało kto — powiedziałem. — Nikt ściśle, nikt, i to w najlepszym razie. Bo iluż odwrotnie cieszy się twoim smutkiem, a martwi twoją radością! Brr! Smutno! I samemu trzeba odejść i zamknąć się przed ludźmi na dwa spusty. Bo przyjaźń jest dla tych miliardów wkoło ciebie owém pojęciem z innéj planety, owém czémś, nie notowaném w szemacie ich życia, owém czémś, z czego drwi pan Piotr lub pan Jan. O! bo ci panowie nietylko że są jak lód zimni, nie wrażliwi i nie czuli na wszystko, co się nie tyczy ich bezpośrednio, lecz szczycą się jeszcze swoją trzeźwością i cynizmem. Przyjaźń—mówią—wiemy, wiemy! *Scènes de la vie de Bohème* Murgera: gryzetki, bohemia, przyjaźń, koleżeństwo, krynoliny — to wszystko już wyszło z mody.

I tylko kobiéta — ciągnął dalćj coraz dziś wymowniejszy, coraz bardziéj przejęty i rozmarzony — delikatniejsza od nich z natury, subtelniejsza i wrażliwsza, tylko kobiéta trzymająca wiecznie pochodnię oświaty, stwarzająca ognisko dzikim koczownikom, umierająca dla wiary w katakumbach Rzymu i rządząca rządcami świata, powinna mieć za cel nie plotki, lub w najlepszym razie dewocyę, lecz zmianę ideału dzisiejszego życia, które nie daje szczęścia nikomu, nawet panu Piotrowi i Janowi. Co za piękne zadanie! Wszak potraficie waszych władców wtajemniczać w kłótnie ze służbą i w komeraże waszych kumoszek, a pośrednio i ich mężów i czynicie z nich kompletnych babiarzy; czy nie łatwiéj przyjdzie wam, o! władczynie władców, wlać w nich kropelkę uczuć wyższych. Całe życie inaczéjby wtedy wyglądało. Teraz nie mają oni na to czasu: pracują za ciężko i nie pomni na nic wydzierają sobie wzajemnie grosz z zajadłością, lub obłudą zwierza—prawda. Ale spróbujcie też skwitować z czerwonych mebli do salonu, które sprawiacie na złość pani Piotrowéj lub Janowéj. A czyż to tak wielką istotnie jest przyjemnością, że ta biédna pani Piotrowa

martwi się z waszego powodu i was nienawidzi? Twierdzicie, że wasi mężowie są despotami. Ależ nie będziecie wszak kłamały przed samemi sobą: ci despoci robią wszystko, co zechcecie, choć czasami lubią udawać groźnych pod waszemi pantofelkami. Wasza rola w życiu społeczném ogromna, i lekceważyć jéj nie można. Lecz dość tych nauk, prawda? Starzeję się. Zaczynam moralizować i być nudnym.

Nie odrzekła mu nic. Milczeli przez chwilę, oboje trochę przejęci. Wreszcie wyciągnęła do niego rękę.

— Dziękuję panu za wszystko. Pojmuję, że z tego, coś mi pan mówił, nie wywnętrzałbyś się przed każdym. Byłabym szczęśliwą, gdyby to zwierzenie sprawiło panu ulgę.

Spojrzał jéj z wdzięcznością w oczy.

— Zdaje mi się, że kobiéta, która bardzo kocha swego męża, nabiéra intuicyjnie tych wszystkich zalet. Naprzykład Maniuta myśli tylko o pańskiém szczęściu. Z czasem więc...

— Dziękuję ci. Jesteś poczciwém i rozsądném dzieckiem. Będziesz kochała swego męża więcéj, niż pani Janowa i Piotrowa.

Machnęła rączką.

— E! Sama nie wiem, jaka jestem — rzekła, lubiąc mówić o sobie. — W każdym razie, zdaje mi się, że jestem gorsza, niż się panu wydaję. No, ale ściemnia się już. Znowuż nie będziemy dziś czytali naszych książek. Trzeba już iść do domu. Szkoda, było nam tu tak dobrze.

Wracali tą samą drogą. Z po za drzew lasu wypłynął nieśmiało blado-złoty księżyc, dziwnie odbijający od blasku dnia jeszcze białego. Jakiś bosy chłopak pędził krowy do domu. Przed chałupą na skraju lasu znikła kołyska z pyzatym dzieciakiem. Tylko Bryś czarny, spostrzegłszy powracających ze Strugi, uważał sobie za obowiązek szczekać swoim zmęczonym matowym głosem.

I to szczekanie psa, ginące het śród tych łąk olbrzymich, otoczonych zdala lasem i plantem kolei, było jedynym dźwiękiem w tym całym kącie świata.

Dokoła panuje cisza, ta wiejska nieprzerwana cisza, majestatyczna, tajemnicza, wielka, która bez słów zdaje się okazywać ci wszystkie cuda natury i przypomina ci, jak małą, marną rólkę gra człowiek we wszechświecie. Teraz natura pod wieczór, jak gdyby skończyła już całodzienne swoje zadanie, i trochę już zmęczona, senna, spokojna, lecz zawsze wielka, zdaje się układać do snu.

I w powietrzu czuć, jak gdyby ta cisza wraz z nocnym spokojem padały sobie w objęcia.

I Wanda nie zachwyca się już wciąż, jak przedtém idąc do lasu.

Choć zachwyt ogarnął nią całą—milczy, nasycona powietrzem, trochę zmęczona.

Tylko doktór, ekscytowany dziś, nie przestaje być wymownym i mówi wciąż o ideałach, o przyjaźni, o miłości, mówi wciąż i mówi:

— Ktoś powiedział, gdyby nie było Boga, należałoby go stworzyć. Gdyby nie było innego celu istnienia ponad marną wegetacyą codziennego życia, trzebaby go wynaleść. Ale nie prawda! Jest Bóg z całą swoją wielkością i zagadkowością, jest kościół, pyszny w swoim mistycyzmie i pompie obrzędów i są ołtarze, na których składają się wielkie ofiary. I jest znoszenie cierpień z tą pewnością, że kiedyś one się skończą. Wreszcie jest przyjaźń i miłość, nie ta, podobna do miłostki, egoistyczna, polegająca jedynie na chęci aby cię kochano, lecz większa miłość bezinteresowna, nie żądająca dla siebie niczego, a poświęcająca wszystko—cicha, cierpliwa, nieśmiertelna. I ta miłość powinna być miarą każdego człowieka. I zadawałbym pytanie: Powiédz mi, ilu z twoich współbraci prawdziwie kochasz, dla ilu znosiłbyś poświęcenia i ofiary, ilu ludzi zmartwienia cię martwią; powiédz, ilu ludzi na świecie jest ci obojętnych, ilu nienawidzisz, ilu ludziom wreszcie zazdrościsz, bolejesz nad ich powodzeniem i gnębisz się tém, że im szkodzić nie możesz, — a powiem ci, ile jesteś wart moralnie, kim jesteś.

Na niebie jaśnieje teraz w pełni księżyc, jak z dukatowego złota. Tu i owdzie kąpią się w jeziorze niebios, gwiazdy w bieli, jak duże perły.

I noc zarzuca na świat cały swój półmrok z przejrzystéj czarnéj gazy, łagodzącéj zieloność traw, błękit nieba i jaskrawość polnych kwiatów sprowadza do jednego tonu. Dokola panuje wciąż taż sama upajająca wiejska cisza.

I na tle tego przepysznego pejzażu idący tuż obok kształtnéj warszawianki doktór, ze swoją piękną głową, o wielkich, głębokich oczach i z brodą gładzoną cienkiemi, nerwowemi, długiemi palcami, mówiący wciąż o ideałach, o miłości, o życiu wyższém—wydaje się jakimś świętym, lub prorokiem, a ona powolną kochanką jego, lub piękną niewolnicą.

Przyszli wreszcie do domu.

— Coście robili tak długo przez Boga żywego — strofowała ich pani Maniuta — w téj waszéj Strudze? Przecież nie uciekłaby wam do jutra, a kurczęta na nic wysuszone. Jabym w ogrodzie Saskim tak długo nie usiedziała, a cóż dopiéro nad zwyczajnym rowem!

Nie odpowiedzieli jéj nic na to. Mimowoli tylko spojrzeli na siebie ukradkiem i uśmiechnęli się.

Lecz zbliżała się niedziela, dzień imienin poczciwéj staréj Łupinkowskiéj, rok rocznie uroczyście obchodzony. Nie można im było téj wizyty odmówić. Zresztą Wanda ciekawa była Dębinek, o których jéj tyle ongi opowiadano. I pomimo, iż Maniuta czuła się trochę niezdrową i w domu pozostawać musiała, postanowiono, iż doktór z Wandą pojedzie.

Zajechał wolant, zaprzężony w parę dzielnych koni. Ruszono. Minęli miasteczko i teraz skręcają koło karczmy, od któréj Wanda nie może oczu oderwać i odwraca się wciąż z wolanta.

Niedziela. Przed karczmą rojno i gwarno. Jakiś żydek wygrywa na skrzypkach, drugi na basetli mu towarzyszy. Między młodymi, jak zwykle, przekomarzania się, żarty, zaloty. Hoże dziewczyny w kraśnych chustach ze sznurami korali na szyi, zdrowe zęby do chłopców wyszczerzają, a ci w swoich jasnych sukmanach, w długich butach, wąsy kręcą, a za dziéwkami oczy im aż wylatują. Starzy na ławkach gwarzą, baby się kłócą. Lecz grupy jak w kalejdoskopie się zmieniają. Nowi goście przychodzą, słychać: „Niech będzie pochwalony”, sprzeczki, śmiechy dziewcząt i gwary.

A wolant sunie daléj ku Dębinkom drogą wąską, ciężką, piaszczystą. Z obu stron złocą się pola, usiane niezbyt gęstém żytem. Śród nich barwią się kraśne maki, szafirowe chabry, kąkole. I doktór spełniając prośbę Wandy schodzi z wolanta, aby jéj zerwać pęk polnego kwiecia.

Jadą daléj, a ziemia wciąż zmienia w ich oczach barwy, jak kokietka lubująca się w przemienianiu coraz innych szat, w których wié, że jest jéj do twarzy.

Tu zielenią się owsy i pszenica, owdzie bieli się gryka swemi maleńkiemi kwiatuszkami, a tam, jak okiem zasięgnąć, złocą się jednolicie żółte łubiny.

A śród tych pól i łanów wydłuża swoje ramiona Chrystus na wielkim, starym, drewnianym krzyżu, który wydaje się teraz przy rosnącym zmroku jeszcze dłuższym, jak gdyby ginął tam gdzieś het w górze, a ramionami zdaje się otaczać całą ziemię. A po nad tém wszystkiém płynie niebo ogromne, szafirowe.

A oni odurzeni powietrzem, jazdą, silnym zapachem łubinów, owiani wiatrem, rozglądają się dokoła i milczą.

Jest im dobrze; ściemnia się, ochładza. I doktór nic nie mówiąc okrywa jéj nogi pledem, otula chustką i jak małemu dziecku, podnosi kołnierzyk u jéj płaszczyka.

Wdzięczna mu za ten spacer, za to, że jest jéj tak dobrze i za

jego poczciwość—uśmiechnęła się do niego i rzuciła z przejęciem króciutkie:

— Dziękuję panu.

Doktór, bardzo poważny, nic jéj na to nie odpowiedział. Po chwili dopiéro wskazał jéj ręką:

— Ot tam—to są już Dębinki.

Zdala w dolinie śród łąk za rzeczką bielił się dworek z ganeczkiem, otoczony topolami. W oknach widać było światełka.

Skręciwszy koło karczmy, zjeżdżali teraz z góry i tylko kilka minut drogi oddzielało ich od owego sławnego mostu, który był postrachem wszystkich gości, jadącycd do Dębinek.

Wanda słyszała o nim oddawna, udawała jednak zucha i twierdziła zawsze, że się nie boi.

Lecz teraz od chwil kilku pytała już kilka razy:

— Czy daleko jeszcze do tego mostu?—i zaraz tłómaczyła się: — Niech pan nie sądzi, że się boję, tylko tak się pytam — i późniéj znowuż dodawała: — A może by było lepiéj zejść i pieszo przebyć ten kawałek drogi?

Lecz w balowych pantofelkach nie mogło być o tém mowy. I doktór, aby jéj myśl rozerwać, zaczął rozpytywać ją o rzeczy, które ją najbardziéj zajmowały.

— A kogo pani woli, Böklina czy Puvis de Chavannes?

— Ach! obaj są geniuszami, jakich na świecie jeszcze nie było.

— A Mallarmé i Verlaine?

— Ach! jak można nie znać Mallarmé'go i Verlaine'a. Czy pan wiecznie będziesz się zachwycał swoim Wiktorem Hugo?

Zaczęła się egzaltować nad Mallarmé'm i Verlaine'm, nie spostrzegłszy, że wjechali na ów nieszczęsny most, nienaprawiany od wieków, z belkami dygocącemi jak na sprężynach. Droga była wąska. Na dworze było ciemno. A dolina, rozkładająca się z obu stron, wydawała się olbrzymią przepaścią. Konie wskutek przeciągłego chodzenia z góry na dół były niespokojne.

— Trzymaj mocno konie—przypominał stangretowi doktór.

I Wanda, która teraz dopiéro pojęła to zainteresowanie się doktora Mallarmé'm, Böklin'em *e tutti quanti*—zlekka zadrżała. Uśmiéchała się jednak trochę blada, czując poruszenie każdéj belki na moście w swojém serduszku i biorąc owo bicie za poruszanie się belek i odwrotnie.

— Wié pan, lepiéj zejdę...

Lecz most już się skończył, stangret z bicza trzasnął i konie wy-

ciągniętym kłusem pocwałowały w ciemną lipową aleję i stanęły przed gankiem dworka, z którego okien przepysznie biła na ciemne szpalery łuna lamp i świéczników.

Salonik państwa Łupinkowskich z wiecznie temi samemi mahoniowemi meblami, ustawionemi przy ścianie, z temi samemi landszaftami, ze śpiącemi mamami na kanapach, oraz z młodą generacyą takich samych panien aptekarzówien i kuzynek, jakotéż z wieloma dawniejszemi, draśniętemi trochę zębem czasu, nie zmienił w niczém swego charakteru.

Jak dawniéj Bogu duszę winna pani Łupinkowska zapraszała poczciwie do ciągłych zakąsek i cieniutkiego węgrzyna, przynoszonego na tacy. Ciocia Nacia siedziała przy długim wąskim fortepianie. Jak zawsze rej wodzili pan Florkiewicz, opowiadający teraz w przerwie tańca o swojéj ostatniéj kreacyi w komedyjce „Kalosze”, odegranéj na pogorzelców—i wyśmiéwający go, dumny ze swego nieuctwa donżuan okoliczny, piękny pan Marcinkowski i w różowym już humorze zaglądający często do kieliszka olbrzymi pan Łuba ze swemi konopiastemi wąsami, burakową twarzą i manierami ekonoma.

W kącie opychał się zakąskami w wieczystéj roli starającego się pan Kacperski. Z sąsiedniego pokoiku, zapełnionego zielonemi stolikami, w kłębach niebieskawego dymu pływają, dochodzi gwar anegdotek starego Łupinkowskiego, oraz sakramentalne okrzyki: *pik*, *trefl*, *caro atu* — nie wiedzących w téj chwili o Bożym świecie ojców, mężów rodzin oraz księży.

Wanda wszedłszy do salonu w swojéj różowéj gładkiéj sukience o krótkim stanie z bufiastemi rękawami *empire à la Telimena*, ze swemi ciemnemi włosami, zdobnemi w przepaski, zaczesanemi w loczki jak u wykopanych starożytnych posągów Grecyi i Rzymu lub *à la* pani Recamier z obrazu Dawida, sprawiła wrażenie nadzwyczajne. Dziwiono się, szeptano.

Stanowczo była jak na ten salon za piękna, za elegancka. Nie było tu już mowy o jakiéjś zazdrości, lecz wszyscy czuli się zawstydzeni, onieśmieleni i obawiali się, że im będzie tamowała zabawę. I doktór zaczął żałować, że ją tu niepotrzebnie przywiózł.

Pan Marcinkowski odczuł doskonale, że z nią nie można grać roli donżuana. Spadł téż na niewolnika, na clowna, aby módz tylko patrzéć na ten obrazek, aby obrazek raczył mówić z nim, śmiać się z niego i pozwolił choć raz z sobą przetańczyć. A ona po godzinie drwiła sobie z niego w najlepsze.

— Panie Marcinkowski, kto napisał Maryę Malczewskiego? — pytała, uśmiéchając się swoim mądrym uśmiéchem.

— Któż? Mickiewicz—żartował, chcąc jéj się przypodobać.

— Panie Marcinkowski, a jak długo trwała wojna trzydziestoletnia?

— Tego, jak Boga kocham, niech mię pani zabije—nie wiem.

I Wanda wybuchała swoim ślicznym śmiéchem, a dokoła panny i ich mamy patrzały na nią z zachwytem i szacunkiem.

— Panie Marcinkowski, nie żądam od pana ani krokodyla, ani hydry lernejskiéj, ale niech pan w dowód czci dla mnie czyta przez tydzień chociaż kuryera, ale całego. Przyjedzie pan do nas i opowié mi pan wszystko od deski do deski.

— I przegląd polityczny mam czytać?

— Wszyściutko—odrzekła nieubłagana.

Kiedy dobijali się o to szczęście, aby z nią tańczyć i dochodziło między tancerzami do sprzeczek z tego powodu, mówiła jak wyrozumiała królowa:

— Jak to przyjemnie uszczęśliwiać takim tanim kosztem. Czekajcie panowie, będę tańczyła i z panem i z tym panem, ze wszystkimi, kto zechce. Tylko zastanówmy się dobrze, czy to istotnie jest takim szczytem szczęścia tańczyć ze mną?

A kiedy po chwili podczas kadryla pan Marcinkowski pytał ją:

— Czy pani lubi wieś?

Roześmiała się i odrzekła:

— Ach! mój panie, tylko niech mnie pan nie emabluje.

Lecz w saloniku pomimo otwartych okien staje się tak duszno, że nietylko tańczyć nie można lecz i oddychać trudno. Postanowiono więc zaczerpnąć trochę powietrza w ogrodzie. Damy ubiérają się w zarzutki, lecz panowie nie powkładali nawet kapeluszy.

I na dworze parno. Atmosfera ciężka. Noc ciemna, niebo bez gwiazd, a oświetlony dworek na tle czarnéj nocy jaśnieje jak jedna wielka latarnia.

Nawet księżyc, jakby przez dyskrecyę, schował się za chmury. I pary, nie bardzo oddalając się od ganku, giną w ciemnéj gąszczy drzew śród krętych ścieżek ogrodu, to otaczając klomb, spotykają się ze sobą, to znowuż na chwilkę giną.

Gdyby jednak jaki pyzaty o złotych włosach Eros, zwabiony piękną nocą, zabłądził tu, biorąc biały ganek dworku ze słupkami za marmurową świątynię o jońskich kolumienkach, a krzaki bzu i akacyi za mirtę, róże i oliwki i gdyby usłyszał flirt gości Łupinkowskich, dębińskich adonisów i gracyi, wszystkich panien aptekarzówien i ich kuzynek, potłukłby swoją lirę, złamałby z gniéwem skrzydełka, a lwa na którym tu przyjechał, chybaby udusił.

•

— Och! jak ja bym chciała umiéć tańczyć suwanego walca w lewo—wzdycha jakaś młodziutka Fryne.

— Wié pani, to bardzo łatwo. I ja dawniéj nie potrafiłem, dopiéro pewnego razu...—i giną w ścieżynkach ogrodu.

— Wié pan, ksiądz Zarembski dziś podczas kazania tak się zakrztusił, że myślałam, iż będzie musiał zejść z ambony.

— Eh! powiem pani coś lepszego. Pamiętam, pewnego razu...— i znikli w ciemnéj alei, kiedy pierwsza para powraca i, okrążając klomb, kończy w najlepsze rozpoczętą rozmowę o suwanym walcu.

I do takich rozmów wonieją kwiaty, łechce was wiatr i księżyc chowa się za chmury? O, biédny kupidynie i jego piewco Anakreonie. Nie, Dębinki—to nie Grecya; uciekajcie stąd!

Wanda, porzuciwszy wszystkich, spaceruje po ciemnym ogrodzie ze szwagrem. Rozmawiają cichutko. Niewdzięcznica wyśmiéwa swoich wielbicieli—pewna, iż wszystko, co mu powié, zajmie go i spodoba mu się — opowiada mu jak ojcu, pieszczącemu swoją jedynaczkę, o wszystkiém, o wszystkiém: o Marcinkowskim, o Maryi Malczewskiego, o wojnie 30-letniéj, o kuryerku i śmieje się cichutko do rozpuku.

— Ostrożnie, usłyszą nas — strofuje ją doktór, uśmiéchnięty, dumny z niéj i szczęśliwy.

— A jacyż są paradni! — A potém, zmieniając rozmowę: — Patrz pan na ten księżyc, wykradający się z po za gęstych chmur—przepych, co? A widzi pan tam na krzakach robaczki świętojańskie? Gdyby tak do mnie przybiegły i usiadły mi na głowie, wyglądałabym jak dyadem z małych gwiazd lub brylantów.

I znikają wśród drzew alei.

Lecz powietrze staje się coraz parniejsze. Nagle suchy wiatr z szumem zawył; słychać grzmot, jakby stuk wielkich kamieni lub turkot olbrzymiego wozu i niebo śród czarnéj nocy wstrząsa się wielkiemi złotemi smugami. I duże jak perły pierwsze krople deszczu spadają na ziemię.

Całe towarzystwo pędem powraca do dworku. Panowie pozostają na ganku, śmielsze damy przypatrują się przez okno. Bojaźliwsze tulą się do siebie, zatykają uszy od grzmotów i żegnają się za każdą smugą złota, oświetlającą niebo.

Nareszcie deszcz rzęsisty, jakgdyby zwalczywszy przeszkody, spływa wielkiemi potokami z hałasem drobnego śrutu rozrzucanego po metalu.

— Ach! —oddychają szeroką piersią panowie na ganku.

A listki, kwiaty, trawy, zmęczone upałem, suche, zdają się szeptać: Dzięki Bogu, dzięki Bogu. I wszyscy radują się tym deszczem,

jak dobrym, długo oczekiwanym gościem. Powietrze się odświéżyło, cała ziemia wonieje, a najmniejsze źdźbło zieleni zdaje się przesyłać dziękczynne modlitwy ku górze.

Towarzystwo powraca do przerwanéj zabawy.

Jeszcze trochę tańców, jeszcze trochę flirtu, niewinnego jak u dzieci, jeszcze trochę zabaw towarzyskich w rodzaju: cenzurowanego, cztery kąty, pierścionki — i następują wreszcie bardzo długie pożegnania, panie rzucają się sobie w objęcia, panowie cmokają je w rączki — i goście się rozjeżdżają. Bal w Dębinkach skończony.

Doktór otula pledem siedzącą tuż obok niego w wolancie Wandę.

— Zimno, co?

Zaprzeczyła głową, jakgdyby obawiając się zepsuć rozkosz ciszy dźwiękiem głosu.

Minęli most, który teraz przy jeździe pod górę jest mniéj groźnym i konie ruszają wyciągniętym kłusem. Burza skropiła piasczystą drogę, ochłodziła i odświéżyła powietrze. Niebo po deszczu się oczyszcza, gwiazdy tu i owdzie błyszczą i z po za chmur wypływa księżyc podobny do złotego sierpa.

Lecz pomimo to noc dość ciemna. I tylko ognik zapalonego cygara oświéca ich oboje, siedzących śród mroków w pojeździe. Wiatr ladaco, wałęsający się po całych nocach tu wśród tych szerokich pól i łanów łechce ich dla figlu po twarzy i targa Wandzie włosy.

Łubiny wydają teraz woń jeszcze silniejszą i atmosfera nocy roztacza swoje rozkosze, trudne do analizowania — nieme, pełne zagadek, tajemnic, przepełniające nieokréśloném uczuciem twoją duszę i całe jestestwo.

Wanda jest trochę senna, a doktór zaciąga się tylko swojém cygarem. Nie mówią nic do siebie. A konie, jakby czując swój dom, owiane powietrzem, pędzą jak szalone. A wolant na dobrych resorach ugina się miarowo, jak kołyska.

I doktór, nie zdając sobie ze swoich uczuć sprawy, gryzie swoje cygaro i nie patrząc nawet na towarzyszkę, czuje się szczęśliwy, szczęśliwy, szczęśliwy... Nie żąda od losów niczego. Bo cóż by mu one zresztą dać mogły? Pragnąłby tylko, aby ta droga trwała jaknajdłużéj. Choć i tego życzenia swego nie formułuje. Cieszy się tą chwilą istnienia jak kwiaty, jak ptastwo, jak dzieci, które wszak nie wiedzą o tém, że istnieją.

Mógłby objąć kibić swojéj towarzyszki — niby z obawy, aby nie wypadła z wolantu, mógłby dotknąć się skraju jéj sukni lub trzymać jéj rączkę w swojéj w dłoni. Lecz po co? Czuje się szczęśliwym, że

ona jest przy nim tu śród tego pustkowia —niby sama jedna na świecie jedynie pod jego opieką i że nie stanie jéj się żadna krzywda. Czuje, że ona jest zadowolona z balu i że to zadowolenie jemu zawdzięcza, że mu bardzo sprzyja, jak komuś bardzo bliskiemu sobie, jak ojcu lub bratu. I jest szczęśliwym, a zarazem dumnym, że była najpiękniejszą ze wszystkich, że wzbudzała podziw.

— Zimno, co?

— Nie.

Znowuż poprawia pled na jéj kolanach jak dziecku i grozi jéj:

— No, aby się tylko nie zaziębić.

Wanda z wdzięcznością uśmiecha się do niego. A konie pędzą wciąż naprzód, a wolant po miękkiéj drodze za nimi płynie. Na niebie zjawiły się teraz gwiazd miliardy i lazur użycza swoich błękitów ziemi i powietrzu. I pomimo ciemności cały świat wygląda jak skąpany w tych błękitach i oparach. I natura cała jeszcze wilgotna pachnie jak piękna kobiéta po kąpieli. A wielki krzyż z Chrystusem, pływający w téj ciemnéj niebieskości zdaje się teraz sięgać swemi ramionami nieba i łączyć je z ziemią.

Minęli karczmę opuszczoną z zabitemi okiennicami, jak grób ciemną i wąskie uliczki i rynek śpiący, martwy i stanęli wreszcie przed domem.

Zaspana służąca, przeciérając sobie oczy kułakiem, otworzyła im drzwi. Sień była oświetlona jedynym kagankiem. Zresztą dokoła we wszystkich pokojach czarno, a z kuchni dochodzi chrapanie służby.

Wanda zrzuca z siebie niedbale płaszczyk i kapturek i wyciąga rękę do doktora.

— Dziękuję—mówi z przejęciem, jakby nie mając sił więcéj mówić.—Dziękuję za wszystko.

W piersiach czuła, jak gdyby ktoś włożył jéj w głąb te wszystkie z nim razem przejechane mile z aromatami ziół, z gwiazdami, z księżycem, z tajemnicami i urokami nocy.

— Nie zapomnę tego wieczoru nigdy. Nie zapomnę tego pobytu u was. Dziękuję za wszystko. Czuję się bardzo zmęczoną. Dobranoc.

Nie wypuszczał jeszcze przez chwilę z rozpalonego uścisku jéj rączki i odrazu—niewiadomo skąd mu się to wzięło—(był także senny) przylepił ją do swoich ust.

Uczuwszy na ręku gorąco jego wargi, Wanda drgnęła. Dotychczas nigdy jéj w rękę nie całował. Rumieniec oblał jéj śpiącą twarzyczkę i gwałtowniéj, niż wypadało, wyrwała rękę. Spojrzeli sobie mimowoli w oczy.

Noc ze swoją ciszą i urokami nie próżnowała. I choć to wszyst-

ko nie trwało minuty, lecz przędza jakichś czarów już ich owinęła. Czyżby Eros, znudziwszy się w Dębinkach, przybiegł tu za nimi?

— Dobranoc—rzekła Wanda innym już jakimś tonem. A po głowie przeknmęła jéj lotem błyskawicy myśl:

— Jaka szkoda, że się to stało.

— Dobranoc—odrzekł jéj doktór spokojnym głosem szwagra.

I rozeszli się do swoich pokoi.

IX.

Maniuta nie przychodziła jakoś do zupełnego zdrowia i doktorowi wpadła myśl, iż powinna odpocząć od zgiełku gospodarstwa i dzieci — gdzieś w górach i przebyć tam systematyczną kuracyę. Podług niego, nadawałby się do tego pobyt kilkotygodniowy w Krynicy. Lecz Maniuta z początku o tym wyjeździe słuchać nie chciała, choć doradzał jéj mąż, Wanda i wszyscy jéj znajomi—bez skutku.

— Nigdy w świecie nie zostawiłabym dzieci. Zresztą, co ja bym tam sama robiła? Nie możesz przecie rzucić praktyki, a i tak nie wysiedziałbyś tam długo.

W końcu wyrwało jéj się:

— Chyba, że Wanda ze mną pojedzie.

Wandzie oczy aż błysnęły i rumieniec radości po białéj twarzyczce przeleciał.

— E! mama nigdyby się na to nie zgodziła.

— A panna Wanda?—zapytał doktór.

— Panna Wanda — odrzekła — nie dałaby się o to długo prosić. Ale nie ma o czém mówić. Znam mamę: święcie nie pozwoli. Trzeba będzie wracać do téj miłéj Warszawki — westchnęła bardzo znów strapiona.

Tegoż dnia jeszcze doktór zabrał się do pisania listu do teściowéj. Ten przypuszczalny opór matki i te przeszkody do zwalczania zachęciły i Maniutę daleko bardziéj, niż dotychczasowe perswazye i prośby męża. I jakież było zdziwienie i radość, kiedy odpowiedź nadeszła i Maniuta odczytała już na głos, iż mama nie ma nic przeciwko wyjazdowi Wandy, żąda tylko, aby Wanda w drodze kilka nowych sukien sprawiła. Trzeba, aby się podobała zagranicą, może Bóg da, że jéj się tam coś zdarzy.

— Ach! ta mama!—mówiła trochę nieszczerze Wanda — wiecznie tylko o tém myśli! Mnie się wcale nie śpieszy. A jeżeli nawet wcale za mąż nie pójdę—to co?

— Co ty tam wiész!—machnęła ręką Maniuta.

List matki utkwił Maniucie w głowie. Że téż jéj to na myśl nie przyszło? Ależ naturalnie! musi u wód wydać za mąż siostrę.

— Ach! to byłoby świetnie!

Teraz paliła się do téj podróży. I wieczorami, kiedy się do snu kładli, opowiadała do późnéj nocy mężowi o tych projektach. Zaczęto pakować kufry.

Doktór odwiózł je teraz do Krynicy, najął im mieszkanie, polecił opiece lekarzy, bardzo uprzejmych dla żony i siostry kolegi i naglony czasem—powrócił do Borowa.

Pozostały teraz w Krynicy same. Nazajutrz zaraz rozpoczęły kuracyę. Aby Wanda się nie nudziła, poradzono i jéj pić słotwinkę i brać mineralne kąpiele. Była niemi zachwyconą: bawiły ją musujące kulki wody, pokrywające jéj piękne młode ciało.

— Wiész—mówiła do siostry—mam uczucie, jak gdybym kąpała się w szampanie — i tarła swoje piękne ciało, aż czerwieniło się całe i połyskiwało bogactwem karnacyi — pyszne, nie do uchwycenia w kolorze.

Stanęła potém w lustrze i egzaminowała swoje nogi świetnie narysowane i dwa zaokrąglenia piersi, szyję, jak u łabędzia, ramiona i ręce całe jak utoczone. Nie raziła ją ta nagość, była zanadto artystką. Badała swoje kształty, tak jak podziwiała bez fałszywéj pruderyi marmury w muzeach.

— Ciekawa jestem, czy się tu kto dla mnie znajdzie? — szeptała sama do siebie.—Ha! Zobaczymy!

Faktem było, iż chociaż oburzały ją niby projekty matki i Maniuty — i ją nęciła nietylko piękność gór do téj podróży. To zaś, co mówiła szwagrowi w tym względzie, było — ot tak sobie poprostu panieńskiém udawaniem. Śmiech i żarciki były dobre, kiedy była w towarzystwie, kiedy była samą, potrafiła być i poważną. Należało myśléć o przyszłości.

— Jeżeli tu nie, to już chyba nigdzie. Nigdy—westchnęła.

Maniucie na karku dłużéj siedziéć nie wypada. Cudzych kątów wiecznie wyciérać nie można. Trzeba będzie wracać do téj miłéj Warszawki.

Wzdrygnęła się. Nie uśmiéchała jéj się ta cała nędza domowego życia, zrzędzenie matki, codzienny cienki rosół i sztuka mięsa z ćwikłą, od któréj u szwagra już odwykła, i to liczenie każdego kawałka cukru i spanie na niewygodnéj kanapie. Ach! I ten wieczny Saski ogród, z którego — dla zaoszczędzenia dwudziestu groszy na tramwaj, wracały

z matką do domu pieszo, zziajane, zgrzane, zmęczone, z trenami sukien w rękach, aby się nie zakurzyły.

I ten karnawał z balami, na które się jedzie bez futra w niewygodnéj dorożce w balowéj sukni, która kością w gardle ci staje z chwilą, kiedy się pomyśli, ile głowy trzeba było sobie nałamać o kupno każdego łokcia wstążeczki. I ładny humor maski na tych balach! Nie, miała tego wszystkiego po szyję. Zacisnęła aż piąstki.

— Żeby tam nie wiem co, muszę wydać się tu za mąż. Dość już mam tego wszystkiego.

Kiedy opuściły korytarze długiego budynku kąpielowego, podobnego do koszar i przechodziły w towarzystwie asystującego im lekarza przez długą cienistą aleję deptaku, nie było ani jednéj osoby, co by się za nimi nie odwróciła.

Zrobiła tu furorę. Mężczyzni stawali, oglądając ją od stóp do głowy. A kobiétom stojącym przy źródle w krytéj kolumnadzie z zaciekawienia o mało nie wypadały z rąk kubki ze słotwinką.

Była rzeczywiście jeszcze piękniejszą niż kiedykolwiek w swoim nowym wiedeńskim kostyumie z ciemnego sukna angielskiego, pysznie uwydatniającym jéj kształty — z męskim, lśniącym, białym webowym kołnierzykiem i fantazyjnie uwiązaną krawatką. Z pod wielkiego czarnego rembrantowskiego kapelusza zarysowywał się owal jéj matowéj bladéj twarzyczki o długich egipskich oczach z czarnym pieprzykiem, z karminowemi ustami wielkości piątki. W ręce, obciągniętéj w popielatą rękawiczkę z czarném wyszyciem, trzymała jakiś tomik w żółtéj okładce wydawnictwa Hachette'a. Książka ta zdawała się o niéj mówić.

— Jestem w wyborze towarzystwa dość trudną. Jeżeli nie znajdę tu kogoś, coby mi odpowiedział, lektura w zupełności mi wystarczy.

I szła wyprostowana, nie zdająca się wiedziéć, co się wkoło niéj dzieje, niby zajęta towarzyszącym jéj lekarzem, posuwając się w takt porannéj muzyki, rozbrzmiéwającéj tu wśród gór i lasów. I jak żołnierz, wstępujący do walki, zdawała się nosić dewizę: Zwyciężyć muszę.

Koło niéj dreptała Maniuta także w nowéj sukni, lecz źle włożonéj i, podług wyrażenia kobiét, płaczącéj na niéj. I rozpowiadała bez końca towarzyszącemu lekarzowi bardzo nieciekawe rzeczy, uskarżała się na niewygody w hotelu, na nieporządki w kąpieli, — doskonale nadająca się do nowéj roli matki, którą przyjęła na siebie pomimo niespełna 30-tu lat wieku.

Zaledwie przeszły raz jeden aleję deptaku, dobiegła do nich mecenasowa Rolska, coroczna piła Krynicy, robiąca tu, jak wszędzie ho-

nory domu, jak gdyby Krynica do niéj należała. Znaną tu była, jak zły szeląg. Rok rocznie kłóciła się i przepraszała z restauratorami, garsonami i służbą kąpielową i straszyła lekarzy, że „noga jéj już tu nie postanie”. Ci zdawali się być prawie pocieszeni — i na przyszły rok znowuż przyjeżdżała. Przedstawiała się sama na deptaku; jednych protegowała, z innymi się gniéwała. Wszędzie jéj było pełno.

Głównie chlubiła się tém, że każde głupstwo, które jéj przyszło do głowy, uważała sobie za obowiązek, mówić wszystkim w oczy, choć nikt ją o to nie prosił.

W gruncie dobra kobiéta, nieznośna była z tą szczerością. Ludziska uciekali téż, jak mogli od jéj *verba veritatis*, na co rady z powodu jéj wieku nie było. Zresztą krzyczała zwykle tak głośno, że ludzie zdaleka słyszeli ją i śmieli się, co rozmówców żenowało.

Lekarz, spostrzegłszy ją, chciał przejść z paniami na inną stronę. Lecz zapóźno! złapała już ich w swoje szpony.

— Jestem mecenasowa Rolska z Warszawy. Zapewneście już panie o mnie słyszały. Musiałam się przedstawić, bo takiéj pięknéj buzi, jak żyję, nie widziałam. Jeżeli mężczyźni na pani się nie poznają, to są idyoci — krzyczała coraz głośniéj — idyoci, mówię im to wszystkim w oczy.

Panie żegnały się z nią.

— Zobaczymy się wszak dziś na reunionie — krzyknęła im na odchodném.

Kiedy odeszły na śniadanie, lekarz, w którego towarzystwie po deptaku spacerowały, był w formalném oblężeniu.

— Cóż to za jedne? Skąd przyjechały, kiedy, na jak długo.

Odpowiadał, tryumfując:

— Co? Ładna! Skąd przyjechała? Skądby? Naturalnie, Warszawianka.

— Jak się nazywa, co za jedna?

— Ta starsza, to pani doktorowa Klimowiczowa z Borowa; ta piękna, to jéj siostra, panna Wanda Malinowska, córka jakiegoś wyższego urzędnika z Warszawy. Posag zdaje się niewielki. Ale przy takiéj urodzie chyba może się nie obawiać.

— Wanda Malinowska — wybiegało z ust do ust na całym deptaku i stanawiło *evenement* śród monotonii życia kuracyuszów.

— No, przynajmniéj jest teraz w Krynicy jedna twarz podobna do ludzi—darła się w niebogłosy pani mecenasowa, a mężczyźni pokładali się od śmiechu.

Bo sezon tegoroczny istotnie nie był bardzo ożywiony, choć ludzi

zjechało się mnóstwo. Lecz Warszawa i Królestwo nie dopisało. Panny były niecickawe, a mężatki wszystkie ze zwiędłemi twarzami, niezgrabne, blade, leczące się, chore.

Bawiła tu wprawdzie przez kilka tygodni jakaś Węgierka, dość przystojna i wesoła, ale panie przestały z nią żyć, bo lubiła zbytnio wieczorne spacery po parku, a i panom z kolei już się w końcu sprzykrzyła. Wreszcie wyjechała. I teraz nazywało się, że nie ma tu nikogo. Utyskiwano na nudy; bardzo wielu mężczyzn zamierzało wyjechać „z téj dziury.”

Zarządzający zdrojowiskami i lekarze łamali sobie głowy. Wszystko szło jak z kamienia. Reuniony się nie udawały, ani koncerty, ani wycieczki.

Zdarza się to w teatrach: opera za operą pada, dyrektorzy wzdychają, wyrywają sobie włosy z głowy, sprowadzają jednego śpiewaka za drugim, nowe maszynerye, nową wystawę—nic nie pomaga. Wreszcie jest to coś, czego publiczność, nie umiejąc wyrazić swoich życzeń, pragnęła—zjawiła się primadonna, która do gustów trafiła. I sytuacya odrazu uratowana. „Jest”—powtarzali sobie dziś lekarze.

I cały zakład kąpielowy, gdyby mógł, poprzylepiałby afisze z podobizną Wandy Malinowskiéj, z wyliczeniem jéj lat i opisem tualet.

Muzyka już grać przestała. Ostatni wyblakli maruderzy opuszczali altanę z zawiniętemi we flanelę basetlami i puzonami pod pachą. Tylko monotonny plusk fontanny, ustawionéj śród klombów z misternemi dywanami kwiecia, które odbijały się pysznie swoją różnobarwnością od ciemnéj zieleni sąsiednich gór i lasów, rozpruwał ciszę pogodnego bez wiatru słonecznego poranku.

Pomimo to grupy ludzi wyjątkowo do domów się nie rozchodziły, słychać było zachwyt, zarzuty, krytyki i zaciekawienie, jak te panie będą tu żyły i z kim, czy będą dziś na reunionie.

Zwróciła nawet uwagę hrabiny Rzężyckiéj i jéj czterech dość młodych jeszcze dorosłych córek, zwanych tu powszechnie fornalką, z powodu pospolitości rysów i złego ułożenia.

Panie te pełniły tu obowiązki *noblessy.* Cała legenda o nich kursowała. Należały do tak zwanéj arystokracyi galicyjskiéj. Tytuł ich pochodził z Wiednia, a babka ich była podobno kawiarką. Miały ogromne *fumy* i z nikim się nie łączyły, choć biéda aż piszczała. Stołowały się w drugorzędnéj restauracyi, a panny ubierały się ohydnie i miały *tupet* ogromny. Widocznie kogoś z wielkich nieudolnie naśladowały. Wszędzie ich było pełno. Rozrzucały się ze swoją francuzczyzną, biegały wiecznie, jak szalone, mówiły głośno i śmiały się nie-

grzecznie, jakby w nosy wszystkim. Ogólnie ich też nie lubiano i nie podobały się.

Otóż słyszano teraz, jak jedna z hrabianek odezwała się, mówiąc o Wandzie:

— *Çe doit etre une actrisse, n'est ce pas?*

Lecz mężczyźni na deptaku byli w ekstazie. Niektórzy cmokali. Do grupy ich zbliżył się nowy przybysz, jakiś młodzian o poczciwéj, lecz brzydkiéj twarzy, piegowatéj z rudym wąsem, z blademi bez wyrazu oczami i z miękkiemi wargami, ukazującemi przy sympatycznym, choć brzydkim uśmiechu, szereg nierównych zębów, z których kilku na samym przedzie brakowało.

Ubrany był pretensyonalnie, bardzo niegustownie, w czerwonym krawacie, z dużym brylantem na palcu.

Od pierwszych słów, jakie do niego przemówiono, było znać z tonu i rodzaju traktowania go, iż posiadał wadę, zakrywającą nieraz wiele innych zalet, wadę, któréj jednak świat nie wybacza. Był śmiesznym, chwalił się i kłamał, ot, tak sobie nieszkodliwie, bez żadnego powodu. Był to jego sport wcale nie-gentlemeński. I nikt nie wiedział już o nim nic nadto o jego charakterze, ani nie ciekawy był poznać go głębiéj.

Najbrzydsza kobiéta nie rzuciła na niego nigdy okiem. Panny z niego drwinkowały, choć kupował im bardzo piękne bukiety, urządzał kosztowne wycieczki, odgadywał ich myśli i był na usługi. Nikt nie traktował go seryo. Wiedziano tylko tyle, że pan Ernest Miler, właściciel parowéj dystylarni w Warszawie, Niemiec z pochodzenia, podobno zamożny, jest śmieszny i kłamie.

— Wié pan, panna Malinowska z Warszawy dziś tu przyjechała.

— Ależ znam ją doskonale. Słowo honoru.

Wszyscy w oczy mu się roześmiali.

— Bardzo pięknie. Przedstawisz nas w takim razie dziś jeszcze. Będzie na reugnonie.

— To jest, nie znam jéj osobiście — poprawiał się — i przecież tego wam nie mówiłem. Znam ją tylko z widzenia doskonale. Nie wierzycie? To znana w Warszawie piękność. Opowiem wam, jak wygląda.

Na szczęście rysopis się zgadzał.

— Nie szykuje się panu. Zjawia się wtedy, kiedy wyjeżdżasz. Bo pan masz przecież rzeczy już zapakowane.

— Nie ma głupich. Zostaję. Kocham się w niéj od czterech lat. A i ona kiedyś rzuciła mi spojrzenie na ulicy. Słowo honoru.

— Pan ją upajasz. Cóż dziwnego, kiedy ma się dystylarnię.

— To nawet dobra reklama, że jego spirytus tak silnie działa.

Poszli na bilard, następnie do knajpki na wino, za które płacił, jak zwykle Ernest Miler.

W sali pod Barankiem było zebrane wieczorem całe już towarzystwo. Zabawa zapowiadała się świetnie.

I dziwnie wyglądała ta sala z bielonemi ścianami, z niskim pułapem, z sionką małego dworku, wychodzącego na cienistą aleję, jak w Dębinkach — zapełniona towarzystwem niejednolitém, które, choć trąca się z powodu ciasnoty ramionami i po piętach sobie chodzi, jednak dzieli się na koterye, kółka i koteryjki, trudniejsze do zdobycia, niż Monblanc lub mur chiński.

I trzeba widziéć miny pań, z jakiemi podają sobie ręce w ostatniéj ogólnéj figurze kontredansa i wszystkie ich finezye: ileż pod wspólnym mianownikiem zabawy kryje się żalu, cichych uraz i podrażnionéj ambicyi! Tyle, że aż zabawa prawie znika.

Teraz wszyscy spoglądają na drzwi wchodowe. Dotychczas ich nie ma. Dają na siebie czekać. Panie ciekawe są, jak będzie ubraną, i czy zbliska jest tak piękna, jak na ulicy.

Z przedpokoju dochodzą szepty. Są. Zdejmują już z siebie zarzutki. Wreszcie wchodzą do salonu. Maniutę prowadzi pod rękę dyrektor zakładu; za nią wchodzi Wanda, wsparta na ramieniu towarzyszącego na deptaku lekarza.

Ma na sobie białą suknię wenecką ze złotemi galonami, z wielkim stojącym *guipure*'owym kołnierzem *à la* Medicis. Dyrektor zapoznaje je z żoną i córką, lekarz z swoją siostrą zamężną. Wkrótce panie te otoczone są rojem mężczyzn. Lecz Wanda ma tańczyć dziś tylko kadryle, ponieważ czuje się zmęczoną po podróży.

— Ach! jak to dobrze, że znajduję tu kogoś z mojéj ukochanéj Warszawy — mówi do Milera. — Pan zna państwa Kleczkowskich i państwa Rymowiczów, bywał pan u nich we wtorki? nigdy tam pana nie widziałam. A teatr? Takiego Żółkowskiego nie ma na całym świecie; a Modrzejewska, a Popielka? Pan pamięta jeszcze Bakałowiczową? Pan woli „Straszny Dwór" niż „Halkę"?

I wszyscy panowie żałują w téj chwili, że nie rodzili się w Warszawie, kiedy ten głupi Miler...

Lecz rozmowę ich przerwano. Zbliża się do tych pań dyrektor i przedstawia im nie byle kogo: barona von Wimmersburg, chlubę całéj Krynicy. Jestto Polak, przebywający na dworze wiedeńskim, mówiący trochę z niemiecka. Jestto nieokreślonego wieku wielki, chudy pan, z sinemi torébkami pod oczyma z martwą twarzą, z wypomadowanemi

rzadkiemi blond włosami, ze starannie ufryzowanym długim, cienkim wąsem. Ma czerwony znaczek u fraka, jest bardzo sztywny, grzeczny, dystyngowany.

Rozmawia przez chwilę z Maniutą, która znowuż żali się na niewygody hotelu, na oszukaństwo górali i na złą kuchnię. Potém baron zwraca się do Wandy; rozmawiają o Wiedniu, o Rubensie, którego widziała niedawno w Belwederze, jest on podług niéj za mało wytworny, a jego kobiéty choć piękne, są za zdrowe, trochę w złym guście.

— Czy baron nie podziela mego zdania?

— *Comtesse*—omylił się przez przyzwyczajenie. — Podpisuję się z góry na wszystko, co pani w ciągu swego życia powié.

— To zbyt uprzejmie z pańskiéj strony. Będę teraz mówiła bez wyboru wszystko, co mi przyjdzie do głowy.

— Nie cofam tego, co powiedziałem.

Po kwadransie rozmowy baron składa im trochę sztywny, lecz bardzo niski dworski ukłon i odchodzi, szepnąwszy na ucho dyrektorowi.

— *Sapristi!*

A pani mecenasowa biega po sali i, łapiąc ludzi za poły, tryumfuje:

— Co? Czy wyście tu wszyscy warci takiéj buzi? Gdybym była mężczyzną — unosiła się na całe gardło — w piekło-bym za nią poszła. No, ale co tam o tém gadać takim, co się leczą hydropatyą.

A potém, stając się nagle demokratką, krzyczała tak, aby ją Rzężyckie słyszały.

— Co tam długo gadać o rodach! Wszystkie wasze galicyjskie hrabianki wyglądają przy niéj, jak kucharki.

A baron Wimmersburg sprowadza do tych pań swego młodego przyjaciela hrabiego Rogera. Jestto bardzo kształtny, 30-letni mężczyzna, z woskową żółtawą twarzą, ze zmęczonemi ładnemi oczyma, i ładnym wąsikiem, cienkim nosem i wogóle o bardzo regularnych rysach twarzy.

Znają go tu z widzenia wszyscy. Panie wyliczały, iż posiada w swojéj garderobie 24 ubrania. Na jednym z reunionów ukazał się w czerwonym fraku, koronkowym żabocie, w lakierowanych pantoflach i w czarnych jebwabnych pończochach. Dziś był we fraku *directoire*, sięgającym po za kolana, w wielkim kołnierzu, z szerokim białym halsztuchem.

Jego korona hrabiowska była podobno téj saméj daty, co Rzężyckich, lecz Roger jest bardzo bogaty, choć nadszarpał znacznie fortuny w klubach, stajniach i za kulisami teatrów Wiednia i Londynu.

I w manierach jego—zresztą bardzo wytwornych—pomimo, iż znać było obycie się wielkoświatowe, przejawiał się czasami dla subtelnego znawcy pewien ton parweniusza. Hrabia Roger jak gdyby lubował się tém, że jest hrabią, że jest bogatym, że bywa w dobrych klubach i że trzyma konie wyścigowe. Nie chwalił się tém wprawdzie, lecz znać było, że to go cieszy i że zdaje sobie z tego sprawę, jak mu dobrze z tém. Prawdziwi zaś panowie nie odczuwają tego i nie pojmują, jakby to mogło być, aby oni urodzili się nie hrabiami. Hrabia Roger nie wszedł jeszcze do towarzystwa, choć zmęczony klubem i kulisami zaczął się starać o to, aby ewentualnie otrzymać pannę nie koniecznie bogatą, za to z mitrą i krwią, której błękit nie przedstawia już żadnéj wątpliwości.

Krynica znała tych obu panów, pomimo iż się nimi bardzo interesowała, tylko z widzenia. Pokazywali się tłumowi rzadko i jedynie w towarzystwie mamy i hrabianek Rzężyckich. Bo znajomość ich z piękną Węgierką, według obliczenia pań, nie trwała dłużéj nad trzy doby.

Hrabia Roger rozmawiał teraz z Wandą przeszło pół godziny, a jego ładne zmęczone oczy nawet błyszczały dziś trochę. Wymawiał źle literę *r* i posiadał ową podobającą się tak kobiétom n o n s z a l a n c y ę światowca i *viveur*'a. Hrabianki Rzężyckie ukazywały sobie Wandę prawie palcami, szeptały ustawicznie i śmiały się. Tylko w kontredansie, zbliżając się w 5-éj figurze do niéj, odwracały głowy, podając jéj zaledwie końce palców. A hrabina-matka nie odejmowała od oczów lornetki—w jaknajgorszym dziś humorze.

— Jakto można nie być nigdy w Warszawie — pytała Wanda hrabiego.

— Zostawiam ją sobie na deser.

— Po zbyt długim obiedzie nie ma się czasami już apetytu i najlepszy deser nie smakuje.

— Prawdopodobnie teraz z Krynicy prosto do Warszawy przyjadę—rzekł, znacząco patrząc jéj w oczy, wymawiając jeszcze gorzéj niż zwykle literę *r*.

— Prosto? Najkrótsza droga z Krynicy do Warszawy nie prowadzi przez Peszt.

Nie zrozumiał w pierwszéj chwili. Nagle myśl mu przez głowę przeleciała. Zaczerwienił się, lecz zaraz swoje ładne zęby w uśmiechu pokazał. Wanda zmieniła zręcznie rozmowę. A mecenasowa, podchodząc do barona i hrabiego unosiła się, niemożliwsza dziś niż kiedykolwiek.

— Jeżeli panowie myślicie—krzyczała im, kiedy do *fumoir*'u od-

chodzili—że wam pójdzie tu tak łatwo, jak z tą Węgierką, to się grubo mylicie. O baronie naturalnie nie mówię, bo jemu bliżéj już do trumny, niż do ołtarza. Ale hrabia w swojéj arystokracyi nie znajdzie ładniejszéj i lepiéj ułożonéj żony.

— Nie mogę starać się o żadną kobiétę—żartował Roger—ponieważ kocham się w pani.

— O! ja nigdy nie gustowałam w ładnych chłopcach. U mężczyzny rozum—to grunt.

— *Elle est insupportable*—wycedził przez zęby, kiedy odeszła.

Orkiestra rozpoczęła galopkę. Reunion był jeszcze w całéj swojéj pełni, kiedy obie panie, uskarżając się na zmęczenie, opuściły, odprowadzone przez swoich towarzyszy, salę balową.

— O! szczęśliwy warszawiaku — mówili przy bufecie panowie do Milera. — Ależ, pomijając tych dwóch dygnitarzy, ona najwięcéj tu dziś z panem mówiła! Gdybyśmy na własne oczy nie widzieli, nigdybyśmy co prawda panu nie wierzyli. O czém tak rozprawialiście?

Lecz Miler nie chwalił się dziś swojém zwycięstwem, nie mówił, o czém ze sobą mówili. Nie tańczył galopki, ponieważ nie miał *vis-a-vis* i zapomniał jaką damę do tańca zaprosił. I wypijał jeden kieliszek szampańskiego po drugim.

A pomiędzy panami zjawiła się nagle niechęć kastowa. Stali się demokratami.

— Cóż to? Zamierza żyć w arystokracyi, córka urzędnika i bratowa doktora? W główce jéj przewrócą.

— Nie obawiaj się. Rozumek ma. To poznać po jéj uśmiechu. Widziałeś przecież, że sobie z nich nie wiele robi. A jeszcze kiedy się przypatrzy w dzień téj staréj mumii egipskiéj, całéj na sprężynach, złożonéj do kupy z maleńkich cząstek, które się rozlatują. Albo jak zobaczy hrabiego w jego operetkowych kostyumach...

— Naturalnie. Przecież widzieliście, że i z Milerem rozmawiała. Choć w nim znajdziecie przecież wszystkie kolory tęczy: czerwony na głowie, kropkowany na twarzy, zielony w mózgu, ale błękitu w nim nie ma.

A w tym czasie w sypialni hotelowéj Wanda, układając sobie do snu włosy, rozbawiona, tryumfalnie uśmiechnięta, szczęśliwa, jak nigdy, pytała się siostry:

— No, co ty na to? Dobrze nam tu będzie.

— Jeszcze nic nie wiem—mówiła spokojniejsza od niéj Maniuta. Mieszkanie niewygodne, nie mamy szafy na bieliznę.

— E! Co tam szafa na bieliznę! Ale moje zwycięstwo! Ha, ha, to nie bagatela—żartowała ze swoim sprytnym uśmiechem. — A ty nazy-

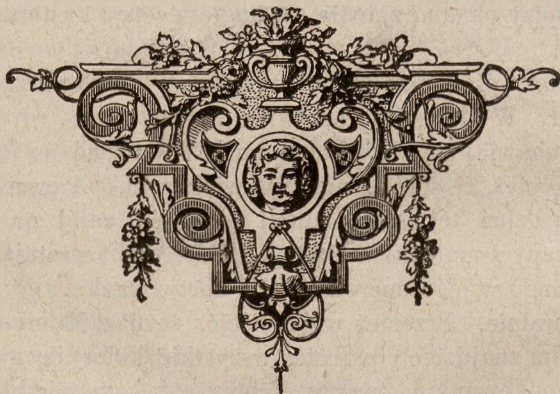
wałaś mnie zawsze dzieciakiem. Umiem się znaleść w arystokracyi, co? Słyszałaś, jak co chwilę wymawiałam: kochany hrabio, kochany baronie, jak gdyby nic. Jak gdybym nigdy w innych towarzystwach nie bywała. Moja droga, czy Battenberg jest żonaty? Bo żebyś wiedziała, że wychodzę za mąż tylko za pretendenta do korony. Chociaż jego tron jest dla mnie zamały. Arcyksiążę Rudolf nie żyje. Niemiecki następca tronu jest żonaty. Stanowczo nic ma dla mnie odpowiedniéj partyi. Trzeba będzie pomyśléć o którymś z Burbonów. Albo wiész—rzekła po chwili, leżąc już w łóżku i gasząc świécę—co ty myślisz? Ten hrabia Roger—ładny chłopiec, co?

— Gruszki na wierzbie.

— To jeszcze nie wiadomo.

Więcéj nie mówiły już do siebie. I zmęczone podróżą, górskiém powietrzem i wrażeniami—smacznie zasnęły.

(*D. c. n.*) *Alfred Konar.*



Z OKAZYI WYSTAWY.



ROLNICTWO AMERYKAŃSKIE*).

IV.

Wiemy już, że rolnictwo amerykańskie jest widownią bardzo daleko posuniętéj specyalizacyi. Okoliczność ta sprawia, że z innego stanowiska należy zapatrywać się na „drobną własność" w Stanach Zjednoczonych. Drobny fermer w Dakocie ma niekiedy tylko dwie, trzy włóki gruntu na naszą miarę. Ale ta rozległość majątku ziemskiego posiada zgoła inne znaczenie tam za morzem. Zważmy tylko na to, że cała ta dwuwłókowa przestrzeń jest jednym łanem pszennym. A zatém pod względem uprawy roli drobna osada fermerska z Dakoty może współzawodniczyć z naszym folwarkiem, oddającym w swoim płodozmianie — biorę postępowe gospodarstwo — pod pszenicę taką samą ilość gruntów. W rzeczywistości jednak przewyższa go, ponieważ pole z pszenicą za morzem leży w jednéj zwartéj połaci, wówczas, kiedy u nas rozpada się na kilka kawałków w różnych miejscach. Już to jedno silnie zmienia postać rzeczy. Albo przypatrzmy się chociażby jednowłókowemu folwarkowi mléczarskiemu. Specyalizacya powołuje tam do życia wzory, możliwe u nas jedynie na znacznym

*) Patrz zeszyt marcowy str. 438.

majątku. Rozmiary więc fermy mogą pozornie być bardzo małe — wogóle w Stanach Zjednoczonych przeważa niewielka własność rolna i olbrzymie folwarki są mniejszemi, aniżeli w wielkich naszych majątkach, lecz za to technicznie zcentralizowanemi. Natomiast technika stoi nader wysoko mimo nieznacznego obszaru. A prócz specyalizacyi działa w Stanach Zjednoczonych jeszcze inna przyczyna, posiadająca niezmiernie ważne znaczenie, zwykle niedoceniane. Jest to forma akcyjna, w jakiéj występują różne te wyspecyalizowane folwarki. Wogóle spółki akcyjne są instytucyą nawskroś rewolucyjną ze względu na swoje wpływy. Indywidualny kapitał jest zawsze tchórzliwego serca, właściciel bowiem wrazie nieudania się interesu ryzykuje cały swój majątek. Tymczasem w spółce akcyjnéj została uwięziona tylko pewna część funduszów kapitalisty. Niepowodzenie, jakiego dozna przedsiębiorstwo, nie puszcza zatém właścicieli kapitału z pustemi sakwami w świat. Przed czém więc cofnąłby się napewno kapitał indywidualny, na to śmiało waży się zbiorowy. Otóż wszystkie większe firmy rolne i hodowlane Stanów Zjednoczonych znajdują się w ręku spółek akcyjnych. Nadaje to tamtejszym procederom rolniczym szczególną elastyczność i przedsiębiorczość i przyczynia się mocno do stosowania nowych metod w hodowli i uprawie zbóż. Do daleko posuniętéj specyalizacyi i rozrostu zasady akcyjnéj w rolnictwie winniśmy jeszcze dodać naturę fermera amerykańskiego. Nawet najdrobniejszy fermer nie posiada nieruchliwości włościanina z naszéj części globu ziemskiego. R. Meyer kréśli w swojém dziele o konkurencyi amerykańskiéj karykaturę takiéj postaci. Fermer jedzie na pługu (pługi mają siedzenie), pali cygara i czyta gazetę. Gospodaruje on z krédką w ręku, cały owiany tchnieniem *businessu*. Jeden z wybitniejszych publicystów francuskich o swoim rodaku odzywa się, iż łatwiéj będzie osła z Poitou nauczyć deklamować wiersze, niż wieśniaka skłonić do dobrowolnéj asocyacyi wysiłków. Otóż ten sam pisarz jak odmienny kréśli obraz drobnego fermera amerykańskiego! „Drobni fermerzy dalekiego Zachodu — czytamy u niego — są chłopami, ale nie posiadają żadnego z rysów duchowych włościanina europejskiego krom jego chciwości. Są przybyszami z dalekich krajów i po za sobą zostawili wszystkie nawyknienia, przesądy, zwyczaje, bezwładność myśli, które w starym świecie stoją na przeszkodzie wszelkiemu rozwojowi. Nie są na wzór włościan europejskich opętani owém piekielném łaknieniem gruntu, upoetyzowaném przez Michelet'a, Proudhon'a i in. wielkich mężów pospolitego demokratyzmu. W preryach Zachodu zbywa na wszelkiéj wymarzonéj uczuciowości. Nie wskrzesają one w pamięci dni dzieciństwa, kolebka fermera nie stała na téj ziemi, a on nie stąpa po mogiłach

swoich przodków. Fermer przestał żyć jako ostryga, od chwili przyjścia na świat aż do zgonu przymocowana do téj saméj gleby. Jest on rolnikiem nie po to, ażeby zlać się w jedność z macierzą ziemią, ale żeby ją wyzyskiwać i wydzierać jéj majątek. Gdy pola jego są bliskie wyczerpania, porzuca je, kiedy odkryto gdzieś obszary dziewicze, podąża ku nim! Po raz pierwszy, odkąd ludzkość przebyła okres pasterstwa, rolnik stargał swój mistyczny związek z glebą i jéj płodami, a odzyskał dumną niezależność koczownika." Nie ma tam, jak u ślamazarnych jakichś histeryków, dwóch dusz, z których jedna łaknie jednego, druga innego. Nad całém jestestwem rolnika amerykańskiego panuje wszechpożerająca go żądza — zysków. Chuć interesu wżarła się w istotę fermera; gdyby piekło było korzystną areną dla *businessu*, opuściłby niebo, aby dobrać się tam do zysku. Jest-to właśnie owa dźwignia dziejowa, która pcha hodowlę na nowe tory... Przykładów tego zdołałbym przytoczyć bez liku. Jakiż np. kraj zdołałby w takim krótkim przeciągu czasu dokonać podobnie daleko idącego przewrotu w produkcyi pszenicy? Wielu z nas ma takie pojęcie o zamorskiéj konkurencyi zbożowéj, że wzrasta ona, ponieważ do starych gruntów rok każdy dooryswa nowe. Jest-to słusznėm jedynie w nieznacznym stopniu. W rzeczywistości zaś mamy tam do czynienia z zupełnym przewrotem. W miarę tego, jak na dalekim Zachodzie produkcya pszenicy wzrasta z każdym rokiem, wówczas w Stanach nadatlantyckich zostaje zarzucaną. Fermer ze wschodu jeszcze bardziéj ugina się pod naciskiem konkurencyi swoich rodaków, aniżeli ziemianin europejski. Ale posiada inną, energiczniejszą naturę. Wielu porzuca osadę, która przestała się opłacać, sprzedają co mogą i wędrują na daleki zachód, pomnożyć swoją osobą te zastępy, które zmusiły ich do ucieczki. Statystyka amerykańska notuje mnóstwo takich porzuconych ferm pomiędzy Atlantykiem a Missisipi, a które stoją dzisiaj pustkowiem. Jeszcze częściéj fermer pozostaje na staréj siedzibie, lecz porzuca produkcyę pszenicy, bierze się do sadownictwa albo ogrodownictwa lub innego procederu związanego z ziemią. Wzrastająca konkurencya zbożowa jest dzieckiem zgoła nowych terytoryów, potężnieje na trupie dawnych obszarów pszennych. Okoliczność ta, świadcząca o ruchliwości amerykanina, jest może groźniejszym faktem, aniżeli rozmiary wydobywającego się z Ameryki potoku pszenicy. O przedsiębierczości wielkich firm handlowych i czysto rolniczych nic mówię, raczéj należałoby je porównywać z ruchliwością naszych fabrykantów, aniżeli ziemian. Oto, jak spowiada się pewien ziemianin z północnéj Dakoty, gospodarujący na jednėm polu pszenicy 100 włókowéj przestrzeni: „Wielkie fermy w Dakocie są prowadzone ściśle według za-

sad *businessu.* Wszystko zostało tam systematycznie urządzone i wiemy dokładnie, ile każdy szczegół kosztuje i ile jest wart dla właściciela. Nasze fermy posiadają buchalterów, administratorów, urzędników. Codziennie z fermy dostajemy opracowania, które wskazują nam co w ciągu dnia zrobiono i czego dokonał każdy pojedyńczy człowiek, koń lub maszyna. Oceniamy zużycie się maszyny w stosunku do jéj działalności, doliczamy koszta reperacyi i dokładnie znamy jéj wartość i żywot. Wiemy dobrze ile akr pola nas kosztuje, i zyski jakie z niego osiągamy, i aż do centa możemy wyliczyć odsetki, jakie pobiéramy od włożonego kapitału".

Wszystkie powyżéj wyłuszczone powody sprawiają, że sfera procederów, związanych z rolnictwem, jest widownią nieustającéj rewolucyi technicznéj. Weźmy chociażby hodowlę kurcząt. Wielki kapitał wkracza do téj dziedziny i powoduje istotny przewrót. Obowiązki kwoki siedzącéj na jajach spełnia inkubator. O rozpowszechnieniu się trybu mechanicznego wylęgania kurcząt świadczy obfitość oraz rozmiary fabryk, trudniących się wyrobem inkubatorów. Jeden np. z zakładów wyrabiających różne przyrządy, używane w hodowli kurcząt, jest kilkopiętrowym gmachem, wyglądającym aż 15 oknami na ulicę. Drugi dwupiętrowy, posiada z obu frontów po 30 okien. Gdzie istnieją tak znaczne przedsiębiorstwa, trudniące się wyrobem zajmujących nas przyrządów i sprzętów i gdzie znajduje się taka obfitość wzajemnie współubiegających się firm, tam w rzeczy saméj hodowla kurcząt przestała być dziełem macierzystego instynktu kury, a w całém słowa znaczeniu stanowi pole świadoméj zootechniki. A o ile możemy sądzić z mnóstwa faktów, które niezależnie od siebie i różnemi czasy napłynęły do naszéj ręki, ta zootechnika kurczęciowa wyszła zwycięsko z walki i na lądzie Stanów Zjednoczonych dowiodła swojéj praktyczności. Dawnéj hodowli, kiedy instynkt macierzysty kury był główną sprężyną działającą, trzymają się jedynie bardzo drobni fermerzy, którym nie starczy środków naprzód na zakupno inkubatora, późniéj na takie rozszerzenie produkcyi jaj i kurcząt, przy jakiéj inkubator poczyna się opłacać.

Zaznaczyliśmy, że kapitał wielki sadowi się w hodowli kurcząt, a usadowiwszy się w danéj gałęzi przemysłu, powołał do życia mnóstwo zmian. Kurczęta w starodawnym trybie hodowli ukazywały się tylko w pewnych porach roku, tych, jakie na ten cel od wieków przeznaczyła przyroda. Cała masa drobnych fermerów Ameryki wciąż jeszcze trzyma się téj odwiecznéj metody, t. j. pozwala, aby siły przyrody działały w ten sposób, jak do tego przywykły. A naturalnym biegiem rzeczy, ceny na produkt podnoszą się w jedne pory roku, nato-

miast spadają w inne. Nie tego chce wielki przemysłowiec. Nie po to zastosował on inkubatory i mówi o zootechnice, aby szanować tradycye przyrody, t. j. wtedy wyprowadzać masowo swój produkt i wyrzucać go podobnie masowo na rynki, kiedy wszyscy inni czynią to samo, a w ciągu dalszym sprzedawać wtedy, kiedy cena jest niska. Przeciwnie, jego celem jest przewrócić do góry nogami wszystko, co zachowuje się niekorzystnie względem jego kieszeni, a dążeniem—wtedy ze swego zakładu wyrzucać na rynek najwięcéj produktu, kiedy podaż jest najmniejsza, ceny zaś stoją najwyżéj. Drobni fermerzy, hodujący drób według wzorów tradycyjnych, torują dla niego dogodne pole działalności, bo nie stawając do współzawodnictwa w pewne miesiące, pozwalają wtedy wielkim hodowcom normować ceny w sposób dla siebie dogodniejszy. Kurczęta, ukazujące się na rynku od początków stycznia do końca kwietnia, słyną w handlu nawet pod odpowiedniém nazwiskiem *broilers*, t. j. wyhodowanych sztucznie bez pomocy *miss Biddy*, jak kura zowie się w mowie ludu. Korzyści z takiego zgwałcenia praw przyrody są bardzo znaczne. Funt mięsa kurczęcia podczas zimy w cenie swojéj waha się od 60 centów do dolara, tymczasem późniéj spada do 35 centów. Innemi słowy, kapitalista pobiéra dwa i trzy razy taką cenę, jak zwykły fermer podczas sezonu.

Albo przejdźmy do właściwego rolnictwa, t. j. uprawy zbóż. Już same narzędzia wyglądają odrębnie. Na polach Dakoty, późniéj zaś na wystawie rolniczéj wciąż spotykaliśmy się z dowodami tego. Kiedyśmy po raz pierwszy stanęli w progu wystawy maszyn rolniczych, zadaliśmy sobie mimowoli pytanie, czy to istotnie dział narzędzi używanych w rolnictwie. Nie powątpiewamy ani chwili, że gdyby kto wziął naszego włościanina i przyprowadził go do téj olbrzymiéj sali, a powiedział mu, że są to narzędzia rolnicze, używane w Stanach Zjednoczonych, nasz rolnik obraziłby się, że zeń szydzą. Bo też widok jest jakiś odrębny, zgoła niepodobny do tego, do jakiego przywykliśmy na swojskim gruncie.

Nieraz zdumieni staliśmy wiele minut przed jakąś łamigłówką olbrzymich rozmiarów. Do czego służy ten potwór zbudowany z żelaza, z ogromnemi, samoporuszającemi się drabinami, zębami, płótnami? Żniwiarka? Nie, jakkolwiek postać żniwiarki, zwłaszcza żniwiarko-wiązałki jest dość cudacką, ale już w Europie zapoznaliśmy się jako tako z tém narzędziem. Szczęściem, bierzemy ze stolika opis, a w nim na jednéj stronie znajdujemy rysunek zajmującéj nas zagadki, na drugiéj obrazek, jak czynności, które spełnia dzisiaj łamigłówka, spełniano kiedyś. Okazuje się, że oto jedna łamigłówka przetrząsa siano, inna chwyta i niesie na jadący obok wóz, jeszcze inna pod-

daje prasie i wyrzuca je późniéj ze swego żołądka w postaci olbrzymich cegieł.

I tak bywa na każdym kroku. Zresztą nietylko technika uprawy, lecz cały tryb gospodarowania wygląda tam za morzem zgoła odrębnie. Nieraz całemi kwadransami staliśmy przed obrazami na wystawie, przedstawiającemi amerykańskie żniwa, późniéj zaś udało nam przyjrzéć się rzeczywistości na polach Dakoty. Oto mamy przed sobą wielki krajobraz, przedstawiający żniwo na polach Ameryki. Olbrzymie morze złocistéj pszenicy kołysze się, jak oko sięgnie; ma ono obejmować, jak napis, podany u dołu, opiewa, około 2,500 akrów (około 60—70 włók), kilkanaście żniwiarko-wiązałek uwija się na téj przestrzeni. Obchodzą one dokoła to olbrzymie pole pszenne, pozostawiając za sobą rodzaj ślimaczego skrętu i za każdém obejściem zwężają jego rozmiary. Z pod żniwiarki co chwila wysuwa się snop związany i sterczy na skibie, jako świadectwo, do jakiego stopnia rozwoju doszła sztuka techniczna w rolnictwie. Rzekłbyś, ogromne pobojowisko usłane trupami. Na widnokręgu widać drugie i trzecie złocące się morze, a wśród jego pszennéj fali uwijają się podobne żelazne potwory, ścinające kłos i wiążące go w snopy. Jeszcze daléj kłęby dymu pokrywają swoją czarną osłoną zgoloną ziemię. To lokomobila młóci na polu zboże. Cały ten widok pozostawia w umyśle europejskiego widza dziwne wrażenie, tak jest odmienny od naszego. Wiek pary i żelaznéj industryi przeziéra z każdego zakątka, nawet budynki folwarczne, widniejące w głębi obrazu, wyglądają całkiem inaczéj. Poeta starego zakroju opiewa pracę zginania krzyża przy sierpie, wiązania snopków. Zgoła inne skojarzenia poetyckie wypłyną z pod pióra jakiegoś Burns'a przyszłości, który w szatę rymowanego słowa przyodzieje piękno owych mórz pszenicy, poruszających się automatów, parskających dymem olbrzymów!

Może najlepiéj jednak zrobimy, jeżeli zatrzymamy się nad wzorami z życia, zaczerpniętemi z północnéj Dakoty. Dwieście tysięcy mieszkańców — w gruncie rzeczy o wiele mniéj, bo należy odjąć ludność miejską, dziatwę i kobiéty — wyrzuciło w zaprzeszłym roku na rynki 60 milionów buszli pszenicy. Dokonali oni tego cudu, zbrojni w żelazne brzytwy, uprzątające zboże; w żelazne ręce, je wiążące, w żelazne potwory, które wymłóciły. Ta ulepszona technika, to wyłączne zastosowanie maszyn sprawia, że mogą istniéć chłopi wielowłókowi, obywający się bez parobków—chłopi, których córki kształcą się w uniwersytecie w Grand-Forks, mieszkają tam w olbrzymim budynku, a podczas chwil, wolnych od studyów, same piorą i suszą swoją bieliznę. Zróbmy mały obrachunek. Żniwiarko-wiązałka Deeringa może

żąć i związać w snopy w ciągu dnia zboże na przestrzeni 20 akrów, jeżeli ferma ma około 4 włók, t. j. 160 akrów, a cała zajęta jest pod pszenicę, jeśli nadto gospodarz ma syna, który kieruje drugą żniwiarką, wtedy po 4 dniach całe żniwo jest ukończoném. Pozostaje teraz plon wymłócić. Przy średnim urodzaju będzie to około 3,000 buszli, właśnie tyle, ile parowa młockarnia zmłóci w ciągu jednego dnia. Ale na drobną osadę jestto zakosztowna, nie opłacająca się z tego powodu maszyna. Ferma zwraca się przeto do odpowiedniego przedsiębiorcy, ażeby przybył z młockarnią. Ów przedsiębiorca jest tém, co u nas nazywają maszynistą, człowiekiem, który własnoręcznie pracuje. Wezwany przybywa. Ale maszyna parowa potrzebuje do 20 rąk, kilku wozów, kilkunastu koni. Czy fermer ma się o to kłopotać? Nie, ów maszynista najmuje od siebie wszystko, a wciąż z tém mając do czynienia, zdobywa z czasem ogromną umiejętność oszczędności, wzajemna zaś konkurencya czyni, że oszczędności te wychodzą na dobre fermerowi. Fermer płaci od buszla pszenicy stałą opłatę, która pochłania około jednéj piątéj do siódméj całéj wartości zboża. Za to jest zwolniony od wszelkiéj troski. Wykonywa tylko jedną czynność, a jest-to dozór nad wymłóconém ziarnem. W polu widzimy domki bez okien, — są to śpichlerze. Młockarnia sadowi się przy takim domku, odrazu zsypuje do niego czyste ziarno, które tam czekać będzie chwili, kiedy fermer zwolna odwozić je pocznie do elewatorów. A zatém na 4-włókowéj osadzie żniwa i młocka zabrały wszystkiego pięć dni czasu dwojgu ludziom! Orka jest jedyną robotą, która wymaga większego zachodu, bo maszyny parowe, wlokące za sobą sześcioskibowy pług, są dostępne tylko dla wielkiego majątku. Mniemam jednak, że niebawem i tutaj nastąpi przewrót, mianowicie, że zjawią się tacy sami przedsiębiorcy, jak w zakresie parowéj młockarni. Wogóle, dziwny to widok, takie wymykanie się z rąk rolnika odwiecznych jego zajęć i dostawanie się w wir społecznego podziału pracy. Jak pieczywo chleba, wędzenie szynek, wymknęły się dawnéj gospodyni małomiasteczkowéj, tak samo dzieje się w dalekiéj Dakocie z młocką i w przyszłości zaś z orką!

Mamy zatém wytłómaczenie zagadki, że istnieć mogą wielowłókowi włościanie, obywający się bez parobków. Nie tak szczęśliwe są pod tym względem olbrzymie fermy w rozpatrywanéj okolicy, których sława daleko rozniosła się po świecie. Są to sławne Bonanza-farms, w których pojedyńcze pole pszenne miewa niekiedy po dziewięć wiorst długości i niemal tyle szerokości. Np. w fermie Dalrymple'a znajduje się pod pszenicą pono 30 tysięcy akrów (akr wynosi około $^3/_4$ morga); w Larimore, gdzieśmy oglądali olbrzymią działalność czterdziestu

z górą żniwiarek, mogących w ciągu dnia zżąć i związać w snopy pszenicy około 30 włók, znajduje się pod tém zbożem około 30 tysięcy akrów. Rozumié się, maszyny przychodzą z pomocą. U Dalrymple'a odrazu na polu działa 180 żniwiarko-wiązałek, uprzątających w ciągu dnia z górą sto włók. Doświadczenie każe rozdzielać je na mniejsze oddziały, po 10 lub 15. Kiedy bowiem maszyna ulegnie chwilowemu niedomaganiu i nim zostanie naprawioną, wszystkie inne są zmuszone chociaż na kilka minut zawieszać robotę. Kilka własnych młockarni parowych młóci na miejscu ziarno, a odpowiednio urządzone wozy odwożą je do pobliskich elewatorów. Do orki coraz częściéj stawać poczyna pług parowy. Słowem, maszyna zapanowała w wielkiém gospodarstwie jeszcze potężniéj aniżeli w małém. Ale do tych maszyn potrzeba odpowiednio wielkich tłumów, np. na fermie Larimorskiéj w naszéj obecności pracowało 150 ludzi, w téj liczbie znajdowało się kilku mechaników konno, którzy odgrywali rolę chirurgów względem oddziału żniwiarek. Tłumy te przypływają z dalekich miast, niekiedy z odległości tysiąca wiorst naszych. Obozują one na folwarku, tam dostają jedzenie, a po ukończeniu roboty znowu odpływają. Najrozmaitsze narodowości mieszają się ze sobą. Ale podczas zimy w fermie panują ogromne pustki, gdyż przebywa tam zaledwie kilkunastu dozorców. Nawet inwentarz, służący do zaprzęgu maszyn — przeważnie muły — zostaje wysłany daléj w stepy. Iście koczowniczy tryb życia.

A wszystko odbywa się na tym pszennym stepie z gorączkową szybkością. Wiek pary wkroczył na rolę! Kiedyśmy jechali w tamtą stronę, żniwa były świéżo ukończone. Olbrzymie pobojowisko trupów-snopów ciągnęło się bez końca we wszystkich kierunkach. Jakże odmienny widok przedstawił się naszym oczom, kiedyśmy po tygodniu wracali! Snopy uprzątnięto, natomiast wszędzie na widnokręgu dymiły się maszyny parowe. W jedném miejscu wysiedliśmy. Korzystając ze sposobności, obliczałem przez lornetkę te kłęby dymów. Naliczyłem trzynaście! W kilka godzin późniéj, kiedy słońce skryło się za widnokrąg, wszędzie łuna oświeciła pola! To nadeszła godzina malców — podpalania stért. Popiół, rozniesiony przez wiatry, będzie jedyną mierzwą tych pól i stepów. Za tydzień może z trudnością rozpoznalibyśmy niedawne ściernisko — pod trawą preryi, która chociaż na kilka tygodni odzyskuje swoje prawa.

Dałem szkielet gospodarstwa na stepie pszennym. Ale niepodobna mi opisać wrażeń, jakie sprawia widok smoka, złożonego z kilkudziesięciu żniwiarek, lub widok dziesiątka młocarni parowych obok

siebie. Czujemy, że przed nami otwiera się nowa epoka, że stoimy w przededniu najdonioślejszych przewrotów technicznych.

V.

Mówiąc o specyalizacyi, jaka przebija sobie drogę w rolnictwie amerykańskiém względnie hodowli, zaznaczyliśmy, że na przestrzeni Stanów Zjednoczonych powstają terytorya mniejszych i większych rozmiarów — łąkowe, mleczarskie, hodowlane, owocarskie, pszenne. Ferma zamorska żyje z wymiany i dla wymiany; jéj produkta bowiem z góry przeznaczone są na sprzedaż. Fermer, uprawiający pszenicę na pszennym stepie Dakoty, musi sprowadzać siano z dalekich okolic, kupować mięso w sąsiedniém miasteczku, nadchodzące równie zdaleka.

Handel produktami rolnemi doszedł tam do rozkwitu, nieznanego w naszéj części świata. W wielu miastach istnieją specyalne giełdy nabiałowe, czyniące rocznie obrotu na setkę i więcéj milionów dolarów. Takie *dairy boards of trade* znajdują się w Filadelfii, S. Louis, Bostonie i innych punktach. Masło i sér z tych ognisk płynie wzdłuż arteryi kolejowych po całym związku. A obroty na tych szczególnych giełdach posiadają wcale pokaźne rozmiary. Przez giełdę w S. Louis przepłynęło w r. 1892 około $13^1/_2$ milionów funtów masła! Istnieją hurtownicy, trudniący się na wielką skalę handlem jaj. Mamy np. pod ręką dane o pewném podobnego rodzaju przedsiębiorstwie w New-Yorku, którego dzienny obrót wynosi pół miliona jaj, prócz odrzuconych. Dość powiedziéć, że 6 osób siedzi jedynie nad tém, aby rozpoznawać jaja podejrzanéj świeżości; najemnicy ci pracują w ciemnym pokoju i z nieprawdopodobną dla profanów zręcznością przesuwają jaja przed zarzącą się lampką i odrzucają na bok nieprzezroczyste. Firmy te powołały do życia nawet, że tak powiemy, spichlerze. Jedna z nich posiada np. taki spichlerz, mogący zmieścić w sobie jednocześnie do 50 tysięcy sztuk. Jaja są kupowane przez firmę w porze najodpowiedniejszéj — w maju, kiedy tuzin jaj kosztuje mniéj więcéj około 10 centów, i przechowywane w tych składach do nastania zimy, gdy cena podnosi się do 20 centów. Obrotowy kapitał w rozpatrywaném przedsiębiorstwie wynosi do 300 tysięcy rubli na nasze pieniądze. Urządzenie tego szczególnego śpichlerza polega na tém, że istnieją tutaj olbrzymie kadzie, z których każda zdoła zmieścić w sobie do 6 tysięcy sztuk; jajka są trzymane w odpowiednim roztworze, a spożywca ma pewność otrzymania tego produktu w świeższym stanie niż my na

rynku małomiasteczkowym, kiedy kupujemy go od włościanki. Podobnie istnieją spichlerze owocowe. W Halli ogrodniczéj na wystawie oglądaliśmy jabłka, zerwane jeszcze w r. 1890 a dzięki sztuce przechowywania, wyglądają jeszcze tak świeżo, że na pierwszy rzut oka trudno je było odróżnić od owoców istotnie świeżych. Kiedy u nas w Europie ukazanie się elewatorów zbożowych napotyka takie trudności, tymczasem rolnicy-sadownicy ze stanu Missouri marzą o zbiorowych elewatorach celem ułatwienia handlu owocami!...

Albo weźmy handel bydłem i mięsem. Hodowla bydła na rzeź usadowiła się głównie po tamtéj stronie rz. Missisipi—lepszych gatunków bezpośrednio w porzeczu, gorszych w stepach. Cały wschód Stanów Zjednoczonych niemal wyłącznie żyje mięsem dostarczaném z tamtych okolic, lubo odległość wynosi tysiąc i więcéj wiorst. Pośrednikami są olbrzymie targowiska, leżące w pobliżu Missisipi. Targowi chicagoskiemu należy się pierwsze miejsce pod względem rozmiarów: rocznie bywa tam dwa razy tyle sztuk bydła, ile wynosi cały międzypaństwowy handel w Europie. Kanzas City, Omaha, Peoria — oto mniejsze ogniska tego handlu, które jednak są większe od największych europejskich. Dziennie tysiące a nawet dziesiątki tysięcy sztuk bydła przybywa do Chicago z najdalszych okolic zachodu, południo-zachodu i północo-zachodu. Olbrzymie te masy żywego mięsa idą pod nóż w ogromnych rzeźniach, które pospołu rozsiadłszy się, tworzą olbrzymie miasto rzeźnickie, t. zw. Packing-town. Znajdują się tam takie bojnie, jak Armour'a i spółki, które zatrudniają do ośmiu tysięcy robotników, w większéj części Polaków, gdyż Amerykanin z ojców praojców stroni od tego zawodu. O rozmiarach Packing-town'u da wyobrażenie fakt, że kiedy trzy największe firmy rzeźnickie zbuntowały się przeciw wyzyskowi ze strony towarzystwa akcyjnego władającego targowiskiem, i przed paru laty zamierzały w pewnéj odległości od miasta założyć własne targi i tam przenieść rzeźnie, wtedy obliczano, że miasto, które dokoła rzeźni powstanie i żyć będzie z handlu bydłem i produkcyi mięsnéj, posiadać będzie ludności około 150 tysięcy osób! Miasto żyjące jedynie z rzeźnictwa i sięgające niemal rozmiarów naszéj Łodzi! Czy potrzeba lepszego świadectwa o rozroście sił wytwórczych, jaki oglądamy po tamtéj stronie Atlantyku? Rozumie się, Chicago nie spożyje tego ogromu mięsa, produkowanego przez rzeźnie miejscowe. Bo zresztą nie jest ono produkowane dla miejscowego spożycia. Firma Armour i S-ka np., posiada do pięciu tysięcy oziębianych wagonów, które codziennie popołudniu wiozą stosy wyszlachtowanego mięsa do miast wschodu, znajdujących się niekiedy w odległości tysiąca wiorst i tam sprzedają spożywcom. Jak ongi

u nas wyrób piwa odbywał się w każdém drobném miasteczku, przyczém piwowar szynkował własném piwem, tak teraz, zamiast tych starodawnych stosunków powstały duże browary, wysyłające swój produkt do dalekich miasteczek, szynkarze zaś stali się jedynie agentami wyprzedaży nadchodzącego piwa — tak też na podobne tory rozwoju wepchnięto w Stanach Zjednoczonych produkcyę mięsną. Owe giełdy nabiału, śpichlerze jaj, transporty mięsa, świadczą bardzo wymownie o potędze wiru wymiennego, jaki porwał produkt pracy rolnika i hodowcy. Jadąc koleją amerykańską wciąż można oglądać dowody téj mocy i szerokości handlu. Co chwila spotykamy pociągi towarowe; na wagonach widać niezmienny napis: *dairy-line*, albo *meat-line*, *fruit-line*. To transport artykułów spożywczych, przenoszący o kilkaset wiorst nabiał, mięso, owoce, ryby. Rozumié się, technika wysiliła się, ażeby rozwiązać wszystkie nastręczające się trudności. Są pociągi towaru spożywczego, odpowiadające kuryerom. Dla każdego produktu wagon posiada odpowiednią budowę.

W gmachu, poświęconym na wystawie środkom komunikacyjnym, przemysł amerykański pospieszył z wystawieniem najrozmaitszych specyalnych wagonów. Były tam między innemi wagony używane wyłącznie dla transportów bydła, o ścianach podwójnych z drutu, pokrytego ruchomą osłoną z drzewa. Tę ostatnię można było tak podnosić, że zawsze cień panował w wagonie, a przewiew nie ustawał ani na chwilę. Wystawiono specyalne wagony dla przewozu drobiu; dozorca ma tam dostęp do każdéj sztuki, a nie zapomniano o najmniejszych nawet wygodach. Znalazły się specyalne wagony dla transportu nabiału, inne — dla przewozu owoców i t. d. Może żaden szczegół nie świadczy tak jaskrawo o rozwoju handlu środkami spożywczemi i o wydoskonalonéj technice przewozu, jak właśnie ta specyalizacya, którą oglądamy w zakresie wagonów.

Ale zwróćmy się do handlu zbożem. Stany Zjednoczone w ostatnich czasach zwróciły na siebie w téj mierze uwagę naszéj części świata. Wciąż słychać, że ten lub ów rząd europejski wysyła za morze specyalistów, celem zbadania tamtejszych elewatorów zbożowych, urządzenia giełd i innych stron amerykańskiego handlu zbożem. Na wzór amerykańskich, Europa u siebie wznosi elewatory, różni zaś znawcy zalecają stworzenie giełd zbożowych, które zresztą istnieją już w bardziéj rozwiniętych okolicach naszéj części globu ziemskiego. Przyznam, że zapatruję się dość pesymistycznie na te wysiłki i projekty. Zbudowanie 2 lub 3-ch, przypuśćmy dziesięciu elewatorów, zbliża Europę do jéj zamorskiéj córy tylko o tyle, że jedna i druga posiadać będą pewną ilość podobnych do siebie budynków. A posia-

danie jednakowych budynków zgoła jeszcze nie oznacza, żeby stosunki społeczne były takie same. Stworzenie zaś giełd, samo jedno bez państwowéj inspekcyi zbożowéj, odda tylko rolnika na pastwę spekulantom. Rzecz główna na tém polega, że cały podkład handlu zbożowego w Stanach Zjednoczonych wygląda zgoła odrębnie.

Naprzód cała przestrzeń, produkująca zboże, jest pokryta elewatorami. Folwarki, zwłaszcza na zachodzie, posiadają wygląd wielce różny od naszych. Stodół nie ma, zboże bowiem młócone bywa na polu. I spichrzów nie widać; zamiast nich mamy domki rozrzucone po polu, w których przechowuje się ziarno. Gdzieniegdzie i tego budynku brak. Kiedy młocka zostanie ukończona, właściciel zsypuje zboże do worków, przykrywa je nieprzemakalném płótnem i pozostawia tak do owéj chwili, gdy odwiezie je na stacyę. Wielkie spółki akcyjno-rolne posiadają własne elewatory przy kolei, do których odwożą zboże; drobni fermerzy wysyłają je do t. zw. wiejskich elewatorów, będących własnością specyalnych kapitalistów. Takie elewatory sterczą w Minnesocie i w Dakocie na każdéj stacyi w liczbie kilku. Na niektórych narachowałem do pięciu i sześciu. Dziwna ich struktura, zgodna z wewnętrznemi organami, barwa brudnoczerwona, odrazu zwracają na nie uwagę europejskiego przybysza. Swojemi rozmiarami panują nad okolicą. Niejednokrotnie, gdy podczas wycieczki znalazłem się wśród stepu, nic po za pszenicą nie widziałem przed sobą, prócz tych budynków, wznoszących swoje wierzchołki nad równiną. Są one jednak, w porównaniu z elewatorami wielkich ognisk handlu, względnie małéj żarłoczności, odgrywają rolę niby ssawek i ramion, obowiązanych chwytać żywność i nieść ją żołądkowi, który usadowił się w Minneapolisie, Buffalo, Duluth, Chicago i kilku innych miastach. Zboże złożone do takiego uspołecznionego spichlerza, bez wiedzy fermera wędruje daléj w świat, i może w owéj chwili, kiedy fermer je sprzedaje, zostało ono już zamienione na mąkę a nawet spożyte w postaci chleba, lub jakiejś innéj. Ale dla rolnika jest to rzecz obojętna. Ma on kwit, głoszący, że takéj a takiéj nazwy firma winna mu w takim to elewatorze na żądanie oddać tyle a tyle pszenicy oznaczonéj nomenklatury — zboże bowiem jest rozklasyfikowane troskliwie. Więcéj go nic nie obchodzi, byleby dostał stosowną ilość zboża. Niektóre spółki akcyjne posiadają po setce elewatorów wiejskich i parę wielko-miejskich, a wszystkie utrzymują z sobą stosunki na wzór bankierów — tak, że jeżeli znajdująca się w Minneapolisie zobowiązała się dostarczyć zboże komuś w Nowym-Yorku (odległość blisko $1^1/_2$ tysiąca wiorst), telegrafuje do sprzymierzonego elewatora

w tém ostatniém mieście, aby wydał zboże, załatwiając rachunek późniéj.

Fermer korzysta szczodrze — przynajmniéj teoretycznie może korzystać — z tych ułatwień. Dostaje np. kwit, że w pewnym elewatorze, takiéj a takiéj spółki, złożył zboże, wraz ze zobowiązaniem się, że spółka wyda zboże, gdzie on wskaże, za potrąceniem kosztów transportu. A więc rolnik, złożywszy zboże w elewatorze, czyta uważnie kursa giełd zbożowych i sprzedaje za pomocą drutu telegraficznego swój plon komuś o dwa tysiące wiorst od fermy. Pozostaje mu udać się do swojego elewatora, który da rozkaz wydania odpowiedniéj ilości zboża, we wskazaném mieście, wypłaci mu należność i potrąci koszta transportu i prowizyi. Rolnik skończył swoje zadanie, sprawa pozostaje nadal do załatwienia pomiędzy elewatorami. A tranzakcya taka jest możliwa wobec tego, że dzięki jednostajności panującéj w amerykańskiém gospodarstwie, ziarno odznacza się podobną jednostajnością i daje się wtłoczyć w kilka nielicznych nomenklatur. Nadto istnieje dozór państwowy nad tém, aby zboże odpowiadało warunkom nałożonym przez nomenklaturę. Tém samém usunięto możliwość nieporozumień i stworzono podstawę dla rzeczonych tranzakcyi.

Handel zbożowy amerykański opiéra się na jednostajności nomenklatur ziarna, rozwinięciu że tak powiem bankiersko-zbożowego pośrednictwa elewatorów i giełd, oraz troskliwéj kontroli państwowéj nad klasyfikacyą ziarna i odpowiedniością nazwy i jakości. Tego nie sprowadzi zbudowanie 3—5 elewatorów lub założenie giełdy zbożowéj. Jeżeli dodamy do tego ślamazarność rolnika europejskiego oraz nieuctwo, zrozumiemy, że taka giełda może stać się siedliskiem pijawek wysysających rolnika.

VI.

Dużo kiedyś mówiło się w Europie o amerykańskiéj konkurencyi. Milczenie dzisiaj zapanowało nie dlatego, aby niebezpieczeństwo minęło, ale ponieważ pokryło się sadzą starzyzny, zyskało prawo obywatelstwa. W gruncie rzeczy istnieje ono, może bardziéj napięte niż kiedykolwiek, zawiérając w sobie pociski nietylko przeciwko europejskim producentom zboża, ale i mięsa, nabiału, w niedalekiéj zaś przyszłości owoców południowych. Że współzawodnictwo wzrasta wolniéj, aniżeli wolno było oczekiwać, jest to naturalném następstwem téj okoliczności, że każdy rok przynosi do Stanów Zjednoczonych nową falę wychodźców, pochłaniającą przyrost środków żywności. Zresztą konkuren-

cya zamorska zgoła nie jest straszna, przynajmniéj w zakresie produkcyi zboża swojemi ulepszonemi metodami uprawy. Np. pod względem agronomicznym technika rolna fermerów Dakoty jest licha, człowiek jak rabuś wyzyskuje soki z ziemi, sama uprawa jest dorywczą, niegruntowną. Fermer osiedlił się na gruncie celem zrobienia *businessu*, prowadzi rolę nie tak, jak tego wymaga racyonalne, obliczone na daleką przyszłość gospodarstwo, ale zgodnie z wymaganiami geszeftu. Ta wielka zasada fermera amerykańskiego, jaką jest *money making*, t. j. robienie majątku, każe mu gospodarować niedbale. Ale ona również każe mu w zakresie rolnéj maszyneryi czynić nieustanne postępy. Nie ulepszona uprawa, ale ulepszone narzędzia, — oto cała różnica fermerstwa amerykańskiego! Tam, gdzie najemnik pobiéra na nasze pieniądze do czterech rubli dziennie, żniwiarko-wiązałki, parowe młockarnie opłacają się grubo. Ulepszone narzędzia obok niedbałéj uprawy — oto charakterystyczny rys stepów pszennych. Niektórzy publicyści europejscy tę właściwość okrzyczeli za deskę zbawienia dla ziemian naszéj części świata. Jak najniesłuszniéj! Właśnie w tém nawskroś geszefciarskiém, rabunkowém gospodarstwie spoczywa jądro konkurencyi zamorskiéj. Według analizy uczonych agronomów, soków gleby w Dakocie starczy na lat 100 bez nawozu. Dakoty zajęto dotychczas nieznaczną cząstkę, w Manitobie olbrzymie przestrzenie, same jedne starczące na wyżywienie Europy, oczekują połechtania pługiem. Gruntów więc do wyzysku nie zabraknie. Tymczasem rabunkowy tryb uprawy pozwala produkować z małym nakładem, wyrzuca na rynek tanie zboża. Może za kilka lub kilkanaście dziesiątków lat nastąpi wyjałowienie, ale jakie zmiany wywrze okres przejściowy na losy ziemiaństwa? O tém, ażeby Ameryka gorzéj prowadziła hodowlę bydła, jakoś nie słychać nawet wśród najzaciętszych potwarców.

Wielkość konkurencyi amerykańskiéj zasadza się przedewszystkiém na ruchliwości i inteligencyi tamtejszego fermera, na wyklęciu z fermy niepotrzebnych tradycyjnych budynków i sprzętów i na wyspecyalizowaniu procederów, na olbrzymim rozwoju środków komunikacyjnych, techniki handlowéj. Są to wszystko kategorye natury historycznéj. W takich warunkach działalność urzędowego sztabu agronomów i placówek doświadczalnych znajduje dogodny grunt dla siejby. Instytucye te przestają być dekoracyą potrzebną do tego, ażeby sprawiała milsze wrażenie, ale stają się nawskroś praktycznemi dźwigniami. Zadaniem niniejszego artykułu było właśnie skréślenie tych mało znanych lub wcale nieuwzględnianych stron produkcyi rolnéj po tamtéj stronie Atlantyku.

K. R. Żywicki.

Z GŁĘBI DUSZY.

SONETY.

O świcie.

....Świtało. Okna bladły. Ich ciemność blask dzienny
Rozpraszał, walcząc z światłem lamy chorobliwém...
Stargany beznadziejnéj tęsknoty porywem,
Do szyb czoło cisnąłem, znużony i senny. .

Świat wyłaniał się z mroków otchłani bezdennéj,
Ranek chłodny był, mglisty... słychać kurów pianie
I chwilami z oddali, hen! psów ujadanie...
Ciemność okien rozpraszał powoli brzask dzienny.

Bez ruchu, by nie spłoszyć nagle czaru chwili,
Wsłuchiwałem się w wozów odległe turkoty
I w ćwierk wróbli, co sennie za oknami kwili...

Do szyb czoło cisnąłem, znużony i senny,
Ciemność okien rozpraszał powoli brzask dzienny,
Ale nic nie rozproszy méj wielkiéj tęsknoty.

Wieczór letni.

Miriamowi.

Wieczoru świeży wiew płonące chłodzi skronie,
Wpatrzony w tęskną dal, upajam się gwiazd ciszą,
Faliste szumy drzew do marzeń mnie kołyszą
I wielki, wielki żal przypływem wzbiéra w łonie...

Od Wisły rzewny śpiéw w powiéwach wiatru tonie,
Łagodnie z biegiem fal pluszczące tratwy płyną
I ogni bucha krew nad ciemnych wód głębiną,
A drzewa szumią wdal, wiatr chłodzi mile skronie.

Flisaczych śpiéwów chór już w szumie fal omdlewa.
Rozchwianych ogni sznur migocze, szumią drzewa,
Od tratew skrzypiec głos dolata urywany,

Jak płacz stłumiony, łkań zatamowana fala,
Czy skarg na nędzny los,—na ciche płynie łany,
Najczuléj z wszystkich grań porusza i rozżala...

Wacław Wolski.



Sebastyan Grabowiecki

I JEGO WZORY.

Sebastyana Grabowieckiego „Rymy duchowne" 1590, wydał dr. Józef Korzeniowski („Bibl. pisarzów pol." Wydawnictwa Akad. umiej.). Kraków, 1890, 8-vo, str. XVI, 197.

Literatura polska jest jak te spokojne, głęboko zakopane rzeczki w dolinach: gdzie się ręką sięgnie, tam się raka wyciągnie. Dr. Korzeniowski, wydając w „Bibliotece pisarzów polskich" „Rymy duchowne" Grabowieckiego, oddał naprawdę literaturze poetę, i to niezwykłéj miary poetę, o którym zaledwie z bibliografii się słyszało, o utajoném jego dziele nie mając żadnego pojęcia. Wielka przyjemność i wielka zasługa wykopać taki duży brylant, gdzie grunt zdawał się już do szczętu przeryty, zwłaszcza że nowo zjawiająca się postać przybywa nam z twarzą pełną tajemnic, zachęcającą do badań, które powinny nowy strumień światła rzucić na mglisty dotąd w wielu punktach wiek XVI-ty.

Pierwszy rzut oka, pierwsza pobieżna lektura porywają niespodziankami stylu potężnego, pełnego oryginalności, odrębnego w obrazowaniu, krępego w składni, harmonijnego w dykcyi, używającego niewidzianéj dotąd rozmaitości form i rytmów.

„Gdzieście łzy moje? Snaście w brzegi morskie
Rzekami zeszły? A krynice gorzkie
W sercu zawarły? [1]) (I, w. 13—15).

---

[1]) Zdaje się, że tak trzeba poprawić z: zawarte.

Jako wąż, co człowieka prze jad niezleczony
Zaraził, a zato jest od ziemie wzgardzony,
Takem ja też opuszczon... (XII, w. 17 — 19).

Rozpuściły skrzydła nasze nieprawości (XXIII, w. 11).

Na skazę moję wyciągnąłeś rękę (LIII, w. 1).

Rękęś wyciągnął, dałeś moc gniewowi
Ojcze, przeciw mnie (tamże, w. 5 — 6).

Włajco najwyższy, czemu
W mię gniewów twoich zaostrzone strzały
Puszczasz, by ból dawały?
Jeśli to na kaźń memu
Grzechu, nie wytrwa siła bolu temu. (XXIV, w. 1 — 5).

Córo Syońska, zrzuć łańcuchy z szyje
Niech dana wolność w więzieniu nie żyje.
Z rąk i nóg twoich otrząśni okowy,
Wyrwi z niewoli ozdoby twej głowy (CLII, w. 1 — 4).

Tak pisać może tylko poeta noszący w sobie „ziarnko geniuszu" i bardzo słusznie p. wydawca daje mu pierwszeństwo przed Grochowskim, w którym, powiedzmy otwarcie, nie ma ani szczypty tego renesansowego artyzmu, jakiego przecież Muza polska miała prawo żądać po następcach Kochanowskiego.

Uważniejszy i chłodniejszy przegląd „Rymów" sprowadza niejakie rozczarowanie. Nie mówiąc już o zbyt częstém powtarzaniu się jednych motywów, jednych zwrotów, jednego nużącego nastroju w psalmicznych wynurzeniach pokutnika, wiersz niejednokrotnie jest niepoprawny i niejasny; wygląda na borykanie się z formą nieswojską, dotąd w poezyi polskiéj nieużytą, na szamotanie się nieposkromionych i przerosłych po za ściany naczynia pomysłów.

Gdy uzdy kładą na słoneczne konie
Godziny, noc ukraca
Świtanie, a po stronie
Wszelkiej światłem pozłaca
Niebo i łąkom hojność ozdób wraca (XCVI, w. 1 — 5).

Ten trudny i zawiły styl stał się może przyczyną, że poezye Grabowieckiego nie zdobyły popularności, a raz zaniedbane, prawie przepadły; pora była, aby im należny wrócono szacunek. Jakąkolwiek się im dzisiaj przyzna wartość estetyczną, dla historyka literatury są one zdobyczą nieocenioną, a oto dlaczego:

Różnica między utworami, jak cytowany powyżéj, a potoczystym, spokojnym i naturalnym stylem w innych, naprowadza na domniemanie, któreby się w pierwszéj chwili z umysłu spłoszyć pragnęło. Wyglądają te utwory—a jest ich dobrze połowa, — jak przekłady, w któ-

rychby poeta uparł się treść wiersza zachować i formę niewolniczo przyswoić. U Grabowieckiego niezawodną wskazówką źródeł obcych są, prócz stylu, charakterystyczne formy strofy; dr Korzeniowski rozróżnia 48 szematów odmiennych pod względem rytmu i rymu; należy bliżéj je rozpatrzyć. Pomijam formy stroficzne pospolite od czasów Kochanowskiego, zajmę się tylko temi, które niewątpliwie są obcego pochodzenia.

Sonet u Kochanowskiego jeszcze nieśmiały i nieudolny, u Grabowieckiego nabiéra kształtów prawie wykwintnych; na podobny trzeba będzie czekać aż do Morsztyna.

Kancona zjawia się w poezyi polskiéj po raz pierwszy; prawdziwa kancona petrarkowska, ze świadomością i wiernêm zachowaniem tak regularnego układu rymów, jak rytmu 7-i 11-zgłoskowego: szczegół niezmiernie zajmujący, zważywszy, że do dziś dnia tłómacze zdają się nie posiadać przeświadczenia, że w poezyi włoskiéj i hiszpańskiéj liczba 7 i 11 jest tradycyjnêm i nienaruszalnêm prawidłem i że nadaje typowe piętno jéj poetyckiéj frazie. Mamy więc naprzód kancony, ułożone dowolnie, ale zawsze z tych samych elementów, co włoskie:

11*a* : 11*b* : 7*c* : 7*c* : 11*b* : 11*d* : 7*e* : 7*e* : 11*d* [1]) (C).

Kancona ta składa się z dwu zupełnych strof; następna jednostroficzna w ostatnich wierszach jest zupełnie popsuta:

11*a* : 11*b* : 11*c* : 11*a* : 11*b* : 11*c* : 11*c* : 7*d* : 7*d* : 11*c* : 11*e* : 7*f* : 5*f* : 6*e* (CLXXXIV).

Znajduje się jednak u Grabowieckiego utwór wielostroficzny (tylko że strofy tak w oryginale, jak w dzisiejszém wydaniu, są rozrzucone: CLXXXVI, CLXXXVIII i t. d.), odpowiadający bardzo ściśle i konsekwentnie szematowi najpospolitszéj kancony włoskiéj, któréj typem jest znana pieśń Petrarki: *Chiare, fresche e dolci acque.* Kształt jéj jest następujący:

7*a* : 7*b* : 11*c* : 7*a* : 7*b* : 11*c* : 7*c* : 7*d* : 7*e* : 7*e* : 11*d* : 7*f* : 11*f*

Zależność poety od wzorów włoskich już tutaj okazuje się niezawodna.

Po kanconie spotykamy sestynę, ale fałszywą sestynę, bo rymy jéj powracają w strofie drugiéj, co jak wiadomo, nie dzieje się w szemacie klasycznym téj dziwnéj formy. Jestto wiersz LVI, analogiczny do kancony VI u Petrarki:

a : *b* : *c* : *d* : *e* : *f* = *a* : *b* : *c* : *d* : *e* : *f*.

---

[1]) Cyframi oznaczam ilość zgłosek, literami następstwo rymów.

Mamy daléj urywek, jakby próbę wiersza w tercynie:

Podniósłszy ręce puść się na kolana,
O mężu święty. O wybranych zborze,
Pomóż mi błagać niebieskiego Pana (LV).

Mamy bodaj że pierwszą w poezyi polskiéj, na lat kilkanaście przed Piotrem Kochanowskim próbę oktawy (LIV).

Szematy sześciowierszowych strof, z wierszem 7 i 11 zgłoskowym, jak: *a : b : a : b : c : c* (LXV, LXXII, etc.); *a : b : b : a : c : c* (CLXXV); *a : b : b : a : a* (XXIV, XXXI, etc.) zdarzają się, choć niezbyt często w poezyi włoskiéj, wytłómaczyć je zatém łatwo; co trudniéj objaśnić, to formę, znać Grabowieckiemu ulubioną, bo wielekroć powracającą, w coraz to nowych odmianach. Cytowaliśmy powyżéj wiersze: „Właj co najwyższy, czemu..." oraz: „Gdy uzdy kładą na słoneczne konie..." Prócz nich spotykamy układy, jak: *a : b : a : b : b*, lub: *a : b : a : b : a*, lub: *a : b : b : a : b* i t. p. Nie zdarzyło mi się dotąd, choć szukałem pilnie, znaleźć formy téj w poezyi włoskiéj XVI w.; mam prawie pewność, że nie istnieje. Za to gdzie istnieje, gdzie jest nawet ulubiona, to w poezyi hiszpańskiéj, ile, że będąc formą uczoną, artystyczną i nosząc arystokratyczną nazwę *copla de arte mayor*, zbliża się przecież do ulubionéj i narodowéj *kintylli*. Snać poeci italizujący w pierwszéj ćwierci XVI w. przenosząc do Hiszpanii formy włoskie, z szematu kancony stworzyli sobie drobniejszą strofę, zbliżoną do architektury popularnéj. Spotkamy ją, zajrzawszy do któregobądź poety:

Madre gloriosa y pura
A quien se dió por hijo el Verbo eterno,
Roca de se asegura
Y tiene en su gobierno
Al cielo, gloria al mundo, espanto á infierno.
(*Cancionero de Ubeda*).

Jestto szemat najpopularniejszy, najczęściéj wracający, tak właśnie jak u Grabowieckiego (XXXVII, XLIV, LVIII, LXXX, XCVI, CXIX, CXLIII, CLIV, CLXXIX). Stąd wniosek, że jak poezyą włoską, tak samo Grabowiecki znał poezyą hiszpańską, bezwątpienia bardziéj u nas rozpowszechnioną, niż się dotąd przypuszcza, na co naprowadzają liczne poszlaki, czekające tylko bliższego zbadania. U Grabowieckiego nietrudno wskazać źródło hiszpańskie w sonecie CXLIV:

Z twéj śmierci, Jezu, dochodzim żywota,

gdzie wszystkie rymy ułożone są z dwu kontrastowych wyrazów: żywota i śmierci i gdzie typowo hiszpański motyw:

Tak ja mrąc żyję, konam tak, żywota
Dochodząc... [1])

nie pozostawia pod tym względem żadnéj wątpliwości. Istotnie, sonet ten znajduje się w zbiorze poezyi religijnych księdza Pedra de Padilla, p. t. *Jardin spiritual:*

De tu muerte, Jesù, nace la vida.

Niestety, brak zupełnéj biblioteki pisarzów hiszpańskich („Biblioteka narodowa" w Paryżu w dziale hiszpańskim jest nad podziw uboga) nie pozwala w téj chwili iść śladem ugruntowanych, jak sądzę, domysłów; skuteczniejszém na razie okazało się poszukiwanie wzorów Grabowieckiego w dziale włoskim:

Z pomiędzy mnóstwa zbiorów poezyi XVI w., dzięki cierpliwości czy szczęściu, wyłonił się mało znany autor, Gabryel Fiamma, kanonik laterański, biskup Chioggia'ński, zmarły 1585 r., który w 1570 r. wydał zbiór poezyi religijnych pod pospolitym w XVI w. tytułem *Rime spirituali* (Venezia, 1570, in 4-to). Od tytułu („Rymy duchowne") zacząwszy, wielka liczba utworów Grabowieckiego jest wiernym przekładem Fiammy: prawie wszystkie sonety, dwie kancony i kilka wierszy rozwiązanych z sonetu na zwyczajne czterowierszowe zwrotki. Między innemi znajduje się u Fiammy ów sonet hiszpański w przekładzie, tak że za wzór Grabowieckiego możemy uważać nie oryginał, lecz przekład, nie zrzekając się mimo to domysłów o hiszpańskiém źródle wyżéj wspomnianych strof pięciowierszowych *de arte mayor*. Notujemy zatém przekłady następujące:

Siedm sonetów na temat siedmiu grzechów głównych:

Pycha: *O d'ogni affetto rio madre e nutrice* (Fiamma, son. 31)
Pani wszech złości, równa do macierze (Grab., nr. XXXI).
Gniew: *In questa dura età cede il discorso* (son. 33).
W tym twardym wieku rozum ustępuje (nr. XLV),

wszystkie wymieniać—rzecz zbyteczna. Następnie sonety:

Gdy z psem, albo lwem, znaki niebieskimi (XVIII),
Hor che l'Cane e'l Leon, mostri celesti (54);
Podobny morzu w głębi rozległemu (XCVII),
Simile a questo mar vasto e profondo (38);
To morze, piaski i skały straszliwe (CVI),
Questo mar, questi scogli e queste arene (39);

---

[1]) Poprawiam z. dochodzę.

Jak człowiek, co się dopuści niecnoty (CXX),
Qual huom, che pronto ad ogni error consente (28),

Z twéj śmierci, Jezu, dochodziem żywota (CXLIV),
De te morto, Giesu, nasce la vita (97);

Jak człowiek, co skarb naleść usiłuje (CLXXXIII),
Qual huom, che intento a cercar gemme ed oro (72):

Wy miłujący skarb, co lata głodzą (CXCI),
Voi ehe amate quel ben, che rodon gli anni (6):

O żywe źródło żywota wiecznego (CXCIII),
D'eterna vita eterno fonte vivo (5);

Tak wielkie dobro, o wieczna miłości (CXCV),
Tanto è quel bene, eterno amor, che nasce (1);

Sferami ziemię w koło obległemi (CLXXXIX),
Sparger quest' ampie sfere al centro intorno (8);

Gdym żył bez ciebie, dusza zimna była (LXXXI).
Mentre fui senzate, nè l'alma ardente (28);

Wreszcie dwie kancony:

Królu wszelkich narodów (LXV),
Alto Re de le genti (233),

będący parafrazą 3-go psalmu Dawida, ale zważywszy formę, niewątpliwie wzięty z przeróbki włoskiéj; —

Skutki sławne i znaczne (CLXXXVI),
Opre famose e chiare (Canz. 1).

zgodne we wszystkich sześciu strofach:

Duchy niebieskie, czyste (CLXXXVIII),
Spirti celesti e puri ( ), etc.

W oryginale ta kancona kończy się trzema wierszami (*coda*), w których powiedziano, że śpiewali ją trzéj młodzieńcy biblijni w piecu gorejącym; w przekładzie tych trzech wierszy zaniechano.

Ze stu kilkudziesięciu utworów Fiammy Grabowiecki wybrał zatém 20; być może, iż przy uważniejszym przeglądzie, utrudnionym monotonnością motywów, jeszcze inne wykryją się ślady. Sam wybór rzuca równie pewne światło na skłonności artystyczne poety; oto prócz owego sonetu zbudowanego na kontraście życia i śmierci, Grabowiecki unikał utworów trącących barokiem; szukał nie sztuczności, lecz czystego liryzmu; szczegół ważny, świadczący, że maniera barokowa, powoli ogarniająca Włochy, u nas jeszcze długo, bo aż do Morsztyna nie chwytała się gruntu; Grabowiecki w zupełności należy do złotego, renesansowego okresu.

Dwa źródła inspiracyi „Rymów duchownych", jeden domniema-

ny, drugi pewny, nie wypełniają całego dzieła i rzeczą będzie analizy krytycznéj, po dokładném zbadaniu oddzielić pomysły własne, niezawodnie obfite, od cudzych, wykazać parafrazy, podwójne przeróbki jednego motywu, których moc jest wielka (np. wiersz CLXXXII: „Piecza, co złotem karmisz się i żyjesz" jest widocznie pierwotną redakcyą tłómaczenia sonetu LIX: „Piecza, co rościesz i żywisz się złotem"). Przypuściłbym liczniejsze, niż chce p. wydawca, (w przedmowie, str. XV), ślady „Psalmów", tonem i nastrojem, oraz dwojaką seryą motywów: uwielbieniem Boga i kajaniem się pokutnika, przenikających całe dzieło Grabowieckiego. Od pierwszego rzutu oka spostrzega się mnóstwo analogii:

Przecz się kupami wodzą ludzie, a swe jady
Z próżną myślą mieszają? Przecz książęta rady
Czynią... (Grab. XL),

Czemu się wzburzyli pogani, a ludzie rozmyślają próżne rzeczy? Stanęli wespół królowie ziemscy, a książęta... (Ps. II, w. 1—2);

Zaż łaskę twą wysławi, kto w otchłaniach będzie,
Zaż (niestetyż) umarły ciebie wielbić będzie? (Gr. XLIII, w. 23—4),

Albowiem w śmierci niemasz, ktoby na cię pamiętał, a w piekle kto cię wyznawać będzie? (Ps. VI, w. 6).

Boże mój, o Boże mój, przeczżeś mię porzucił,
Oddaliwszy zbawienie... (Gr. XLVII),

Boże, Boże mój, wejrzy na mnie, czemuś mię opuścił? daleko od zbawienia... (Ps. XXI, w. 2);

Panie Boże mojego zbawienia, ku tobie
We dnie wołam i w nocy wznoszę oczy obie (Gr. LXIX),

Panie Boże zbawienia mego, we dniem wołał i w nocy przed tobą (Ps. LXXXVII, w. 2);

Także mnie, mój Panie, zapomnisz koniecznie
I swą odemnie będziesz twarz odwracał wiecznie? (Gr. LXX).

Dodądże Panie, zapomnisz mnie do końca? dokąd odwracasz oblicze swe odemnie? (Ps. XII, w. 1);

Panie, któż w gmachach twoich ma mieszkanie
Dla odpoczynku... (Gr. LXXI),

Panie, któż będzie mieszkał w przybytku twoim, albo kto odpoczynie na górze twojéj świętéj? (Ps. XIV, w. 1).

W niektórych razach, jak tu, Psałterz dopomoże nawet do poprawienia tekstu; należy czytać: „Dla odpoczynku któż na onéj stanie—Górze świętéj?" Przykłady związku z Psałterzem możnaby tak mnożyć w dziesięcioro; umniejsza to zasługę samodzielnéj inwencyi, ale da się wytłómaczyć przykładem innych literatur spółczesnych, gdzie podobne zbiory poezyi religijnych równie nie są czém innném, jak parafrazą Psałterza.

Wydanie odznacza się drobiazgową starannością i wielkiém znawstwem języka polskiego XVI w., bez czego trudno byłoby wybrnąć z chaosu zawiłéj i ciemnéj składni, oraz licznych błędów pierwodniku. W wielu razach wydawca przyjmował poprawki spółczesnéj ręki, w któréj z wielkiém prawdopodobieństwem domyśla się ręki samego autora. Gdzie ich zabrakło, dr. Korzeniowski nie wahał się — i słusznie — wprowadzić do tekstu drobnych zmian, prostujących bądź myśl, bądź rytm wiersza, a na które poeta chętnieby się podpisał. Skoro już tę zasadę przyjęto, pozwolę sobie zaproponować jeszcze kilka poprawek — jak mniemam — z korzyścią dla tekstu:

I, w. 15, *zawarty* zam. *zawarte.*

XVII, w. 5—7: zmienić interpunkcyą; „Że nie tam stawa, gdzie pragnie, Co wszystko stworzył"; co uwłaczałoby pojęciu wszechmocy Bożéj, — poprawić na: „gdzie pragnie; Co wszystko stworzył", Ten mnie *z niem* (t. j. ze szczęściem) zborzył.

L, w. 11, dać *równia* łaskam, zam. *równe.*

LXXII, w. 24, *władną*, zam. *władnie.*

LXXX, w. 40, *do dom*, zam. *do domu.*

LXXXIX, w. 3, *świat ten*, zam. *światem.*

XC, w. 1, *Będziesz-li*, zam. *będziesz.*

XCVI, w. 2, noc *ukraca*, zam. *skraca.*

CV, w. 36, *wznosiemy*, zam. *wynosiemy.*

CXXX, w. 1, *krynico*, zam. *źródło.*

CLIX, w. 15, *I* w pierzu, zam. *A* w pierzu.

CLXXII, w. 10, zam. „Że mi tę śmiałość *odpuścisz tym wiary*", należy poprawić: *odpuścisz, ty-m wiary* (t. j. téj jestem wiary).

CLXXIII, w. 20, strzeż *dusze* lub *duszy*, zam. *duszę.*

CLXXIV, w. 3, *skrytej* rady, zam. *skryte.*

CLXXIX, w. 1, *błogosławieni*, zam. *ubłogosławieni.*

Natomiast uchylić poprawkę, proponowaną w Słowniczku, o „sprawo, z któréj nic nad żal i łkanie", zamiast właściwego „nic nad żal nic *kanie* (CXX, w. 14), gdyż *kanie* jest dobrym polskim wyrazem, a w tém miejscu tworzy obraz nader poetyczny. W myśl tego należałoby równie poprawić *tanie* na *kanie* w wierszu „Za czém w łzy się zmieniło serce, a żal tanie (XLVII, w. 26).

Do słowniczka należą wyrazy, jak *nędzić* (XLIX, w. 11), *szalic* w znaczeniu chwiać (XLIX, w. 28), *wichrowity* (CV, w. 19), *troskliwy* w znaczeniu *stroskany* (XXXIV, w. 20).

Dr. Edward Porębowicz.



Z DEMOGRAFII WSPÓŁCZESNÉJ.

Z doktryny Malthusa, która ujmować się zdawała w matematyczną formułę liczebny, stosunek rodzaju ludzkiego do możności jego życia na ziemi, pozostał dziś już tylko pewnik, że istnieje zależność między środkami utrzymania i rozwojem ludności, pewnik niezaprzeczany zresztą, o ile wiemy, przez żadnego z uczonych, zajmujących się sprawami zaludnienia, od Platona i jego „Praw" poczynając. Pod nawałem faktów, odnoszących się do kwestyi ludnościowych, które przynoszą każdodziennie niemal biura statystyczne wszystkich krajów, nie sformułowała się dotąd żadna teorya, którąby na miejscu prawa wielkich liczb lub naturalnego prawa rozwoju ludności postawić było można. Ale fakta owe dostarczają obfitego materyału, który twierdzić pozwala, że liczebne stosunki ludności w ścisłym zostają związku ze wszystkiemi prądami natury gospodarczéj, prawnéj, politycznéj i społecznéj, że są one zatém znacznie więcéj zależne od czynników stwarzanych przez świadomą zbiorową wolę społeczną, niż od uchylających się z pod jéj wpływu praw przyrody.

Zagadnienia ludnościowe naturalnym biegiem rzeczy najbardziéj skupiają dziś na sobie uwagę uczonych i szerokiego ogółu we Francyi, zagrożonéj polityczną niższością z powodu wzrostu zaludnienia znacznie powolniejszego, niż w sąsiadów ze wschodu. Publicystyka i mężowie stanu ciągle powracają do tego faktu, który zapowiada dla *grande nation* smutną konieczność zejścia za kilka dziesiątków lat do szeregu drugorzędnych potęg Europy. Chęć zaradzenia niebezpieczeństwu, odwrócenia groźby póki czas, skłania Francuzów do zajmowania

się sprawą zaludnienia, co ułatwiają doskonale od lat wielu prowadzona statystyka i studya demograficzne, w których Francuzi celują. Prawdopodobnie, oprócz czysto naukowych i owe praktyczne względy pobudziły E. Levasseur'a do przedstawienia w wielkiém trzytomowém dziele [1]) historyi i obecnego stanu ludności we Francyi. Autor stawia sobie bardzo rozległe i wszechstronne zadania. Pragnie on przedstawić statystykę jako naukę, a więc jéj metody, zagadnienia, które porusza, oraz jéj historyę. Wykłada wybitniejsze teorye, które zajmowały się statystyką ludnościową, zwłaszcza teoryą Malthusa, nauki jego poprzedników i następców i korzysta z nagromadzonego przez współczesne badania materyału, aby wykazać błędność wszelkich twierdzeń apryorycznych w kwestyach ludnościowych. Oprócz tego teoretycznego, że je tak nazwiemy, zadania, Levasseur podjął w pierwszym tomie olbrzymie dzieło przedstawienia historycznego rozwoju ludności Francyi, poczynając od pierwotnéj Galii, tworzenia się i napływania ras, przez czasy rzymskie i wszystkie ważniejsze momenty z życia historycznego Francyi, aż do wybuchu wielkiéj rewolucyi. Mając bardzo skąpą ilość danych cyfrowych, musiał przecież ograniczyć się do oceny ludności i do wniosków, na jakie pozwalała mu znajomość wypadków historycznych. Wykazuje tedy przyrost ludności pod koniec wędrówek narodów, dzięki wpływowi osiadłego życia i okresu względnego pokoju. Od IX-go do XI-go stulecia następuje okres zmniejszania się ludności, podobne zjawisko sprowadza wojna stuletnia, oraz wojny religijne XVII-go wieku. Przez cały ten okres czasu dane cyfrowe są przecież tak ułamkowe i niepewne, że nie będziemy zajmowali czytelników bliższém streszczeniem historycznéj części dzieła. Nawet bowiem spisy ludności z XVIII-go stulecia opiérają się na ocenach, które u każdego autora wypadają inaczéj.

Po za historyczną częścią jednak, mamy jeszcze dwa tomy poświęcone współczesnéj statystyce, w których autor zebrał ciekawe i obfite dane, dotyczące stosunków francuskich, zestawił je za cały ciąg bieżącego stulecia i oświetlił porównaniem ze stosunkami bogactwa i ludności w innych krajach. Nie zamykając się w ciasnych ramach zjawisk, jakie uwzględniała statystyka ludnościowa, jak przedstawiali ją np. Süssmilch lub Wappäus, daje nasz uczony porównawczą demografię ludności francuskiéj. A więc bada równoległy z rozwojem ludności rozwój gospodarczy, emigracyę, kolonizacyę, pauperyzm i środki zaradcze, politykę zagraniczną państw europejskich i wewnętrzną politykę

[1]) La population française. Histoire de la population avant 1789 et Démographie de la France comparée à celle des autres nations au XIX siècle.

Francyi, wreszcie postęp ras ludzkich i wzajemny ich stosunek liczebny. Tak obszerne traktowanie kwestyi musiało pociągnąć za sobą nierównomierne opracowanie pojedyńczych części, oraz utrudnić postawienie wniosków ogólnych, które same w sobie musiałyby być zasadami nowéj nauki, różnéj i od dotychczasowego pojmowania statystyki ludnościowéj i socyologii.

Korzystamy z obfitego materyału, jaki podaje uczony francuski, aby wskazać niektóre zagadnienia demografii dzisiejszéj, nie ograniczającéj się już do zbiérania cyfr przeciętnych, któremi dawniejsi statystycy popiérali teoryę prawidłowości zjawisk ludnościowych.

Wobec nadmiernego wzrostu ludności, który w naszém stuleciu szybszy był, niżli w którémkolwiek z poprzedzających (od 1800 do 1890 r. ludność Europy podwaja się: ze 175 milionów wzrasta na 360), zachodziłoby pytanie: czy rozwój gospodarczy jest w stanie dotrzymać kroku temu przyrostowi? Wielką trudnością, jaka nasuwa się przy tém porównaniu, jest znalezienie miernika, któryby wyraził rozwój lub upadek dobrobytu. Produkty rolne, ograniczone przez obszar i właściwości gruntu, nie mogą dać obrazu powiększania się ilości srodków spożywczych. Biorąc pod uwagę wzrost produktów rolnych w danym kraju, pamiętać trzeba, że jednocześnie wzrasta i jego ludność, obliczając zaś spożycie na głowę, zapominać nie należy, że do Europy napływają produkty spożywcze ze wszystkich części świata; nie wymierzamy więc tym sposobem produkcyjności gleby europejskiéj, ale tylko siłę nabywczą ludności, która istotnie miernikiem tu być musi.

Produkcya rolna wzrastała we Francyi w ciągu bieżącego stulecia, względnie do przestrzeni użytéj pod uprawę i średniéj rocznéj produkcyi z hektara, jeżeli zaś obliczymy spożycie najważniejszych produktów rolnych, to okaże ono znacznie szybszy przyrost od ludności. I tak: kiedy od 1820 do 1886 r. ludność wzrosła o 27%, ilość spożywanéj pszenicy zwiększyła się o 97%, kartofli, które w 1820 r. należały do produktów stosunkowo rzadkich, o 174%, mięsa (i to w porównaniu z 1840 r.) o 82%.

Jakkolwiek Tołstoj skarży się w jednéj ze swych rozprawek filozoficznych, że spożywamy więcéj nad potrzeby organizmu, to przecież skarga taka odnosić się może tylko do zamożniejszéj części ludności, sam fakt zaś, że spożycie artykułów pierwszorzędnéj ważności, jak zboże i mięso, tak bardzo wzrosnąć mogło, jest dowodem, jak niedostatecznem było odżywianie się wielkiéj masy w początkach bieżącego stulecia, wiemy bowiem, jak wielkie w odżywianiu tém po dziś dzień jeszcze spotkać można braki. Jeżeli porównaniu, przeprowadzonemu

na ludności Francyi, zarzucić można, że ilość najważniejszych artykułów spożywczych wzrastała szybciéj z powodu minimalnego wzrostu ludności, to w Anglii rozwój ostatniéj postępował zupełnie prawidłowo, a przyrost był nawet największym, jaki zauważono wśród wielkich potęg Europy, jeżeli wyłączymy Rossyę (w dziesięcioleciu od 1870 do 1880 r. rzeczywisty roczny przyrost ludności wynosił 13,5‰, we Francyi zaś w tym samym okresie tylko 4,5‰ [1]). Tymczasem i w Anglii spożycie najważniejszych produktów wykazuje przyrost, niezależnie od cyfry mieszkańców. W latach od 1852—1859 średnia konsumcya pszenicy wynosiła 184 litry na głowę, w czteroleciu od 1881—1884 dochodzi ona do 272 litrów. Krajowa produkcya nietylko nie wzrosła, ale nawet zmniejszyła się w tym okresie tak, że dziś zaledwie dostarcza 1/3 całego zapotrzebowania. Ilość mięsa, jakie spożywa Anglik, wzrosła ze 100½ funtów na głowę w 1868 r., do 111½ w 1883 r., a i do tego głównie przyczyniło się mięso przywożone z zagranicy. Nie potrzebujemy przytaczać cyfr na poparcie twierdzenia, że produkty wytwarzane pracą i przemysłem ludzkim, a więc tkaniny, przędze, domy, fabrykaty wszelkiego rodzaju, długość linii kolei żelaznych, ilość maszyn i fabryk, wzrastają szybciéj niż ludność. Przesilenia, powtarzające się niemal peryodycznie w naszém stuleciu, były zawsze dowodem zbytniego nagromadzenia wytworów pracy ludzkiéj i szybszego wzrostu bogactwa, niż ludności. Najogólniejszym i najłatwiéj dającym się ująć miernikiem będą tu cyfry, odnoszące się do handlu wywozowego pojedyńczych krajów, z których okazuje się, że nawet w krajach o najszybszym przyroście zaludnienia, jak Rossya lub kraje skandynawskie, dochody handlowe rosły znacznie szybciéj. Powtarzamy tu za autorem porównawczą jego tabliczkę (t. III, s. 105):

	Wzrost na 100 od r. 1830—1886	
Nazwy krajów	Handel	Ludność
Wielka Brytania	664	152
Holandya	1050	169
Belgia	833	155
Francya	789	117
Niemcy	900	158
Austro-Węgry	775	133
Hiszpania i Portugalia	600	150
Włochy	767	141
Rossya	780	222
Szwecya i Norwegia	550	171

[1]) Handwörterbuch d. Staatswiss t. II, s. 523.

Nie przeczymy, że sąd o bogactwie kraju, wydany tylko na podstawie jego obrotów handlowych, dalekim jest od ścisłości, będzie to przecież jedyny sposób międzynarodowego porównania bogactwa państw pojedynczych. Głównym zarzutem, jaki by tu postawić się dało jest, że suma obrotów handlowych wzrosnąć mogła w skutek podwyżki cen. Ceny jednak na wyroby przemysłu nietylko się nie podniosły ale nawet spadły, co zaś do produktów rolnych, to ceny ich wzrastały do połowy ósmego lat dziesiątka, teraz zaś stoją niżéj w porównaniu do cen w szóstym dziesiątku lat [1]). Zresztą wzrost zamożności wykazać można również na powiększeniu się sumy zarobków, szybszém niż ilość robotników. W Anglii ilość robotników w ciągu ostatnich lat pięćdziesięciu wzrosła z 9 milionów na 13-cie, roczna ich płaca ze 171 mil. f. szt. na 450 [2]). We Francyi, jak dowodzi autor, płace zarobne podwoiły się w ostatnich sześćdziesięciu latach. Ciekawém jest, że większy wzrost wykazują płace robotników w drobnym przemyśle, niż w wielkim (przędzalniczym i tkackim), że rosły one szybciéj na prowincyi niż w Paryżu, gdzie zwłaszcza płace robotnic niski bardzo wykazują poziom.

Levasseur z owego porównawczego zestawienia zarobków, o ile obliczenie było tu możliwém, wyprowadza wniosek, że wszystkie klasy ludności korzystały ze wzrostu bogactwa, nie daje jednak danych, które by pozwoliły ocenić, o ile klasy pracujące skorzystały w porównaniu z klasą średnią, lub zamożną.

Najdokładniéj ocenić można wzrost bogactwa i ludności w Anglii i Stanach Zjednoczonych A. P., gdzie popisy ludności (w Stanach od 1840 r.) i podatek dochodowy (w Anglii) obliczają ruchomy i nieruchomy majątek kraju. Otóż w Anglii majątek ten wynosił w 1812 r. 160 f. szt. na głowę. Od tego czasu wzrastał bez przerwy; w 1885 r. zaś wynosił 270 f. szt. na mieszkańca. W Stanach Zjednoczonych, z wyjątkiem obniżki w 1820 r., która przypisaną być może odmiennéj metodzie rachunku, bogactwo również wzrasta stale od 1790 r., kiedy wynosiło 187 doll. na głowę do 870 doll. w 1880 r. Autor twierdzi, że bogactwo i w innych krajach w podobnym stosunku podnosić się musiało, jakkolwiek nie mamy na to pewnych danych. W Rosyi np. desiatyna ziemi w 43 guberniach wzrosła w cenę o 153 na 100 w la-

---

[1]) Obliczając metodą Stanley Jevonsa, znajdujemy, że ceny 23-ch głównych produktów w 1889 r. w porównaniu z 1845/50 r. spadły o 0.6%, metodą Soetbeera, że ceny na produkty rolne obniżyły się o 1½% (cyt. u Blocha — „Ziemia i jéj obdłużenie."

[2]) Według M. Giffena, dyrektora departamentu przemysłu.

tach od 1860 do 1889-go r., w południowych guberniach przewyższyła nawet 4 razy dawną cenę. Tak więc fakty zaprzeczają głównemu twierdzeniu teoryi Malthusa, że ludność dąży do szybszego wzrostu, aniżeli środki utrzymania. Przez środki utrzymania bowiem rozumiéć musimy wszelkie sposoby zadawalania naszych potrzeb, które wyrażają się w sumach bogactwa pieniężnego, w rozwoju różnych czynników życia społecznego. Jeżeli zaś weźmiemy pojęcie to w ciaśniejszém znaczeniu, mając na pamięci ograniczoną przestrzeń i wydajność gleby, to i tu spotkamy fakt stosowania lepszych metod gospodarczych i dzięki im obfitszych plonów rolnych; czego zaś nie wyprodukuje gospodarka krajów europejskich, tego dostarcza handel międzynarodowy. Produkty rolne bowiem stanowią dziś najważniejszy artykuł handlu międzynarodowego, ludność zaś w po za europejskich częściach świata z wyjątkiem Azyi, tak jest dotąd rzadka, że nie byłaby w stanie spożyć nawet téj ilości zboża, którą obecnie produkuje, nie mówiąc już o rozszerzeniu wytwórczości rolnéj i na te terytorya, które dziś jeszcze nie dostarczają zboża ani bydła dla Europy.

Na obronę teoryi panującéj możnaby przecież postawić pytanie, czy podobny rozwój i daléj trwać będzie? Jest bowiem faktem, że ludność dzięki lepszym warunkom hygienicznym, większéj obfitości środków spożywczych, zniesieniu ograniczeń prawnych, co do zawierania małżeństw, wzrastała w bieżącém stuleciu bez przerw i zaburzeń, które powodowały mały jéj przyrost w wiekach dawniejszych, kiedy dziesiątkowana przez wojny, zarazy, wielką śmiertelność dzieci, oscylowała w ciągu długich okresów około téj saméj cyfry. Na pytanie to odpowiedziéć można, rozpatrując dane ruchu ludności i zależność ich wysokości od środków utrzymania, do czego wyborny materyał dostarcza nam znów omawiane dzieło.

Fakt powolniejszego, niż w innych krajach, przyrostu ludności zależyć może od dwojakiéj przyczyny: emigracyi lub obniżenia się naturalnego przyrostu. To ostatnie spowodowane znów być może przez wzrastającą śmiertelność, lub małą ilość urodzeń. Emigracya sprowadziła ubytek ludności w Irlandyi, gdzie w ciągu lat 50-ciu (od 1841—91 r.) zmniejszyła się ludność prawie o połowę (z 8,199,853 mieszkańców na 4,706,162) pomimo liczby urodzeń nie mniejszéj od téj, którą spotykamy we Francyi (koło 25 na 1000 mieszkańców). We Francyi ubytku ludności dotąd nie spotykamy, ale stopę przyrostu najpowolniejszą ze wszystkich krajów Europy (w okresie od 1861—80 r. 2.3‰ rocznie, kiedy najwyższy przyrost naturalny Norwegii i Anglii, stanowił w tym samym czasie 13.9 i 13.4‰). Drugim charaktery-

stycznym rysem kwestyi ludnościowéj we Francyi jest wciąż słabnąca stopa owego przyrostu: kiedy w latach 1801—1810 wynosiła ona rocznie 4.2⁰/₀₀, a nawet doszła do 5.8 na tysiąc w dziesięcioleciu od 1821—1830 roku, to już od 1850 roku nie dochodzi ani razu 3⁰/₀₀, a w 1886/89 roku obniża się do 1.7⁰/₀₀. Związaną z tém jest stale zmniejszająca się ilość dzieci na każde małżeństwo, która z 4.2 w początkach naszego stulecia spadła do 2.9 w 1886/89 r. Cyfra ta niewiele by się podniosła przez dodanie urodzeń nieślubnych, które zaledwie 8 na 100 wszystkich stanowią.

Przyczyną powolnego przyrostu ludności we Francyi jest więc mała liczba urodzeń, któréj towarzyszy śmiertelność (23.6⁰/₀₀) należąca do średnich w Europie. (Najniższa w Norwegii 16.9⁰/₀₀). Ta sama przecież liczba urodzeń co we Francyi (23.4⁰/₀₀) w połączeniu z znacznie niższą śmiertelnością (16.6⁰/₀₀) daje na północo-wschodzie Stanów Zjednoczonych A. P. [1]) znaczny przyrost naturalny ludności. Przytém uderza tu, że liczba dzieci przypadających średnio na jedno małżeństwo wynosi nawet mniéj niż we Francyi, mianowicie 2.6, liczba małżeństw (8.9⁰/₀₀) zaś jest wyższą.

Jak wykazują cyfry, wzrost bogactwa jest zarówno we Francyi, jak i w Stanach stały i szybki, przyrost naturalny ludności, a zwłaszcza liczba urodzeń powinna by mu odpowiadać. Skoro tak nie jest, szukamy dla Francyi przyczyn w słabnącéj sile rozrodczéj rasy, w upadku obyczajów, w staréj cywilizacyi, która, jak twierdzą socyologowie np. Gumplowicz, wszędzie do zmiejszenia siły rozrodczéj doprowadzać musi. Są to przecież teorye zbudowane *à posteriori*, usiłujące odnaleść tłomaczenie dla mnożących się wciąż wyjątków, które coraz większe robią wyłomy w mniemaniu szybszego powiększania się ludności, niż środków utrzymania i wzbudzonéj przezeń obawie przeludnienia. Kolonie amerykańskie dają niezaprzeczone dowody żywotności cywilizacyi i rasy, jeżeli więc ilość przychodzących na świat dzieci jest w nich mniejsza nawet niż we Francyi, to przyczyny jéj szukać trzeba gdzieindziéj, we wpływach społecznych, które i dla Francyi zastosować by się może dały. Właśnie wzrastająca zamożność, gdy korzystają z niéj szerokie masy, zapobiega zbyt szybkiemu wzrostowi ludności. W Stanach na małą ilość urodzeń wpływa również wyższe niż w starym świecie stanowisko kobiety, która nie daje się zepchnąć do wyłącznéj roli maszyny, zapobiegającéj wyludnieniu.

---

[1]) Tylko Stany Vermont, Massachusetts, Connecticut i Rhode Island zbierają i ogłaszają dane, dotyczące ruchu ich ludności, a więc do porównań służyć mogą.

Widzimy że tam, gdzie kobieta jest istotnym czynnikiem społecznym, pomimo obfitości środków utrzymania liczba urodzeń jest niewielką, a obfitość owa przyczynia się do małéj śmiertelności. Zapobiega przeto stratom jakie społeczeństwo ponosi przez zgon każdego swego członka, który nie miał czasu wypłacić mu się za koszta wychowania i utrzymania.

Na poparcie twierdzenia, że zamożność rodziny wpływa na jéj płodność [1]), Levasseur zestawia ilość właścicicieli ziemskich w departamentach Francyi z ilością urodzeń (str. 178, t. III).

Departamenty	Liczba właścicieli na 1000 ludn.	Liczba urodzeń na 1000 ludn.
30	285	24.7
31	240	25.7
21	177	28.1

Taki sam ubytek urodzeń ze wzrostem zamożności spotykamy przy porównaniu wysokości podatków spadkowych z ilością dzieci ślubnych na 100 zamężnych kobiet w wieku od 15 do 50 lat. W 10 departamentach, w których podatek wynosił od 48—57 fr. na głowę ilość ta była 23, w departamencie Sekwany, gdzie stolica gromadzi ludzi bogatych, a wysokość podatku dochodziła do 412 fr., wypadało tylko 13 dzieci na 100 kobiet. Do podobnych rezultatów prowadzi porównanie dwóch różniących się pod względem zamożności okręgów Paryża (VIII i XIX-go). Almanach gotajski podaje dla arystokracyi francuskiéj przed 15-tu laty średnią ilość 2.7 dzieci na rodzinę. Z obliczeń na rok 1886 przecież, kiedy spodziewać by się można, że zagrożona falą demokratyzmu, szlachta starać się będzie o jak najliczniejsze potomstwo, Levasseur dochodzi do przekonania, że owo potomstwo jest tylko tak liczne jak w owym roku średnio dla rodziny francuskiéj, a więc 2.6 dzieci. Zgodnie z autorem wypowiedzićć przeto możemy wniosek, że wzrastająca zamożność w odwrotnym stoi stosunku do liczby dzieci i że przewyżka ludności, która w ogóle nieodłączna jest od powiększającego się dobrobytu, przypisać się raczéj daje zmniejszeniu śmiertelności i napływowi z zewnątrz (imigracyi). Istotnie śmiertelność zależna od położenia geograficznego i warunków sanitarnych zmniejsza się z biegiem czasu, dziś zaś kiedy statystyka wniknęła już w szczegóły życia klas ubogich, wykazać można zale-

---

[1]) M. N. Passy (Mém. de l'Ac. des Sciences morales et pol. t. II, cyt. u Levasseura, t. III, str. 177) powiada, że rodziny zamożne, wzięte masowo, mają stale mniéj dzieci od rodzin ubogich i wymrzéć by zupełnie musiały, gdyby ich szeregi nie były wypełniane przez dopływ nowych rodzin.

żność jéj od skali zamożności. I tak np. dzielnice Paryża, przez bogatą ludność zamieszkałe Elysée i Opera, wykazywały w 1886 r. na 1000 m. 14.4 do 16.2 zgonów, kiedy uboga dzielnica Ménilmontant miała śmiertelność 31.3‰. W urodzeniach różnice są prawie równie wielkie. Było mianowicie w dzielnicach tych urodzeń na tysiąc ludności 14.3, 16.3 i 30.5. W ubogich cyrkułach liczbę zgonów powiększa głównie śmiertelność dzieci 4—6 razy większa, niż w bogatych. W czasach naszych wzrasta też średnia ilość lat jaką osobnik przeżywa. Długowieczność ta wśród klas zamożnych ulega mniejszéj zmianie niż w masie ludności, jeżeli porównamy np. okres stu lat.

Badania Levasseura nad ruchem ludności we Francyi, gdzie na mocy dekretu Franciszka I-go z 1539 r. notowano już od XVI-go stulecia ilość urodzeń, małżeństw i śmierci, wykryły, że w wiekach dawniejszych, a więc wtedy kiedy wszelkie objawy cywilizacyi niżéj stały aniżeli dzisiaj, ruch ludności był szybszy. Dla XVIII-go stulecia Levasseur przyjmuje na 1000 mieszkańców 36.7—39 urodzeń, 30—33 wypadków śmierci i 8—8.8 małżeństw, kiedy we Francyi współczesnéj (1861—1880 r.) odpowiednie cyfry są 25.9, 23.6 i 7.9 na 1000. Mniemanie to potwierdza również zestawienie ruchu ludności w krajach współczesnych, stojących na różnym stopniu gospodarczego rozwoju. Węgry, Austrya, Rosya mają w ogóle największą śmiertelność w Europie, przyrost ich ludności przeto zależy od bardzo znacznéj liczby urodzeń. Jakkolwiek słaby przyrost ludności we Francyi, gdzie nie ma wpływu emigracyjnego, wytłómaczyć się daje przy pomocy przyczyn przeważnie gospodarczych, nie mniéj jest on faktem, nad którym Francuzi ubolewają i dla zaradzenia któremu pojawiają się projekta różnych środków zaradczych, jak np. pozbawiania praw wyborczych każdego Francuza, w wieku od lat 26 do 40, dopóki nie wstąpi w związki małżeńskie (projekt Laroche-Joubert z 1878 r.), pojawiały się również zamiary ograniczenia swobody testamentów dla ludzi, którzy pozostawią mniéj niż troje dzieci; ale prawa podobne byłyby w zbyt wielkiéj sprzeczności z naczelną zasadą dzisiejszego prawodawstwa: równości przed prawem i swobody jednostki, aby je stosować można było. Próba z 1884 r. wychowywania kosztem skarbu każdego 7-go dziecka nie udała się również, zgłosiło się bowiem zbyt wielu kandydatów pomimo małéj ilości licznych rodzin, a skarb nie był w stanie wykonać swych zobowiązań. Zwalnianie ojców rodziny od służby wojskowéj, wypróbowane już za czasów pierwszego cesarstwa, pobudziłoby prawdopodobnie, zdaniem autora, do wstępowania w związki małżeńskie, bo za czasów pierwszego cesarstwa znalazło się aż 170,000 ludzi, którzy w ten sposób uniknąć chcieli pewnéj

śmierci w szeregach, ale w obec małego stopnia wojowniczości, jaki stanowi właściwość dzisiejszéj Francyi, byłoby to co najmniéj ryzykownem. Autor pragnąłby przeto pozostawić sprawę jéj własnemu biegowi, starając się tylko o zmniejszenie śmiertelności przez środki i udoskonalenia hygieniczne.

Zresztą nietylko przyszłość ludności Francyi obudzać może obawy ale i stan obecny. Olbrzymie wymagania militarne naszych czasów powołują w każdym kraju pod broń znaczną część męzkiéj ludności w wieku najprodukcyjniejszym. Aby więc ludność bez uszczerbku dla dobrobytu i rozwoju kraju wymaganiom państwa odpowiedziéć mogła, musi być odpowiedni stosunek mężczyzn w wieku zdatnym do służby wojskowéj do reszty ludności, oraz liczebność armii nie przewyższająca naturalnych sił ludności. W skutek małéj ilości urodzeń liczba dzieci niżéj lat 15-tu jest we Francyi niższą w porównaniu z każdym innym krajem Europy, liczba zaś mężczyzn w wieku produkcyjnym od 15—60 lat wieku jest większą niż gdziekolwiek. Nie wystarcza ona przecież na potrzeby armii, która czyni olbrzymi wyłom wśród ludności. Aby się o tém przekonać zestawmy porównawczo oba szeregi cyfr:

Na 100 ludności:

	Mężczyzn w wieku 15—60 lat	Służyło w armii na stopie pokoju w 1890/91 r.
We Francyi	30.3	17
W Niemczech	27.5	10.8
W Wielkiéj Brytanii	26.8	8.8
W Austro-Węgrzech	28.3	7.1
We Włoszech	29.2	10
W Rosyi	?	8

Następstwem słabego przyrostu ludności jest również mniejsza liczebność kategoryi wieku od 10 do 30 lat, które przynajmniéj w trzech czwartych (od 15—30 lat) za gospodarczo-produkcyjne uważanymi być mogą, a stanowią ważny czynnik nietylko w moralnym i umysłowym składzie ludności, ale i pewną rękojmię na przyszłość. Ilość dzieci zmniejsza się i dziesiątkuje w skutek śmiertelności panującéj w tym okresie wieku, gdy dla ludzi powyżéj lat 10-ciu, średnie prawdopodobieństwo życia jest (według obliczeń Deparcieux) lat 53. Za to w kategoryi lat od 31 do 50-ciu, Francya pierwsze zajmuje miejsce wśród wszystkich państw Europy i to jest prawdopodobnie jedną z najważniejszych przyczyn zamożności Francuzów, gdy znów zamożność i obawa przed rozdrobnieniem majątku skłania ich do ostrożności w dawaniu życia potomstwu.

Znaczne różnice, co do ilościowego stosunku między różnemi

kategoryami wieku przedstawiają miasta i wsie. Pierwsze przyciągają znaczną ilość wieśniaków, szukających zarobku po miastach, swobodniejszego i wygodniejszego życia; dla tego téż procent dorosłych jest po miastach daleko liczniejszy, aniżeli na wsi. We Francyi było:

W wieku od lat	Na 100 mieszkańców każdéj grupy w miastach	po wsiach
0—15	27.3	32.4
15—45	49.7	42.3
Powyżéj 45 lat	23.0	25.3

Miasta za to szybciéj pochłaniają ludność. Średnia ilość lat jaką przeżywał mieszkaniec Paryża, była w 1861/65 r. lat 35, ludność miejska Francyi 34 lat 8 m., ludność wiejska 37 lat i 7 miesięcy.

Rozwój miast postępuje w naszém stuleciu znacznie szybciéj aniżeli w którémkolwiek z poprzednich. We Francyi, przyjmując za miasta gminy z ludnością powyżéj 2,000 m., widzimy w ciągu lat czterdziestu (od 1846 do 1886 r.) zwiększenie się ludności miejskiéj o pięć milionów (z 8.6 na 13.7 milionów). Przybytek ten nie wynika z naturalnego przyrostu miast, który szedłby w takim razie powolniéj niż na wsi, ale z zewnątrz, dzięki czemu wieś się wyludnia. Wieś francuska utraciła w 1886 r. 1,276,937 z liczby mieszkańców, którzy zamieszkiwali ją w 1876 r., tymczasem miasta zyskały w ciągu tegoż dziesięciolecia 1,707,027, do nich przeto zwrócił się cały żywioł upływający ze wsi. Wogóle, skutkiem zmienionych warunków współżycia dokonywają się ciągłe wędrówki ludności wewnątrz kraju. Z masy osiadłéj, przechowującéj tradycye i sposób życia przez kilka pokoleń, jaką była wszędzie ludność wiejska, wytwarza się ruchliwa i zmieniająca miejsce pobytu falanga. We Francyi jeszcze w 1866 r. na 100 mieszkańców departamentu liczono przeciętnie 86.8 takich, którzy się w nim urodzili, 11.7 Francuzów pochodzących z innych okolic i 1.5 cudzoziemców. Po dwudziestu latach, w 1886 r. ruchliwość ludności się zwiększa, urodzonych w departamencie jest już tylko 81.6, cudzoziemców 2.9 na sto. W Anglii cyfra ludności, zapisywanéj na miejscu urodzenia, jest jeszcze wiele mniejsza, stanowi bowiem 74.6; w okolicach przemysłowych ludność napływowa jest znacznie liczniejsza. Co do miast wielkich, to z wyjątkiem Londynu w żadnéj ze stolic ludność rdzennie miejscowa nie stanowi nawet połowy. I tak na 100 mieszkańców było urodzonych w samém mieście:

w Paryżu	32.2	Berlinie	43.7
Rzymie	44.6	Wiedniu	38.5
Medyolanie	48.4	Londynie	62.9

Wiemy, że i Warszawa nie różni się pod tym względem od innych miast, bo podczas spisu jednodniowego (1882 r.) ludności było urodzonych w samém mieście 52%.

Skupianie się ludności zależy głównie od rozwoju przemysłowego. Ogniska przemysłowe i handlowe gromadzą ludność. Z dziesięciu najludniejszych miast Anglii cztery były przystaniami portowemi, a 6 siedliskami przemysłu fabrycznego. Londyn z 958 tysiącami na początku wieku wzrasta do 3,8 miliona w 1881 r. Owe dziesięć miast przemysłowych i portowych powiększają ludność swą w tym samym czasie sześć razy. W Niemczech spis z 1885 r. wykazał w jedenastu prowincyach ubytek ludności urodzonéj na ich terytoryum. Za to stolica i przemysłowe prowincye nadreńskie zyskały znaczną przewyżkę ludności.

Przemysł skupiający kapitały w olbrzymich przedsiębiorstwach gromadzi również wielkie zbiorowiska ludzkie. To téż wśród wielkich miast wzrastają najszybciéj dzielnice fabryczne, przedmieścia rosną wszędzie szybciéj od stolic. Ludność przedmieść Paryża powiększyła się w ciągu stulecia o 67 razy! A olbrzymienie miast nie jest bynajmniéj następstwém przeludnienia wsi, bo w Stanach Zjednoczonych A. P. miasta wzrastają niepomiernie pomimo małéj gęstości zaludnienia. Powiększanie się ludności, idące krokami olbrzyma (w ciągu naszego stulecia ludność Stanów powiększyła się szesnaście razy), nie może nadążyć i wyrównać skupianiu się jéj po miastach. Kiedy w 1840 r. w miastach wyżéj ośmiu tysięcy mieszkało 8,5 na 100 mieszkańców, to w 1880 liczba ta doszła już do 22,5, a więc i w owym kraju o bujnym rozkwicie rolnictwa wieś się wyludnia, a miasto i osada przemysłowa pochłaniają ludność.

Ponieważ naturalny przyrost ludności powolniejszym jest w mieście niż na wsi, ze wzrostem miast na koszt wsi spodziéwać się można coraz powolniejszego przyrostu naturalnego. Wogóle, jak słusznie mówi Levasseur, z dwóch szeregów czynników, od których zależny jest rozwój ludności, czynnik naturalny, a więc fizyologiczny ustrój człowieka, podlega bardzo małym zmianom, kiedy warunki społeczne zmieniają się nieustannie, a jak w naszéj epoce, nawet bardzo szybko.

Pod działaniem środowiska społecznego modyfikują się przecież i zjawiska zależne napozór od fizyologicznego ustroju człowieka. Za przykład tego służyć może ilość urodzeń nieślubnych wśród rozmaitych grup ludności francuskiéj.

Na 100 urodzeń wypadało nieprawych:

w 1879—1883 r.:

W departamencie Sekwany (Paryż i okolica)	24,1
Wśród miejskiéj ludności Francyi	10,1
„ wiejskiéj „ „	9,2

Na północną Francyę, mianowicie na departamenty przemysłowe wypada znaczna ilość urodzeń nieprawych, na południu, wśród ludności rolnéj liczba ta się zmniejsza.

Różnice te występują jeszcze wyraźniéj, gdy oddziaływać mogą wyłącznie warunki społeczne, jak to widzimy przy rozwodach. Od czasu wydania prawa o rozwodach w 1881 r. liczba ich wzrasta (z 1127 w 1850—1855 r. na 6952 w 1885—1887), przytém na dziesięć żądań rozwodu dziewięć wychodzi od kobiéty. Rozwody zależne są też od zgrupowania się ludności. W 1885 r. licząc na 100 t. mieszkańców było w Paryżu i okolicy 47 rozwodów, wśród ludności miejskiéj z wyłączeniem Paryża 19, wśród wiejskiéj 35. Podobne różnice zauważyć się dają w Belgii, Holandyi, Danii, gdzie procent rozwodów w miastach głównych przenosi 4 do 5 razy średnią cyfrę, otrzymaną dla całego kraju.

Zjawiskiem, związaném ściśle z dzisiejszym ustrojem społecznym jest emigracya zaeuropejska. Europa geograficznie uważana być może za skrajną część Azyi. Aż do połowy średnich wieków napływa też do niéj ludność z Azyi. Od XVI-go stulecia rozpoczyna się odśrodkowy prąd ludności europejskiéj; przenosi się ona za Ural, do Afryki pod dowództwem Karola V-go, wreszcie do Ameryki od chwili jéj odkrycia. Aż do początku naszego stulecia dążność emigracyjna była przecież bardzo słabą. Levasseur oblicza ilość europejczyków, znajdujących we wszystkich częściach świata po za naszą na 9½ milionów w początku XIX-go wieku. Do 1890 r. dochodzi ludność europejska w Afryce, Azyi, Australii i obu Amerykach do 91½ milionów. Ludność europejska w innych częściach świata powiększyła się przeto dziesięciokrotnie, kiedy w Europie wzrosła tylko dwa razy, „dziecko wyrosło prędzéj od matki, bo miało przed sobą przestrzeń”.

Widzieliśmy, że wzrost ludności europejskiéj był w naszém stuleciu szybszy, niż w którémkolwiek z poprzedzających, bo jak powiada nasz autor, w żadném nie postępowała równie szybko cywilizacya, przynajmniéj ta jéj strona, która wyraża się w odkryciach i wynalazkach zastosowanych do materyalnego postępu. To też bogactwo powiększało się wszędzie prędzéj, niż ludność. Jeżeli więc jednocześnie pojawia się odpływ ludności do innych części świata, jest to tylko dowodem, że kraje, do których napływa emigracya, stanowiły punkta atrakcyjne, nęcące lepszemi warunkami bytu.

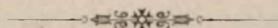
Dawniejsza emigracya europejska otrzymywała impuls z góry. Rządy wysyłały kolonistów dla zdobywania kolonii. Obecna prowadzona jest przez urok zamożności, swobody i łatwiejszych zarobków w innych częściach świata, odkrycie kopalni złota, albo wreszcie świadomą politykę państw amerykańskich, które starały się o przyciągnięcie robotników i skorzystanie ze swych naturalnych bogactw. Emigracya zabezpiecza przeto Europę przed przeludnieniem, które zjawićby się mogło, pomimo, iż bogactwo powiększa się szybciéj niż ludność.

Pytaniem, czy grozi nam kiedykolwiek nadmierne nagromadzenie ludności, kończy autor swoją ciekawą książkę i pytanie to pozostawia bez odpowiedzi. Jakich rozmiarów dojdzie jeszcze zaludnienie — przewidzieć trudno, żadne z dotychczasowych obliczeń zaufania nie wzbudza, to pewna tylko, że kula ziemska wyżywić jest w stanie wiele liczniejszą ludność, niż dzisiejsza.

Zofia Daszyńska.



DZISIEJSZE PRĄDY
PIŚMIENNICTWA FRANCUSKIEGO.



Gdy społeczność narodowa ma za podstawę swą i ramy potężny organizm państwowy, gdy jednoczy się w żywéj wierze religijnéj i gdy posiada świadomość wspólnego publicznego, oraz etyczno-estetycznego ideału, wtedy i piśmiennictwo harmonizuje z tą powszechną syntezą i ono wtedy układa się także do jednolitego poziomu. Niejedną już taką epokę dodatnią, żadnemi sporami wewnętrznemi nie sparaliżowaną, znają dzieje ucywilizowanego świata. Ostatnim jéj typem, doskonale wykończonym aż do najdrobniejszych szczegółów, było we Francyi piśmiennictwo XVII stulecia. Nie dziwota, że narzuciło się było światu jako modła, że wpływ jego stał się zarówno powszechny jak trwały, i że do dziś dnia jeszcze blask nadzwyczajny tego światła hypnotyzuje niejeden umysł poważny.

W naszéj epoce, pokawałkowanéj, burzliwéj, szukającéj gorączkowo nowych słońc o żadnéj takiéj jednolitości mowy być nie może. Nie podobna nam wznieść się do stylu, do syntezy; co moment włókno rwie się na przędziwie. Orszak piśmienniczy, co szedł wówczas zwartym szeregiem, ramię do ramienia, co mógł się ostać rozkładającemu działaniu czasu i objąć cały wiek w swe kleszcze, rozpada się obecnie na grupy, koterye, działy i działki. Każde dziesięciolecie, ba, każdy rok nieledwie przynosi z sobą swoje hasła, kierunki, ma swych wielkich mężów, swych twórczych geniuszy. Wśród tych różnorodnych, krzyżujących się ścieżek łatwo się zgubić. Zaledwie owa wrzawa, co ota-

cza narodziny tych wielkości, zdołała obudzić ciekawość i zachęcić do bliższego poznajomienia się z niemi, a jużci wręcz przeciwne rozlegają się głosy i wczoraj pośpiesznie na piedestał wzniesieni są zeń dziś sromotnie zepchnięci, wyszydzeni i żywcem do grobu złożeni. Nie można nawet powiedzieć, żeby to była walka szkół, bo do stworzenia szkoły potrzeba żywiołów, których tym improwizatorom brakuje.

Wobec takiego stanu rzeczy zabawném jest spotykać się z doraźnemi sądami powierzchownie, albo częściowo z ruchem piśmiennictwa francuskiego obeznanych sprawozdawców i krytyków. Znając świętego jednéj tylko kapliczki, biorąc jaką wątłą latorośl za konary rozłożystego dębu, zaprzęgają się do rydwanu owych rzekomych hegemonów i zapowiadają nam co miesiąc narodziny nieznanych wczoraj tytanów, obwieszczają rewolucyę w duchowym świecie, która wstrząsnąć ma aż do najgłębszych jego posad. Dowiedzieliśmy się w ten sposób raz, że Francya sceptyczna, Francya encyklopedystów i pozytywizmu, naraz uderzyła się ze skruchą w piersi i uszeregowała cała pod sztandarem neo-chrystyanizmu, idealnego mistycyzmu; potém, albo jednocześnie (bo te awatary tak szybko po sobie następują, że się chronologiczne ich następstwo zaciéra) symbolizm i dekadentyzm miał był do gruntu wyrugować dotychczasową poezyę, a nie brakowało także takich, którzy utrzymywali, że najoryginalniejsze talenty pisarskie, najbardziéj wpływowe są i dzisiaj jeszcze, jak przed kilku dziesiątkami lat, bezwyznaniowemi, obiektywnemi, o sporéj dozie sceptycznéj soli attyckiéj i że do nich, a nie do żadnych awanturniczych nowatorów, zwierzchnictwo piśmiennicze należy. Trudno się wśród tego rozgwaru, wśród tego chaosu rozeznać. Widoczna, że niektórzy z tych sprawozdawców biorą drobne strumyki, w ruchomym piasku się niedaleko gubiące, za wielkie rzeki. Nie zauważali oni także, że Francya, a raczéj Paryż, jest stolicą mody, a moda nietylko do sukien i kapeluszy, ale i do płodów literatury się rozciąga. Lecz jest istotą mody być przelotną i potępiać bezlitośnie wczorajszą. Biada temu, kto jéj kapryśne wyroki bierze na seryo i kto rozumowych podstaw jéj szuka.

Jest niezaprzeczonym dowodem żywotności piśmiennictwa francuskiego to coraz nowe wychodzenie na plan tego lub owego kierunku. Różnorodne prądy istnieją i istnieją współcześnie, to wątpliwości nie ulega i jak powiedzianém było dopiéro co, jest nieuniknioną koniecznością naszéj epoki. Błąd leży nie w stwierdzeniu ich istnienia, ale w nadawaniu tym prądom jakiegoś wyjątkowego znaczenia, przecenianiu ich doniosłości. Zdaje nam się zadaniem interesującém przyjrzéć się im obiektywnie niektórym z tych gałęzi, co wystrzeliły w ostatnich

czasach z pnia literatury francuskiéj i pobieżnie naszkicować sylwetki główniejszych ich przedstawicieli. Pogadanka ta rości zaledwie pretensyę być luźną kartką z rozdziału symptomatologii francuskiego rozwoju umysłowego.

I.

A naprzód wypada załatwić się ze stronnictwem, a raczéj z koteryą, kroczącą pod chorągwią odrodzenia religijnego. Gdybyśmy w szczerość owego neo-chrystyanizmu wierzyć mieli, mówilibyśmy o tym prądzie z najgłębszym tylko szacunkiem. Przyznajemy jednak otwarcie, że widzimy w nim (z wyjątkiem kilku wysoce sympatycznych jednostek), więcéj szarlataneryi i snobizmu aniżeli niepowściągnionego poczucia, iż społeczność odrodzi się przez wiarę religijną. Po wyjściu przed dwoma laty książki księdza Feliksa Klein'a *Mouvement néo-chrétien dans la littérature contemporaine*, wśród zgiełku, jaki wywołała, jeden z dostojników kościoła, zapytany o sąd o niéj, powiedział nadzwyczaj trafnie, iż mu chrystyanizm wystarcza i że się o żaden nowy chrystyanizm nie troszczy. Najpobłażliwiéj wyrażając się o tym ruchu i jego przedstawicielach, umieścić ich trzeba pomiędzy temi umysłami, które z otaczającéj je sfery i środowiska są niezadowolone, czują ich niedostatki, skarżą się i wzdychają, ale nie mają męskiéj energii do przesiedlenia się gdzieindziéj, do zerwania ze swą przeszłością stanowczo i raz na zawsze. Taka bierność i połowiczność może dostarczać pola do delikatnéj analizy psychicznéj, gdy się ich reprezentantów pod bliższy rozbiór bierze, ale nie można oczekiwać od niéj żadnego potężnego przełomu twórczego.

Przed dwudziestu laty, po wojnie niemieckiéj i jéj upokarzającym dla miłości własnéj francuskiéj wyniku, najrozmaitsze waryanty na temat moralnego odrodzenia stały się tam oklepanką. Cesarstwu przypisywała społeczność — i w dobréj wierze nawet — swój upadek i rozkład wewnętrzny i czuła konieczność gruntownego przeinaczenia się. Ponieważ jednak owo nawoływanie do nowego bytu, do nowego ideału, w praktyce ciągle godzić się musiało z zachowaniem wszystkich dawniejszych korzyści społecznych, towarzyskich i indywidualnych, zrozumiéć łatwo, że do żadnego istotnego przewrotu reformatorskiego nie przyszło. Jedynym niezaprzeczonym rezultatem było przeświadczenie, że duchowa atmosfera Francyi jest stęchła, strupieszała i że zmienić ją trzeba; jak to uczynić? tego nie widziano jasno, ale szukano na wsze strony.

W téj chwili naprężonéj i chaotycznéj wicehrabia Eug. Melchior de Vogüé ogłosił swą słynną pracę *Le Roman Russe.* Przedmowa do téj książki stała się odrazu hasłem nietylko literackiém, ale i moralném. Wykolejone społeczeństwo nabrało przeświadczenia, że wié, w którą stronę zwrócić mu się należy po lekarstwo. Trójca wielkich powieściopisarzy ruskich — Turgeniew, Tołstoj i Dostojewski — stała się dla społeczeństwa francuskiego wzorem i dodatnim typem. Entuzyastyczny komentator tych powieściopisarzy, przedstawił przeciwieństwo istniejące między materyalizmem, w którym grzęzło piśmiennictwo francuskie, a idealistycznym nastrojem młodéj literatury słowiańskiéj, między sarkazmem i ironią toczącemi łono pierwszego a rezygnacyą i niemą boleścią drugiego. Niepodobna było silniéj, wyraziściéj wskazać tego wewnętrznego drgania, co od jednéj duszy przechodzi do drugiéj, co łączy cierpiących jednêm uczuciem pobłażania, litości, miłosierdzia. Nie znęcać się nad niedołężnymi, nie pogardzać upadłymi, nie karać tylko występnych przystoi nam w dniu obecnym, ale wesprzéć ich, ale nakarmić ich chlebem miłości. Była istotna patetyczność w takiém nawoływaniu i sama niezwyczajność, sama nowość téj tezy rozgłos jéj spotęgowała. Spirytualiści i idealiści francuscy powitali w wicehrabim de Vogüé swego przywódcę. Przyklaskiwali mu z takim zapałem, że mu poddawano nawet argumenta, któremi się nie posługiwał, i wyciągano logiczne wnioski z lekko tylko zarysowanych przesłanek. We wspaniałych swych a dźwięcznych okresach, w szerokich poglądach syntetycznych p. de Vogüé przekonywał swych czytelników, że odwieczne zasady sprawiedliwości, miłosierdzia i miłości przeciwdziałają żelaznemu prawu życiowego współzawodnictwa, i uczynią los człowieczy znośnym; ewangieliczna miłość jest takim samym pewnikiem naukowym, jak te, które się stały podstawami świata przyrody; ma ona za sobą dziewiętnaście wieków rozwoju ludzkości jako świadectwo.

Nie można powiedzieć, ażeby p. de Vogüé wskazał kościół jako organizacyę, która jedynie społeczeństwo-by odrodziła przez stosowanie zasady ewangelicznéj miłości i nie można powiedzieć, ażeby wiarę w dogmaty był przedstawił za nieodłączny czynnik takowéj. Ale poszedł w każdym razie na wpół drogi, uczynił krok naprzód, którego oddawna żadna z wybitnych duchowych wielkości umysłowych francuskich nie uczyniła. Zdawszy sobie sprawę z ogromnego wpływu, jaki potężny organizm kościoła wywiera na społeczność, Vogüé pragnął, ażeby się on zdemokratyzował, zeszedł z wyżyn abstrakcyjno-teologicznych do czynnego apostolstwa społecznego. Gdy weźmiemy na uwagę, że jednocześnie Albert hr. Mun rozwijał niestrudzoną dzia-

łalność w dziedzinie praktycznéj, agitując za socyalizmem katolickim, gdy przypomnimy sobie przedewszystkiém, że Kościół, zrazu wrogo dla instytucyi republikańskich usposobiony, stopniowo się do nich zbliżał i nareszcie, ulegając ojcowskiemu napomnieniu, co się z wysokości Piotrowéj stolicy rozległo, z cywilném społeczeństwém się pojednał, to nie będziemy się dziwić, że w intelektualnych warstwach społeczeństwa francuskiego cały ten ruch odczuty być musiał.

Inicyatywie p. de Vogüé przypisać należy to przynajmniéj, że nieujęte do téj chwili aspiracye ku wewnętrznemu odrodzeniu społeczności znalazły moralną dźwignię i działającą sprężynę. Miłość ewangeliczna, zbliżenie się jednych warstw narodowych do drugich we wspólnie ściganych celach, oto droga, jaka wytkniętą przezeń została Francyi. Nie myślimy jéj krytykować, a tém mniéj jeszcze lekceważyć. Ale byłoby przesadą utrzymywać, że doktryna jego pojednała społeczeństwo z kościołem. Ci, którzy witają radośnie, albo skarżą się boleśnie na tę nową sytuacyę i przewidują olbrzymie jéj następstwa, posiadać muszą łuskę na oczach. Nie potrzeba zapewne zwracać uwagi na tę elementarną prawdę, iż religia i kościół, będący jéj żywym organizmem, nie ograniczają się do mglistych ogólników, ale że posiadają stałą, pewną, do najdrobniejszych szczegółów wykończoną doktrynę, i że nie można przyjąć pewnych jéj stron, a nie uwzględnić drugich. Kościół opiéra się na dogmatach i ten, kto ich nie uznaje, kto się o nie nie troszczy, jest w jego oczach kacerzem, heretykiem. Jestto sytuacya logiczna, konieczna i nic jéj nie zmoże. Otóż ten niby to religijny prąd, wszczęty przez p. de Vogüé, nie stanął w obronie dogmatów kościoła i żadnéj z łączącéj się z niemi zagadnień nie poruszył, a przeciwnie zręcznie się wywijał, ilekroć był wprost i kategorycznie zapytany o swoje *credo*. Łatwiéj mu było stanąć na téj saméj podstawie etycznéj co chrystyanizm, boć ani na doskonalszą, ani na silniejszemi powagami wspartą moralność świat się jeszcze nie zdobył. Jak trafnie powiedziano, jestto ucywilnienie kościoła, ale zarówno on, jak jego przeciwnicy taką połowicznością na dłuższy czas się zadowolnić nie będą chcieli i nie będą mogli.

Dopóki p. de Vogüé pokazuje nam miłość, jako zasadę prowodzącą ludzkość z jednego szczebla rozwojowego na drugi, pozytywiści i agnostycy przeczyć mu nie będą, ale gdy wskazuje konieczność wiary, natychmiast żabi skrzek powstaje i z wszech stron zarzucają go pytaniami: w co wierzyć trzeba? Słuszność nakazuje zresztą przyznać, że p. de Vogüé nigdy do takiego postulatu nie doszedł, lecz tylko ku niemu drogę kierował. Ale uczyniło to wielu z jego uczniów i adeptów. Pierwsze miejsce pomiędzy nimi trzyma p. Paweł Desjardins.

Z ferworem, młodości właściwym, chciał on urzeczywistnić program swego mistrza i zdawało mu się, że w tych powietrznych, barwami tęczy połyskujących bańkach jest coś więcéj po nad retorykę *à la* Chateaubriand. Napisał tedy *Devoir présent*, gdzie nie chciał już ograniczać się na saméj zasadzie działania, ale zamierzał postawić przed nowem pokoleniem praktyczne zadanie życiowe. Miało się przeto prawo oczekiwać programatu dodatniego. Zawód jednak zgotował całkowity. Doradza akcyę wspólną, jednoczenie się wyborowych umysłów i wytworzenie jakiegoś Towarzystwa pomocy moralnéj, ale oprócz bardzo szlachetnych aspiracyi nie ma tu nic uchwytnego. Napróżno bije się w piersi i wygłasza na wszystkie tony, że trzeba nam wierzyć, lecz nie potrafi i on także sformułować swego wyznania wiary.

O całéj téj grupie pisarzy i o całym zastępie młodzieży wyborowéj, inteligentnéj, która się około nich skupiła, można mówić tylko z sympatyą, bo widoczna, że istnieją dla nich wielkie zagadnienia moralne, o których rozwiązanie się kuszą. Ale łudzić się niepodobna co do przyszłości, jaką mają przed sobą. Ich skargi na duchową próżnię, ich żądza pochwycenia niepochwycalnego ideału, ich chęć zbudowania mostu nad przepaścią, co dzieli świat na dwoje, są istotnie wzruszające. *Chercher en gemissant*, oto, podług szczytnego słowa Pascal'a, zadanie dla każdéj podniosłéj duszy na naszym padole płaczu. Szukają też i wzdychają, ale nie dochodzą do żadnego widocznego rezultatu. Im bliżéj podchodzą do mistycyzmu, tém bardziéj tracą możność oddziaływania na świat okolny. Najlepiéj pokazuje się to przez stanowisko, jakie zajęli wobec wiedzy. Oskarżają ją o empiryzm! Takie brednie rozumiéć można, gdy je wygłasza Tołstoj w ostatniéj epoce swéj twórczości — w epoce rozkladu i upadku. Żądać od nauk ścisłych, ażeby nie były doświadczalnemi, skarżyć się na ich zdobycze, umożliwiające nam coraz gruntowniejsze zbadanie świata, jest chorobliwym wykwitem sentymentalizmu i czczéj frazeologii. Szczerze żałować należy, że grupa umysłowa, która postanowiła zagrodzić drogę sceptycyzmowi i realizmowi, skompromitowała się tą niespodziéwaną i całkiem niepotrzebną wyprawą.

Nie będziemy tedy dalekimi od prawdy, wyrażając zdanie, że cały ten prąd, szumnie nazwany odrodzeniem religijném, nie skrystalizuje się w żadnéj epokowéj twórczości. Społeczeństwo francuskie zostało na wskroś, z gruntu i raz na zawsze przejęte filozofią encyklopedystów zeszłgo stulecia, a w naszém pozytywizm dał jéj nowe podkłady. Niepodobna wielkiego narodu, znajdującego się na wysokim stopniu rozwoju materyalnego i umysłowego nawrócić do wiary, którą postradał, z któréj się wyzuł. Rzeki do źródła swego nie powracają, ale

płyną do morza. Ograniczy się ruch ten na szamotaniu się bezsilném z nastrojem duchowym nie do pokonania. Gdyby religijne *credo* tych, co ruchowi temu przodują, było sformułowane odrazu, jawnie, bez ogródek, stanowisko obu stronnictw byłoby się wyjaśniło. Wiemy, że to było dla nich niemożliwém, bo, ażeby się posłużyć słowami Coleridge'a, oni sami nie mają wiary, ale wydaje się im tylko, że ją posiadają *they do not believe, but they believe to believe!* Jak Juliusz Lemaitre, w swéj delikatnéj charakterystyce duchowéj fizyognomii p. de Vogüé powiedział, czyni on wrażenie wygnańca w swéj epoce, swym kraju, swéj klasie, swéj partyi, tak samo jak w swéj etyce, swym języku i swéj literaturze. Można powiedziéć o jego orszaku mniéj więcéj to samo. On sam w często przytaczanym obrazie poetycznym porównał dusze współczesne strwożone, zaniepokojone, zbłąkane do jaskółek wahających się w wyborze drogi i ulatujących nakoniec ku światłu i słońcu. Ludzkość w naszéj epoce rozwojowéj nie ma już prawa spodziéwać się, ażeby im taka droga przez jakiego wskrzesiciela dusz wskazana i narzucona została.

Jeżeli nie zdaje się nam, ażeby prąd ten, poczęty w głowie kilku literatów, był w stanie pchnąć piśmiennictwo francuskie, a tém bardziéj całość narodowego organizmu Francyi na nowe tory, to jeden owoc wyda on niezawodnie, i owoc pożądany. Zmusi Francuzów, nawet tych, co wiary religijnéj nie posiadają, do szacunku dla niéj. W tym kraju, co się szczycił ze swego cywilizacyjnego rozkwitu, z wprowadzenia w czyn najbardziéj postępowych idei, nie było tolerancyi prawdziwéj dla kościoła i religii. Nietylko, że półgłówki szydzili z nich, ale cała tak dumna z siebie inteligencya, nie posiadała ani źdźbła historycznego zmysłu dla roli, jaką kościół odegrał, dla zadania cywilizacyjnego, jakie miała i jakie ma religia. Pod tym względem obskurantyzm Francuzów był do pojęcia trudny. Obecny ruch pokazał, że i druga strona téj olbrzymiéj kwestyi zrozumiałą się im staje. Za hasłem, daném przez pisarzy wpływowych i poczytnych, młode, wzrastające pokolenia wytworzą w sobie pogląd szerszy. Choćby nawet ruch ten był efemeryczny, ziarna, które rzucił w glebę społeczną, nie zmarnieją do szczętu.

II.

Do pewnego stopnia przynajmniéj zrozumiéć można pomyłkę tych, którzy z cząstkowych i niewyraźnych programatów nowo-chrześciańskiego odrodzenia zawnioskowali, że Francya dzisiejsza stała się

religijną i że dla sceptycyzmu i dla pozytywizmu wybiła ostatnia godzina. Ale trudno pojąć tę samą omyłkę, popełnioną względem symbolizmu i dekadentyzmu. Jak się stać mogło, że w piśmiennictwie, które w ciągu bieżącego stulecia miało poetów, jak Lamartine'a i Wiktora Hugo, Alfreda de Vigny i Alfreda de Musset, a który obecnie ma jeszcze kilka głębokich myślą a kunsztownych formą poetów — dość będzie wymienić jednego Sully Prudhomme—jak się stać mogło, że za ich następców, za przedstawicieli nowéj poezyi uznano kilkunastu rymujących dziwaków, będzie raz na zawsze przedmiotem podziwu dla każdego bezstronnego spostrzegacza. W pracowniach paryskich malarzy, młodzież wesoła pozwala sobie nieraz stroić figle praktyczne, które bawią wtajemniczonych przez swe napomknięcia do znanych im szczegółów i przez ironiczne pociski na przeciwników. Być może, iż jedna z takich *fumisteries* została naprzód przez jednego symplicyusza wzięta na seryo, a ponieważ istnieje wielka liczba ludzi uganiających się za oryginalnością, udających smak subtelnie wyrafinowany i głębię umysłową wyjątkową, zatém pochwycili oni owych poetów, jako trop gotowy i otrąbiając te niepodejrzewane, niezrozumiałe talenty za wieszczów nad wieszczami, nadali im stanowisko, do jakiego oni sami pretendować nigdy nie byliby się ośmielili.

Byłoby, jak mniemamy, niepotrzebném wywodzić genealogiczne drzewo dekadentów. Naczytaliśmy się niemało o tém, że Beaudelaire był ich protoplastą i że każdy ze złożonych w nim pierwiastków pochwycony został przez Mauryccgo Rollinat, Catulla Mendès, Jana Richepin i Villiers de l'Isle Adam. Ta pierwsza generacya dekadentów nie zasługuje zresztą jeszcze całkowicie na to miano, choćby dlatego, że można bez nadzwyczajnego wysiłku zrozumiéć co mówią, że nie kaléczą języka lub składni. Nie można już całkowicie powiedziéć tego o Pawle Verlaine i Stefanie Mallarmé, bo całość ich utworów jest dwulicową: zdarza się im pisać po francusku w formie oryginalnéj i często nawet pięknéj, wtedy, choć nie za wielkich, ale za dających się czytać poetów można ich uznawać; ale gdy natomiast piszą dziwolągi w wierszach ukutych podług nowéj jakiéjś prozodyi, gdy najprostsze jąderko myśli owijają staranne w jakąś mgłę nieprzejrzaną, to mamy prawo widziéć w nich umysły bez równowagi albo czystych mistyfikatorów. Gdy się schodzi do ostatniéj grupy i gdy nam przedstawiają Adryana Renacle, Karola Vignier, Renégo Ghil, Albert-Aurier'a, Saint-Pol-Roux-le-Magnifique i cały tuzin innych ekscentrycznych wierszokletów, jako kwiat symbolizmu i dekadentyzmu, to podejrzéwamy już coraz silniéj, że ci, co ich geniusz amatorski wysławiają, poprostu drwią sobie ze zdrowego rozsądku. Żaden z tych niby to wielkich poetów nie napi-

sał ani jednéj prawdziwie pięknéj poezyi, żaden nie znalazł drogi do serca i do umysłu wykształconych warstw społeczeństwa, że już o innych nic wspomnim nawet. Jak Stefan Mallarmé utrzymuje, zadaniem i naturą poezyi jest stawiać przed słuchającą rzeszą zawsze sfinksową zagadkę. Pod tym względem wszyscy ci rzekomi poeci są ostatnim wyrazem poezyi, gdyż każdy z ich wierszy jest zagadką i to nierozwiązalną. Nawet ci z dekadentów, którzy, jak Henryk de Regnier i Jan Moreas przynieśli już nie rozproszone drobne poezyjki, ale organiczny ich wzór, nie są w stanie ani treścią ani formą usprawiedliwić tych wygórowanych oczekiwań jakie wzbudzili. Góra mysz porodziła.

Jak wiemy jeszcze z definicyi Teofila Gautier, piśmiennictwo w epokach dekadencyi ubiega się za wyszukaną kunsztownością formy, ale nie posiada siły twórczéj ani jędrnéj myśli. Oddzieleni od natury, od życia, pisarze tego rodzaju albo przez udany mistycyzm spekulują na głupotę ludzką, jak to czyni Sar Peladan, albo popadają w prawdziwy, jak to, chcąc być pobłażliwymi, przypuszczamy, że ma miejsce z Maurycym Maeterlinckiem. Oczywista, że ci, którzy jako wirtuozi słowa, upajają się samym ich dźwiękiem, jak haszyszem, nie mogą nigdy dać ani źdźbła karmi dla umysłu, ba, nawet dla wyobraźni. Oni sami uważają się za wyrodków, skądże mieliby posiadać prawo być duchowymi prawodawcami świata?

Zrozumieć łatwo, że niesmak, jaki wzbudzić musiał naturalizm, i że proza pozytywizmu wywołały przeciwko sobie reakcyę. Ale nie ma najmniejszego powodu, ażeby ta reakcya oblekała się w formy, urągające zdrowemu rozsądkowi. To niezrozumiałe kwilenie tak nazwanych młodych poetów, liczących z górą cztery dziesiątki lat, te zapowiedzi apostolskiéj reformy, wygłaszane przez *fruits secs* oświaty, opijających się piwem w cuchnących piwiarniach, musi budzić nieprzezwyciężony wstręt u każdego, co wié, że poezya jest najpiękniejszym rozbłyskiem cywilizacyi i że każde społeczeństwo ma do niego prawo. Gdyby innéj we Francyi nie było, możnaby jéj źródło uważać za ostatecznie wyschłe.

Byłoby ubliżeniem dla tego wielkiego i bądźcobądź jeszcze wielkiego narodu twierdzić, że żaden głos wpływowy nie zaprotestował; przeciwnie—traktowano tych literackich warcholów z pogardliwém lekceważeniem, wydrwiwano ich, ale ponieważ nie zadawano sobie pracy udowodnić im przez $a+b$, że ich dzieło, to poprostu błazeństwo, zatém pozwolono zebrać się, ugrupować i zorganizować tym sowizrzałom. Każda żaba, powiedziano obrazowo, podoba sobie w swoim własnym skrzeku; podziwiać atoli trzeba talent przekonywania innych o jego

piękności. Powiedzieliśmy już, że głupota jednych, udawana oryginalność drugich, nieustanna, bezczelna reklama dziennikarska, na prawo i lewo, przyczyniły się do namaszczenia ich na poetów. Że oni sami wychwalali siebie i jedni drugim palili kadzidła, było naturalném; towarzystwo wzajemnego uwielbienia jest instytucyą, dającą tak fantastyczne dywidendy, że wpisywali się do nich na wyprzódki ci i owi. Ale trzeba istotnie tego zdumiéwającego braku gruntownego wykształcenia naukowego, jaki cechuje paryską boheme literacką, tego chorobliwego przeceniania swojéj własnéj maluczkiéj indywidualności, tego rozgardyasza słów, po za którym chowa się nicość myśli, ażeby sobie możliwość owego psychicznego i piśmienniczego fenomenu wytłómaczyć.

Powiedzieliśmy, że poważniejsze umysły francuskie nie uważały tych awanturników piśmienniczych za godnych krytyki. Gdy dogmatyzujący Ferdynand Brunetière ciężką swą artyleryą w nich strzelał, zdawało się to niepotrzebném okrucieństwem. A jednakowoż jest widoczne dzisiaj, że miał on słuszność. Wiele, niezmiernie wiele zawinili owi krytycy ze szkoły impresyonistów, za których przedstawiciela uważać trzeba p. Anatola Thibaut, powszechnie znanego pod przybraném nazwiskiem Anatola France. Ten wyznawca czystéj doktryny pyronizmu, rozkochany w pięknie samém w sobie, wyznaje zawsze zasadę, że zadaniem sztuki jest urzeczywistniać to piękno. Wystarczyło mu znaleść w téj lub owéj oderwanéj strofie dekadentów jaki wiersz piękny, jaki szczęśliwie dobrany epitet, jaki dźwięk harmonijny sylab, ażeby, idąc za swym podmiotowym sądem, postawić ich twórców na piedestale i laurowym wieńcem ich skronie ozdobić. Jego przesadzone pochwały przyczyniły się niezaprzeczenie do rozdmuchania w piersi tych pisarzy miłości własnéj w potężny płomień. Słusznie podciągnięto tę umysłową chorobę do kategoryi zwanéj w psychiatryi jako *exaspération du moi*.

Najkrótsze obłędy są jak wiadomo najlepsze. Francya, będąc krajem zdrowego rozsądku, nie będzie mogła długo w dekadentów wierzyć, ani brać ich na seryo. Nie jeden, ale mnóstwo symptomów wskazuje, że fala ich jest już w odpływie. Poezya francuska znowu godność swą i wspaniałość odzyska i nikt nie będzie miał prawa utożsamiać rozłożystego dębu ze zgniłym grzybem, co na jego korzeniu zrodził się i rozpadł w nicość.

Być może, iż bewzględne to zaprzeczenie jakoby symbolizm i dekadentyzm reprezentowały przyszłość poezyi francuskiéj, sprowadzi na piszącego zarzut, iż jest filistrem i prawdziwego piękna nie pojmuje. Mniejsza o to. Jesteśmy głęboko przeświadczeni, że prąd ten umysłowy trwać długo nie może. Ażeby jednak nie zgrzeszyć stronnością

i nie popełnić niesprawiedliwości, ochotnie zatrzymujemy się nad jedyną, prawdziwie i wysoce utalentowaną osobistością, intelektualną i poetycką, jaką w téj grupie znajdujemy. Mówimy o Robercie hrabi de Montesquiou-Fezensac.

Kto się w wyborowych kołach paryskiego towarzystwa obracał, temu hr. de Montesquiou niewątpliwie znany być musi. Ten potomek słynnego rodu historycznego, który tyle różnorodnych wydał wielkości, sprowadził wszystkie czynniki dodatnie swych przodków i do najwyższéj podniósł potęgi w inteligencyi i wyrafinowanym smaku. Obracając się wśród Francuzów, koniecznie spotkać się trzeba z owym niedorzecznym epitetem *fin de siècle*, przylepianym do przedmiotów całkiem odeń niezależnych; staje się on jedynie zrozumiałym, gdy się go stosuje do osobistości w rodzaju hr. de Montesquiou. Nie posiadać, nie dzielić żadnéj namiętności, ale je zrozumiéć wszystkie, oto ich intelektualne godło. Wysoka umysłowa jego kultura nie ulega wątpliwości. Nastrój artystyczny i smak chorobliwie wyrafinowany odznaczają go do wysokiego stopnia. Ci, co podejrzewali, że p. Huysmans w rozgłośnym swym utworze *A rebours* w bohatérze swoim des Esseintes odmalował hr. de Montesquiou, uczynili potworną pomyłkę. Jedną wspólną wszelako mają oni cechę: pogardę dla opinii tłumów i systematyczne wyosobnianie się. U hr. de Montesquiou nie jest to arystokratyczna poniewierka motłochu, ale poczucie swéj wyższości, śmiałe przeciwstawienie swéj indywidualności zdawkowéj pospolitości opinii i smaku. Nie można wątpić, że duchowo pokumany on jest z prerafaelizmem angielskim — dowodzi tego nietylko jego cześć dla Dantego Gabryela Rosetti, ale i sprowadzenie do Paryża malarza-impresyonisty Whistlera, ostatniego genialnego artysty z tą szkołą spowinowaconego i narzucenie go światu paryskiemu; nie ma wątpliwości także, że Flaubert i Baudelaire są wielkimi mistrzami jego ducha; nie ma wątpliwości nakoniec, że wagneryzm muzykalny doprowadził go aż do apoteozy dla Ludwika II Bawarskiego, ukoronowanego waryata! Są to rozmaite ekscentryczne strony téj natury; wzajemnie jednak dopełniają siebie. Kto przeniknie do wnętrza domu zostanie oczarowany dziełami sztuki, wśród których żyje, oddycha i tworzy ten wielki pan-mizantrop, smętny i melancholijny jak ów kwiat hortensyi, który sobie obrał za symbol. Nie ma sztuki, nie ma wyzwolonego kunsztu, w którymby sił swych nie próbował. Nie ma dla niego innych zagadnień prócz intelektualnych i artystycznych.

Oryginalna, wysoce skomplikowana osobistość jego zaciekawić musiała każdego, co się do niego mógł zbliżyć, ale do postronnego świata, do publiczności należy dopiéro od dwóch lat ostatnich, gdy

puścił w świat dwa grube tomy poezyi *Les chauves-souris* i *Chef des odeurs suaves*. Pierwszy, odbity tylko w drobnéj liczbie egzemplarzy we wspaniałéj edycyi rozdanéj przyjaciołom, wywołał taką wrzawę w literackiém Landernau, że autor zmuszony był wydać go powtórnie, dla intelektualnie wykształconéj masy. Akademicki poeta, Leconte de l'Isle, w liście do autora, winszującym mu tak kunsztownego i oryginalnego utworu, słusznie powiada, że będzie on zawsze i wyłącznie tylko zrozumiałym dla garstki estetycznie i intelektualnie uprzywilejowanéj.

Pod względem języka i wiersza jest on w każdym razie zrozumiały i więcéj nawet, bo istotnie mistrzostwa pod względem formy odmówić mu nie podobna. Jest nietylko wyszukany, wyrafinowany, ale często sprawiający prawdziwe niespodzianki, oryginalny. Chorobliwa być może, a niezawodnie jednostronna wyobraźnia podsuwa mu co chwila obrazy i słowa pełne upajającego, kołyszącego czaru. Nie bierzemy jednak całego symbolizmu „Nietoperzy" w znaczeniu, jakie daje im autor-poeta, i zarówno Zaimph, ten niewidzialny płaszcz bogini Tamity, który jest wstępem do jego poematu, jak i cały jego systematyczny dział i poddział liryków na Pół-cienie, Brzaski, Cienie nocy, nie ma dla czytelnika najmniejszego znaczenia. Jest muzykalność, obrazowość w jego wierszach, poetyczna melancholia wieje z jego strof, myśli nieraz poważne, dalekonośne, błyskają jak brylanty: wszystko to prawda. Gdy się go bierze jako poetę, nie pytając do jakiéj szkoły, do jakiéj koteryi należy, trzeba przyznać, że jest pociągający jak nie wielu innych. Psuje go nam tylko ten alegoryzm systematyczny, ta przesada w poszukiwaniu symbolizmu, to rzucanie w oczy dziwaczną, a nieraz dziką erudycyą. Niepodobna wstrzymać się od uśmiechu, gdy poeta chce w praktyce wykazać harmonię naśladowczą pomiędzy przedmiotem a służącymi do jego wyrażenia słowami i zgłoskami; czytając wiersze, gdzie jedna tylko samogłoska, albo jedna i ta sama sylaba się powtarza, jako *leitmotiv*, trudno brać te łamane sztuki za co innego, jak za proste bawidełko, za wywracanie koziołków na linie. To samo da się powiedziéć o poszukiwaniu psychicznego symbolizowania nastrojów ducha w barwach, albo w zapachach, jak to czyni, idąc za Baudelair'em. Wszystkie te znamiona i warunki, przez które wykazuje się jego związek i powinowactwo umysłowe z dekadentyzmem, ta właśnie słaba strona jego muzy i nie zaszczyt, ale ujmę mu czyni jako poecie.

Wartość jego — a jest ona niezaprzeczona — leży właśnie po za sferą tą ścieśnioną i duszącą. Gdy się łączy z wielkim prądem poezyi narodowéj, gdy jest po prostu filozoficznym, rozumującym umy-

słem, posługującym się formą poetycką, prowadzącym go w górne szlaki przez wyobraźnię rozbujałą, wtedy zastanawia nas, przyciąga, usidla. Poemat „Nietoperze” bada ze wszech stron owe dusze, których w naszéj epoce tak wiele, szukające światła, uderzające się na każdym kroku o przeszkody, nie będące w stanie pokonać przeciwieństw etycznych. Tony, jakie wydobywa ze swéj lutni, są często przejmujące, a barwy i obrazy, w które myśli swe odziewa, dają mu prawo do godności i dostojeństwa poety.

Można było sądzić, że hr. de Montesquiou wyrobi w sobie dość silną indywidualność, ażeby zerwać ogniwa łączące go z dekadentyzmem i że zechce być piewcą społeczeństwa, nie zaś drobnéj jakiéj kategoryjki. Nadzieja ta jak dotąd zawiodła. Świéżo ogłosił drugi zbiór swoich poezyi pod tytułem *Le chef des odeurs suaves, extrait floral (sic).* Trzeba przypomniéć sobie *Salambô* Gustawa Flauberta, i w niéj postać kapłana, przyprawiającego wśród tajemniczych obrzędów zapachy i kadzidła, ażeby nazwę tego zbioru zrozumiéć. Gdy się zawartym w nim poezyom bliżéj przyjrzy, trzeba będzie się przekonać, że ów *extrait floral*, to nic innego tylko poezye do różnych kwiatów, w formie często powabnéj, często znowu przesadnie mistycznéj i o ciągnionym za włosy symbolizmie. Nie dodał ten zbiór nic do jego sławy, jako mistrza formy. Zasmucić musiał tych, którzy oczekiwali już nie sztucznie w cieplarni wyhodowanego, ale naturalnego, żyjącego wypłodu.

Wśród całéj poezyi tego kierunku udało się nam znaleść tylko tę jedną jedyną osobistość wyższą i utalentowaną. Ponieważ jednak wtedy tylko jest poeta ów dodatnim, gdy znamię dekadentyzmu z siebie ściera, logicznym chyba będzie wniosek, iż ten rodzaj poezyi, sam przez się nie może odpowiedziéć pokładanym w nim nadziejom, ani usprawiedliwić szumnych panegiryków, jakie mu czynią ci najczęściéj, którzy go nie rozumieją.

Jest nakonicc trzeci prąd, jak powiedziano wyżéj, szkoła sceptyczno-ironiczna, odgrywająca w chwili dzisiejszéj rolę wybitną. Posiada ona w swych szeregach kilku krytyków i essayistów, kilku romansopisarzy wysoce utalentowanych. Chociaż i jéj także nie ma prawa identyfikować z piśmiennictwem wogóle, ściślejszy wszelako rozbiór pisarzy téj grupy zdaje się właściwym. Zamierzamy tę drugą część pracy naszéj niebawem przedłożyć czytelnikom.

N. T.



AUGUST CIESZKOWSKI.

W dniu 12 marca r. b. zmarł w Poznaniu człowiek, którego w zaraniu młodości po pierwszych ogłoszonych drukiem pracach entuzyastyczni przyjaciele, zachwyceni jego talentem „daleko sięgającym i gwałtownie twórczym" nietylko „mistrzem" ogłosili, ale mu przepowiadali „świetną i rzadko komu w udziale przypadającą przyszłość teoretycznego uosobienia w sobie wielkiéj misyi filozoficznéj," jaką szczepowi słowiańskiemu wówczas rokowano [1]).

Przepowiednia ta, jak wiele innych podobnych, nie sprawdziła się w tym zakresie i w tém rozumieniu, w jakiém była wygłoszona. August Cieszkowski nie stworzył syntezy filozoficznéj, którąby zapanowała nad umysłami i stała się punktem wyjścia dla dalszego rozwoju filozofii; co więcéj, nie wypowiedział nawet tego wszystkiego, co sam u siebie za najwyższe uogólnienia, za najprawdziwsze zasady poczytywał, gdyż porozpoczynanych dzieł filozoficznych nie wykończył i drukiem nie ogłosił; — mimo to w dziejach naszéj umysłowości zajął wybitne stanowisko i w dwu głównie kierunkach wpływ istotny na ruch umiejętności już to w kraju naszym, już to nawet w Europie wywarł: w kierunku filozoficznym i społecznym. Zgodnie bowiem z naczelném hasłem swojem, że filozofia powinna z teoryi przejść do praktyki, że umysłowość w czyn wcielić się winna, on sam przejścia tego dokonał i obok prac poświęconych teoryi filozoficznéj czy ekono-

---

[1]) Aleksander Kurc w „Bibliotece Warszawskiéj" z powodu dziełka Cieszkowskiego: „Gott und Palingenesie" (1842, III, 636—641).

micznéj, podejmował też prace w dziedzinie życia społecznego, dążąc wytrwale do polepszenia istniejących stosunków.

Dożył sędziwego wieku; widział ogromne zmiany i w świecie politycznym i w świecie myśli, widział przedewszystkiém zmieniony kierunek i metodę badań naukowych i filozoficznych; o ile wiadomo nie stał się on przeciwnikiem nowego prądu umysłowego, gdyż znajdował w duchu swoim takie argumenty, które mu dozwalały prądy te za chwile konieczne przejścia uważać i w wyższą harmonią przyszłości zlewać. Jego zainteresowanie się naukami doświadczalnemi i przemysłem właśnie w dobie młodości, kiedy się najmocniéj filozofią zajmował, było dla niego niewątpliwie ważną pomocą w wyrobieniu sobie poglądu na kierunek realny, który po idealistycznym nastąpił.

Inaczéj było z t. zw. ogółem ukształconym, chwytającym tylko to, co ma cechę nowości. Gdy się na wyżynach umysłowych dokonywał zwrot ku realizmowi, ogół ten łatwo zapominał nazwiska niegdyś głośne, a do czytania dzieł, temi nazwiskami opatrzonych nie zabierał się wcale, poczytując je za puste mrzonki. Stąd poszło, że najmłodsze pokolenie jeżeli zna filozoficzne pisma Cieszkowskiego, to z bibliografii tylko. Warto mu je przypomnieć z okoliczności uczczenia pamięci ostatniego wielkiego przedstawiciela doby idealistycznéj, która się tak ściśle z romantyzmem w poezyi zespoliła.

I.

August Cieszkowski, potomek zamożnéj szlachty podlaskiéj, urodził się 14 września 1814 roku. Mając lat pięć dostał za wychowawczynię baronową La Haye, która właśnie co opuściła dom hr. Krasińskich, gdy 7-letni Zygmunt przechodził pod kierunek dłoni męskiéj. Zdaje się, że wówczas dzieci te widziały się po raz pierwszy, ale się z sobą nie zżyły i dopiéro w wiele lat późniéj miały zawrzéć przyjaźń serdeczną. Nie mamy zresztą dotychczas pewnych szczegółów z pierwszéj młodości Augusta; nie wiemy nawet, czy się kształcił w jakiéj szkole publicznéj w Królestwie, czy też cały kurs nauk średnich przeszedł w domu.

Dla studyów uniwersyteckich wybrał Berlin. Co było tego powodem? Najpewniéj skłonność do filozofowania. Od roku conajmniéj 1825-go ściągał Berlin mnóstwo słuchaczy z pomiędzy Polaków, wyłącznie dlatego, że wykładał tam najrozgłośniejszy wówczas w Niemczech filozof, Hegel. A choć ten umarł, sława uniwersytetu berlińskiego nierychło przebrzmiała. Katedrę Hegla zajął Karol Ludwik

Michelet, najgorliwszy z jego uczniów, celujący wymową i zdolnością pisarską. Jego to odczytów słuchał Cieszkowski i bardzo szybko przyswoiwszy sobie metodę dyalektyczną filozofii „absolutnéj”, metodę, którą uznał za jedynie i bezwzględnie prawdziwą, z całym zapałem, właściwym swemu rzutkiemu i pełnemu fantazyi umysłowi, zabrał się do rozpatrywania wszelkich nauk pod tym nowo zdobytym kątem widzenia. Nie wszystkie wyniki, do jakich doszedł Hegel i jego szkoła, w roztrząsaniu całości objawów wszechświata, uznane zostały za istotne przez młody, świeży, giętki i twórczy umysł adepta, który nie chciał być prostym niewolnikiem ducha obcego. Obudził się w nim zmysł krytyczny.

Pierwszym objawem tego poczucia się ducha do samodzielności była książka wydana w 24-tym roku życia p. t. *Prolegomena zur Historiosophie* (Berlin, 1838, str. 157), w któréj z całém uznaniem dla mistrza metody „absolutnéj”, wypowiedział śmiałe twierdzenie, że filozofia myśli już się na nim właściwie skończyła, a musi się rozpocząć nowe stadyum rozwoju: filozofia woli. „Tak jest — wołał on (str. 101) — w Heglu myślenie spełniło istotne swe zadanie, a lubo rozwój tegoż myślenia bynajmniéj się przez to nie zakończył, to przecież zstąpi ono ze swego apogeum i zrobi częściowo miejsce wzejściu innéj gwiazdy. Jak sztuka, osiągnąwszy kształt klasyczny, wyszła poza siebie i rozwiązała się w kształt romantyczny, ale równocześnie władztwo swoje wszechświatowe odstąpiła filozofii; tak samo filozofia stoi w téj chwili na takim punkcie klasycznym, w którym sama siebie musi przekroczyć, a przez to zarazem władztwo swoje wszechświatowe odstąpić czemuś innemu.” Czemuż mianowicie? Oto temu, co wypełnia przepaść między sztuką i filozofią, co jest ich syntezą — życiu społecznemu, które potrafi nanowo ożywić i zamarłą sztukę i strętwiałą w pewnéj mierze filozofię (str. 110). Świadome przetwarzanie ludzkości przez ucieleśnianie idei — oto zadanie przyszłych czasów.

Z nerwową niecierpliwością, nie kończąc rozpoczętego utworu, zabrał się Cieszkowski do urzeczywistnienia tego programu. Z kraju myśli, z Niemiec, przeniósł się do krajów działania, do Francyi i Anglii, i w r. 1839 ogłosił w Paryżu swoje najznakomitsze dzieło: *Du crédit et de la circulation* (str. 314), gdzie podał środek spotęgowania wytwórczości ludzkiéj przez wprowadzenie nowego sposobu uruchomienia i oprocentowania kapitału, co nań zwróciło uwagę cudzoziemców, Francuzów i Anglików.

Następnie udał się do krainy sztuki, do Włoch, i tam dopełnił swego artystycznego wykształcenia. Bawił tu przeszło pół roku (do początków maja 1840), odnowił znajomość z Zygmuntem Krasińskim

na którego wywarł wpływ znaczny swemi poglądami filozoficznemi i z którym mógł dowoli o rzeczach sztuki rozprawiać.

Z czasu pobytu w Rzymie mamy kilka listów [1]) tak młodego a tak już wsławionego filozofa i ekonomisty. Wypowiada on tu swoje wrażenia, najczęściéj wprost przeciwne tym, jakich zazwyczaj ukształceni turyści doznają. Rzym dzisiejszy nie podobał mu się, bo szukał starożytnego; najchętniéj więc do ruin podążał; najmilszém miejscem przechadzek, zwłaszcza wieczornych, było Kolizeum. „Wszczęła się we mnie walka — pisze on — gdzie naprzód polecieć? czy do stolicy starożytności t. j. do Forum i do Kapitolu, czy do stolicy chrześciaństwa t. j. do Watykanu i św. Piotra? Jakiś instynkt popchnął mnie w pierwszy kierunek, i w rzeczy saméj instynkt ten miał słuszność. Forum bowiem było istotną, najwyższą i ostatnią stolicą starożytnego świata; — świat zaś chrześciański albo żadnéj innéj stolicy mieć nie może jedno serce chrześcianina, albo, jeżeli koniecznie zmysłowa jaka miejscowość ma być jego stolicą nazwana, to tylko Kalwarya ma do tego prawo... Nie wiem, czy ktokolwiek doznał na widok dawnego Rzymu takiéj indywidualnéj żałości jak ja; bom nie żałował tego, com spostrzegł, ale właśnie tego, czegom nie znalazł. Miałem nadzieję rzucenia okiem w tamten świat, a ta nadzieja mi spełzła. Gdziem tylko spojrzał, spostrzegłem albo nowy a mdły utwór na miejscu dawnéj ofiary czasu, np. Kapitol, albo ironicznie sterczący zabytek, nieprawnie sobie przywłaszczający prawdziwéj starożytności potęgę. Cóż to są łuki Tytusa, Sewera, Konstantyna etc. etc.? Nie sąż to fizycznie i moralnie dzieła naszéj ery? Nie sąż to utwory upadającego już, przed potęgą chrześciaństwa, Rzymu? Nie sąż to pogrobowe dzieje pogańskiego świata?... Uciekłem z tych miejsc, gdzie zamiast pogańskiego życia tylko historyczne nagrobki spotkałem. Uciekłem wprost aż do Św. Piotra; a ten znowu nie pocieszył mnie. Tu przeciwnie, zamiast piętna chrześciańskich katakumb, jakieś niewczesne pogańskie życie olśniło mi oczy. Znowu nie tegom tu szukał. O ileż byłoby wyższe i dzielniejsze wrażenie głównéj bazyliki chrześciaństwa, gdyby ona w stylu kolońskiéj i westminsterskiéj albo medyolańskiéj, a z całą obecną doskonałością Św. Piotra, wystawioną była! Nie mniemam ja przez to, aby styl włoski był w absolutnéj sprzeczności z duchem chrystyanizmu, — bynajmniéj, dowodem tego jest wrażenie, jakie Św. Paweł londyński na mnie uczynił, ale mówię, że styl gotycki jest stokroć z tym duchem zgodniejszy i że Św. Paweł właśnie gołością swoją i we-

[1]) Drukowane są w „Bibliotece Warszawskiéj“ 1842 (t. I. 643—657), p. n. „Kilka wrażeń z Rzymu.“

wnętrzną głębokością okupuje pierwotny grzech swojéj formy. Piękność zaś Św. Piotra jest zbyt ziemska, zbyt wesoła, zbyt proporcyonalna, zbyt grecka, a więc zbyt pogańska."

Takie były pierwsze wrażenia historyozofa; zmodyfikowały się one następnie przy bliższém rozejrzeniu się w zabytkach sztuki; „bujność fantazyi wnętrza Św. Piotra" przemogła wkrótce wstręt jego i stała się „obfitem źródłem zupełnie chrześciańskich wrażeń"; a pokochanie się w ruinach natchnęło mu myśli nowe i Kolizeum stanęło przed nim „najtragiczniejszą ruiną, jaka gdziekolwiek istnieje," boć to arena, „na któréj fizyczne walki i krew gladyatorów były tylko zwiastunami moralnych walk i krwi męczenników." Lubo nie był obojętnym na plastyczność rzeźby, gdyż podziwiał gorąco Mojżesza, dzieło Michała-Anioła, lecz w muzeum watykańskiém było mu zawsze zimno, a najczęstszemi odwiedzinami darzył bibliotekę Watykanu; zabytki bizantyńskiego i pierwotnego włoskiego malarstwa, starożytności chrześciańskie, numizmaty, gemmy, sztychy, napisy, freski zajmowały go tu na równi z rękopismami i rzadkiemi dziełami. Widocznie górował w nim myśliciel nad artystą.

Karnawał rzymski nie pociągał go ku sobie, a wspaniałe ceremonie wielkotygodniowe nie zrobiły na nim najmniejszego wrażenia. Forum i Via Sacra, Kolizeum i Termy Antonina były zwykłymi świadkami kilkogodzinnych przechadzek i rozmów, najczęściéj zapewne z Zygmuntem Krasińskim, który zimę w 1839/40 również w Rzymie przepędzał. Czasami przy pięknéj pogodzie, która długo sprzyjała, wychodził na cały dzień, mając księgę którego z klasycznych dziejopisów Rzymu w kieszeni, i wybierał sobie za miejsce do czytania owe zwaliska, w których nie spodziewał się natrętów. Salustyusz, Liwiusz, Swetoniusz, Tacyt, a z nowszych Niebuhr, Michelet, Champagny (autor dzieła: *Les Césars*) prawie wyłącznie go zajmowały w lutym 1840 r. Zrana, kiedy jeszcze nikogo nie ma na Forum, coby mógł przeszkadzać, lubił siadać w tym towarzystwie historyków „na zwalonéj korniszy, na miejscu dawnych *comitiów*, u stóp trzech kolumn *Graecostasis*, naprzeciwko *rostrów*." Jest to — pisał — „moje ulubione stanowisko; i w rzeczy samój, wyłączywszy Ziemię Świętą, niemasz na całym globie ważniejszego kącika; w nim bowiem mityczna tradycya gniazdo Rzymu zakłada, w nim też historyczna tradycya rozkrzewienie jego potęgi objawia." W ostatnich dniach karnawału uciekał od wrzawy i zgiełku, od miałkości umysłów dzisiejszych w ustronne ciche miejsca, zapełnione tylko niememi, ale wymownemi duchami przeszłości. „Kiedy na Corsie — pisal — kołysała się zbita mozaika ludzi i masek, na *Via Sacra* nie było żywéj duszy. Ruiny zostawione były upragnionéj

samotności. Nie kalała ich przytomność machinalnego Anglika, ani chciwo-ciekawego turysty, bo każdy z nich brał niezgrabny udział w igrzyskach ludu lub gonił za wrażeniami cukierków i świeczek. Nigdy mi się téż ruiny wymowniejszemi nie wydawały. Kolizeum zwłaszcza zdawało się szydzić z Corso i sądzę, że miało prawo do tego; Awentyn był ponury; Palatyn i Forum — pogrążone w silnéj obojętności. Jakże wzniosła była wymowa ich milczenia! jakżem z niemi wszystkiemi sympatyzował!... i dlatego więcéj jeszcze niż zwykle poszukiwałem ich towarzystwa..."

Pełen wrażeń a jeszcze więcéj spostrzeżeń, powrócił Cieszkowski wreszcie po kilkoletniéj wędrówce do kraju, a tu go powitał głos uznania wprawdzie, ale i wymówki także, wyrażony ładnym wierszem Antoniego Czajkowskiego, który witając „pomazańca" Pańskiego, wyrzucał mu, robiąc aluzyę do jego pism w języku niemieckim i francuskim, iż „jakby obcy między swemi, błądzi po dziejach obcéj ziemi, w obcym rysztunku, w obcéj zbroi, a swoim nic..." Cieszkowski odpowiedział zaraz czynem. Organizowala się wtedy redakcya „Biblioteki Warszawskiéj." Dla staranniejszego wykonywania czynności, podzielila się na sekcye: filozoficzną, historyczną, prawną, nauk administracyjnych, literacką i przemysłową. Cieszkowski został członkiem redakcyi i w paru sekcyach pracował. Zaraz do drugiego zeszytu „Biblioteki" (r. 1841) dał początek obszernéj rozprawy p. t. „Rzecz o filozofii jońskiéj jako wstęp do historyi filozofii," w któréj z większym naciskiem aniżeli w „Prolegomenach do historyozofii" mówił o słabych stronach Hegla, lubo go wciąż uznawał we wszystkich kwestyach filozoficznych za „naukową potęgę, bez któréj odtąd traktować nie można" żadnéj. W szczególności zaś zwrócił uwagę na „niezupełnie właściwy" początek logiki Hegla, rozpoczynającéj się od kategoryi „jakości," uważając kategoryę „ilości" za wyższą, gdy tymczasem według Cieszkowskiego „ilość jest daleko niższą, uboższą i abstrakcyjniejszą od jakości kategoryą, a zatém w logicznym wywodzie ją poprzedzać powinna." Ta różnica w pojmowaniu kategoryi, rozwinięta dyalektycznie, mogła spowodować bardzo ważną zmianę w wykładzie całéj logiki, bo, jak Cieszkowski nadmienił, wraz z uznaniem kategoryi ilości za pierwszą, poszłoby uznanie „całéj matematyki nie tylko za czysto logiczną, ale nawet za fundamentalną w logice sferę, oraz rozpoczęcie całego systematu wiedzy nie od ontologicznych determinacyj, które już są zbyt treściowe na początek, ale od liczb i formalnych stosunków, któreby wszakżeż zawsze do logicznego żywiołu myśli należały." Nie rozwijał nasz filozof tezy téj szczegółowo, ale zastosował ją do wykładu dziejów filozofii. Uznawszy (wbrew Heglowi)

za początek filozofii naukę Pitagorasa jako opartą na kategoryi ilości, poczytał filozofię starszych Jończyków (Tales, Anaksymander, Anaksymenes) za początek początku, za „portyk gmachu filozoficznego". I tego jednak zadania nie wykonał w całości, bo Anaksymenesa nie obrobił, tak, że rozprawa jego pozostała niedokończoną.

I znów, jak poprzednio, zwrócił się do kwestyi społecznych. Od r. 1842 do 1844 bowiem oprócz krótkiego przypisku do podanéj przez „Bibliotekę Warszawską" w przekładzie mowy Schellinga, mianéj przy otwarciu kursu filozofii w Berlinie, oraz niedużéj polemicznéj rozprawy przeciw swemu niegdyś profesorowi, Micheletowi, w kwestyi osobowości Boga i nieśmiertelności duszy p. t.: *Gott und Palingenesie* (Berlin, 1842), rozprawy znowu niedokończonéj,—pisze zresztą same artykuły, dotyczące zagadnień praktycznych, jako to: „O ochronach wiejskich" („Biblioteka Warszawska", 1842, t. I), „Uwagi nad obecnym stanem finansów angielskich" (tamże, t. II), „Organizacya handlu drzewem i przemysłu leśnego" (tamże, 1843, t. I), „O wystawie berlińskiéj" (tamże, 1844, t. IV), „O skojarzeniu dążeń i prac umysłowych w W. Ks. Poznańskiém" („Rok" 1843, I, 132—43). Sprawa dobrobytu ludności wiejskiéj zajmuje go bardzo żywo, stąd przedrukowuje po polsku „Rzecz o ochronach" (Lwów, 1845, Poznań, 1849), podaje w przekładzie francuskim mowę, mianą po niemiecku: *Sur les moyens d'améliorer le sort de la population des campagnes* (Paryż, 1845) i t. d.

Praktycznéj również sfery kwestyi dotyczy drugie większe dzieło francuskie Cieszkowskiego: *De la Pairie et de l'Aristocratie moderne* Paryż, 1844, str. 161), w którém zadanie i znaczenie rodów historycznych i arystokracyi talentu określić się starał.

Podobnie, nietyle estetyczna wartość, ile społeczna doniosłość przedmiotu skłoniła go do skréślenia rozprawki „O romansie nowoczesnym" („Biblioteka Warszawska", 1846, t. I i osobno) i zaproponowania konkursu na najlepszy utwór powieściowy. Cieszkowski był stanowczym przeciwnikiem hasła: „Sztuka dla sztuki", domagając się w dziele każdém, a więc i powieściowém, przeprowadzenia pewnego celu, zadowolenia pewnego uczucia piękna, saméj fantazyi, lecz także i innych potęg ducha. Myśl głębsza, wejrzenie pilne w potrzeby społeczne, jeżeli tylko artystycznie będą ucieleśnione, nie przeszkodzą bynajmniéj pięknu, owszem podniosą jego wartość, pogłębią wpływ jego na ludzi.

Dopiéro w r. 1848 wraca znowu na pole historyozofii, ogłaszając największy swój utwór polski: „Ojcze nasz", który jest rozszerzeniem, a w pewnym względzie modyfikacyą poglądów, zawartych w *Prolegomena zur Historiosophie*. I tego dzieła wszakże nie kończy, poświęcając się odtąd przez bardzo długie lata sprawom zupełnie praktycznym.

W roku 1847 przeniósłszy się na stały pobyt do W. Ks. Poznańskiego, brał czynny udział w tamtejszém życiu publiczném. Gdy w r. 1849 rozpisano wybory do sejmu pruskiego, Cieszkowski został posłem i odtąd przez lat wiele pełnił ten obowiązek, a rozum, powaga i szlachetność w postępowaniu, zjednały mu uznanie i pobudzały do częstego wybierania go na prezesa koła sejmowego. Najpierwszą czynnością nowego posła było przypomnienie praw, jakie zapewniono W. Księstwu; dokonał tego w broszurze, wydanéj r. 1849: *Zusammenstellung von staats- und völkerrechtlichen Urkunden, welche das Verhältniss des Grossherzogthums Posen zur preussischen Krone betreffen, nebst einigen Erläuterungen.* Następnie w r. 1852 podał na sejm pruski wniosek o założeniu uniwersytetu w Poznaniu i o kwestyi szkolnéj: *Zwei Anträge... die Posener Universität und Unterrichtsfrage betreffen.* W 1855 występował w sprawie ochronek wiejskich: *Antrag zu Gunsten der Kleinkinderbewahranstalten als Grundlage der Volkserziehung.* Należał do grona założycieli Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Poznaniu 1857, co projektował już w r. 1843, i został pierwszym jego prezesem aż do r. 1867, kiedy godności téj ustąpił Libeltowi. W rocznikach Towarzystwa pomieścił ostatnią swą pracę filozoficzną, również jak dawniejsze niedokończoną, p. t. „O drogach ducha" (1863, osobno w r. 1869). Charakterystyczném jest tu uznanie dla zachodów około dobrobytu materyalnego. Wprawdzie Cieszkowski od początku swego zawodu, jako twórca filozofii woli i czynu, jako ekonomista, zachodom tym przynależne miejsce w sferze działalności ludzkiéj oznaczał, nigdzie wszakże tak wyraźnie jak tutaj równouprawnienia ich z pracami umysłowemi nie zaakcentował. Domagając się harmonii pomiędzy temi działami czynności ludzkiéj, powiada: „Chromiałyby sztuki i nauki bez odpowiednich postępów techniki; zmarniałby przemysł, gdyby go sztuki i nauki nie podsycały. Nic tu nie masz mdlejszego ani podlejszego, każde owszem w swojém miejscu potrzebniejsze, niczém więc jednemu przed drugiém chełpić się nie godzi, tylko spółubiegać się wolno, a colepszém stawać się przystoi. Umysłowiec przeto; gardzący dziś przemysłowcem, wyszedłby chyba na śmiésznego ubiegłych wieków ciurę i mimowiednie samego siebie potępiał, bo jeśli sam nie chce pozostać płonnym tylko marzycielem, musi się do godności płodnego pracownika przy warsztacie ducha poczuwać, a udzielonym sobie talentem na wspólną braci i własną korzyść rzetelnie obracając, do wzmagania skarbów ducha, wedle przemożenia się, przyczyniać, Nawzajem przemysłowiec wszelki, w praktyce i pożytku zamiłowan, urągający np. teoretykowi lub poecie, ubliżałby znowu tylko sobie; bo jeśli jest naprawdę istnym przemysłowcem, nie zaś partaczem ani frymarczycielem, jużci musi być w swojej gałęzi uczonym, a nawet, im na

zawołańszego wyszedł profesyonistę lub inżyniera, tém niezawodniéj musiał się w swoim rodzaju, a w starożytném znaczeniu tego wyrazu, urodzić poetą".

W myśl wypowiedzianéj tu zasady popiérał wszelkie rozumne przedsięwzięcia, mające na celu podniesienie umysłowego czy przemysłowego poziomu.

Dla poparcia rolnictwa przez ukształcenie agronomów z mniéj zamożnéj młodzieży, założył w Żabikowie pod Poznaniem szkołę rolniczą imienia „Haliny" (swojéj żony). Rozwijała się ona pomyślnie aż do r. 1878, kiedy z powodu utrudnień, przez rząd bismarckowski obmyślanych, musiała być zamknięta.

Robił poszukiwania do dziejów polskich i w archiwach weneckich, a część ich drukiem ogłosił. Uczęszczał chętnie na zjazdy naukowe i nieraz brał udział w dyskusyach pomimo podeszłego wieku, cieszył się bowiem aż do ostatnich chwil życia zdrowiem i bystrością umysłu.

W roku zeszłym doczekał się powszechnego uczczenia za swe przeszło pięćdziesięcioletnie prace na niwie społecznéj.

Zanim pojawi się wyczerpująca biografia i dokładny rozbiór dzieł jego, musimy obecnie poprzestać na ogólnéj charakterystyce poglądów, grupując je w dwa działy: filozoficzny i społeczny.

II.

Filozoficzne poglądy Cieszkowskiego w trzech głównie rozwinięte są rozprawach: w „Prolegomenach do historyozofii", w „Ojcze nasz" i w „Drogach ducha". We wszystkich trzech jednaka jest metoda, zasadnicze myśli te same; wszystkie trzy są tylko wstępami do większych całości.

Przejął on dyalektyczną metodę Hegla, zasadzającą się, jak wiadomo, na téj podstawie, że każde pojęcie musi przejść dwa stadya rozwoju: twierdzenie i przeczenie, ażeby w stadyum trzeciém, w kojarzeniu, osiągnąć szczyt najwyższy, dojść całkowitéj swéj pełni.

Stosując tę metodę do dziejów, starał się pobić Hegla jego własną bronią. Mędrzec bowiem berliński, lubo wszędzie, we wszystkich naukach przeprowadził, zgodnie z wymaganiem swéj metody, podział trójkowy, w jednéj tylko filozofii historyi odstąpił od niego i całość dziejów powszechnych rozczłonkował na cztery wielkie epoki: wschodnią (wiek dzieciń

stwa ludzkości), grecką (wiek młodzieńczy), rzymską (wiek męski), chrześciańsko-germańską (świadome pogodzenie woli bezwzględnéj z wolą jednostki). Ponieważ zaś i on sam i Cieszkowski

za nim poczytywali metodę dyalektyczną za niewzruszony, konieczny nabytek umysłowości, więc już w téj formalnéj stronie podziału dziejów na 4 epoki widzi nasz młody krytyk dowód jego słabości, bo jak do wszystkiego, tak i do historyi należy bezwarunkowo zastosować zasadę twierdzenia, przeczenia i kojarzenia. Przytém w owym podziale Hegla nie było miejsca dla przyszłości; historya wydawała się jakby całością skończoną z czasami filozofa. Cieszkowski dowodzi, że przyszłość poznać można, a więc, że i ją również wciągnąć należy w rachubę, gdy chodzi o filozoficzne oznaczenie epok historycznych. Przyszłość można określić w sposób trojaki: za pomocą uczucia, jak robili prorocy, za pomocą myślenia, jak filozofowie historyi, za pomocą woli wreszcie, przemieniającéj myśl w rzeczywistość, a to uczynią sprawcy dziejów (*Vollführer der Geschichte*).

Zgodnie z takim poglądem Cieszkowski uznaje w przeszłości całéj dwie tylko epoki, przed- i po-chrystusową, mające się do siebie jak twierdzenie do przeczenia; trzecia zaś epoka, mająca być skojarzeniem dwu poprzednich, rozwinie się dopiéro w przyszłości. Posłuchajmy w téj mierze wywodu samegoż filozofa. Wybiéramy określenia podane w „Ojcze nasz", ponieważ w zasadzie są one takież jak i w „Prolegomenach", a odznaczają się większą dobitnością.

„Zapatrując się na całkowite pasmo upłynionych czasów, spostrzegamy, że ludzkość w postępie dziejów swoich dwie dopiéro stanowcze przebiegła epoki. Dwu tych epok punktem granicznym i zwrotnym jest Chrystus. On jest ogniskiem dotychczasowych dziejów, równikiem ich dotąd odkrytych stref. Wszystko, co przed Nim, do Niego się ściąga; wszystko, co po Nim, z Niego wychodzi. On więc — przesilenie historyi... Dwie epoki dotychczasowe, w istotnych piętnach swoich ujrzane, są sobie wręcz przeciwne, a jednak dyalektycznie sobie odpowiednie, czyli mają się jak *thesis* do *antithesis*, jak byt do myśli, jak świat do zaświata. W pierwszéj—zmysłowy letarg, w drugiéj — umysłowa bezsenność. Tu zniżenie się do zera, tam podniesienie się do nieskończoności. Tu wieczna jeszcze nieruchomość tego, co jest, co stoi, tam wieczny ruch tego, co być powinno, co dąży... Co w świecie starożytności było zewnętrznego, to w świecie chrześciaństwa staje się wewnętrznéni. Co było przedmiotowego, staje się podmiotowém; co materyalnego—spirytualném, co szczególnego—ogólném, co znowu było jednostajnego, staje się różnorodném, a co ślepego—widomém. Co było pięknego tylko dla zmysłu, staje się dla umysłu prawdziwém. Charakterem pierwszéj epoki było panowanie natury nad duchem. Duch się dopiéro tu rodził, rósł i dziecinnie rozwijał.

To spoczywał w zasłanéj kolébce, to próbował chodzić na pasku przyrodzonych stosunków, to znów igrał sobie naiwnie na błoniach budzącéj się fantazyi, to nareszcie zaprawiał się do dzieł męskich ćwiczeniami siły i rozsądku... Ze wzrostem sił fizycznych, z możnością ich nadużycia, nastała téż krytyczna chwila przejścia z dzieciństwa w młodzieńczość... Z początku, rozpusty ukrócenie i samego ducha roztarganie. Wkrótce dusza przemogła nad ciałem. Surowa nauka zajęła umysł ludzkości i poskromiła wyłączną potęgę zmysłu. Atoli nie pokonała go bynajmniéj, bo on ostatecznie pokonanym być nie miał; jedno pasowała się z nim bezustannie i nader żywo w początkach, wskutek zbawiennéj reakcyi, — coraz słabiéj ku schyłkowi tego peryodu, wskutek spólnego dojrzewania tak zmysłu jak umysłu, wskutek coraz ważniejszych i praktyczniejszych zatrudnień młodzieńca. Był to okres najcięższych i najżywszych walk jego żywota, epoka szlachetnych urojeń a niedołężnych usiłowań, epoka wiary i zwątpienia, miłości i miłostek, turniejów i pojedynków, nocy bezsennych i dni bezowocnych, zapału i zniechęcenia, łez tém goręszych, że utajonych i wewnętrznie strawionych."

Jakaż będzie epoka trzecia? Będzie ona oczywiście syntezą dwu poprzednich; ludzkość ukoi dotychczasowe swe szamotania się, przekroczy przebyte po kolei wschody, wejdzie do świątyni „prawdziwego ducha", rozgości się w niéj jak u siebie, jak u wielkiego celu długiéj wędrówki. Ale nie spocznie wcale. „Wstąpienie w wiek męski — mówi nasz filozof — jest właśnie wejściem w praktyczne życie, rozpoczęciem prawdziwéj działalności. W tym to przybytku, w téj świątyni, w téj ziemi obiecanéj, zdobytéj w czasie, a nie zdybanéj na jakiémkolwiek miejscu, u ż y j e ludzkość dopiéro tego wszystkiego, co dotąd p r z e ż y - ł a, uładzi wszystkie skarby w wędrówce swéj pojedyńczo odkrywane, wszystkie zasoby na kolejnych stanowiskach zbiérane, a po kolejnych wschodach mozolnie dźwigane. Tak jest, urządzi ona sama te skarby i zasoby; urządzi je i ukształci wedle własnego postanowienia i wprowadzi je sama w ład, nie zaś zastanie już takowe umieszczone i urządzone, jak to sobie wystawiali dotychczasowi marzyciele próżnych ideałów, zamglonym wzrokiem obdarzeni dalekowidze Królestwa Bożego. Do gotowego gdzieś Eldorado niech sobie duchowi leniwce wzdychają!... Rezygnacya nie jest ostatniém słowem ducha, lecz w samym człowieku tkwi dalsza i wyższa potęga, zbawić go mająca, zdolna skojarzyć nanowo, co się rozdzieliło. Tą potęgą, tą władzą nad władzami jest wola, szczyt ducha. Ona czucie z wiedzą kojarzy i zaślubia z myślą byt, a z małżeństwa tego rodzi się czyn, trzeci świata pan... Jak kamieniem węgielnym pierwszego świata był b y t , z m y s ł w r o d z o n y , za-

kon natury, i jak znowu kamieniem węgielnym drugiego świata była myśl, wiara, zakon kościelny—tak węgielnym kamieniem trzeciego świata jest czyn, wolne dzieło ducha, zakon woli i wolności."

Taka jest w głównych zarysach historyozofia Cieszkowskiego. Czy ją możemy uznać za trafną? Do naszego dzisiejszego umysłu nie przemawia już argument o niewzruszalności metody dyalektycznéj, gdyż okazało się z wielu zastosowań, że prowadzi ona bardzo często do naciągań i wykrzywień prawdy. Nie może nas zatém obowiązywać trójkowy podział historyi dla zadosyćuczynienia metodzie. A czy sam podział i jego charakterystyka mogą być przyjęte? Czy istotnie w starożytności ludzkość odbyła stadyum uczucia i piękna (jak mówił Cieszkowski w „Prolegomenach"), lub zmysłu wrodzonego, zakonu natury (jak to powiedział w „Ojcze nasz"), w czasach chrześciańskich stadyum rozumu i prawdy, lub też wiary, zakonu kościelnego, a w przyszłości wejdzie w stadyum woli i dobra lub też czynu, zakonu woli? Zdaje mi się, że do téj charakterystyki dadzą się w zupełności zastosować zarzuty, jakie uczyniono formule Comte'a o stanie teologicznym, metafizycznym i pozytywnym; w obu bowiem wypadkach całkiem dowolnie przyjęto kolejne następstwo takich zjawisk, które nieraz równocześnie, w różnych dobach rozwoju się ukazują. Dzieje ludzkości nie są ukończone i niewiadomo, jak długo się pociągną; dawać więc ich charakterystykę jako całości, jest wprost niepodobieństwem. Bo jakkolwiek piękną i pociągającą jest rzeczą przewidywać przyszłość; jakkolwiek nie wątpię, że nietylko marzyciele ale i myśliciele nie wyrzekną się przewidywań: to jednakże na podstawie domysłów tylko odbudowywać, t. zw. „organizm" dziejów porównać można chyba z braniem hypotezy za fakt dowiedziony.

Cieszkowski nie poprzestał atoli na ogólnikowém jedynie nakréśleniu fizyognomii przyszłości; pragnął on wejść w szczegóły, wskazać czynniki, jakie mają wpłynąć na jéj wyrobienie i rezultaty, jakie one w pracy swojéj osiągną.

Gdy pisał „Prolegomena", dla sprowadzenia nowéj epoki, uznawał za potrzebną nową wędrówkę narodów, ale wprost przeciwną téj, jaka zgniotła świat starożytny. Ta nowa wędrówka wyjść powinna od narodów ucywilizowanych, by zalać plemiona dotąd barbarzyńskie jeszcze. W dawniejszéj wędrówce surowa siła natury odniosła zwycięstwo nad nieuświadomioną jeszcze w zupełności siłą ducha, ale zwycięstwo to do tego jedynie posłużyło „ironicznie", by samego ducha odrodzić. Teraz atoli siła duchowa napadnie na rozpadającą się w sobie i ku czemuś wyższemu tęskniącą siłę natury, a zwycięstwo ducha

posłuży znowuż do odrodzenia natury. Mianowicie, podniesienie narodów, żyjących w stanie natury, na ten stopień rozwoju ducha, któryśmy już osiągnęli, będzie znowuż dla nas podniesieniem i odnowieniem naszéj wyrodzonéj natury. Ten odwet ducha wszechświatowego, t. j. tę drugą odwrotną wędrówkę narodów poczytywał Cieszkowski za nieodzowne przejście do trzeciego okresu.

Niebawem wszakże od téj myśli odstąpił. W czasie, kiedy wydawał swoje „Prolegomena", już istniały teorye (Wrońskiego, Trentowskiego), przeznaczające dla szczepu słowiańskiego wielkie posłannictwo odrodzenia filozofii, a nawet cywilizacyi wogóle. Czy pierwszém źródłem tych rojeń o przyszłości Słowian były piękne i sympatyczne o nich słowa Herdera, wypowiedziane w *Ideen zur Philosophie der Geschichte der Menschheit*" (1792), czy też pogląd porównawczy na role spełnione już w dziejach przez różne narody; dość, że myśl o zastąpieniu Germanów i Romańczyków w dotychczasowém przewodnictwie duchowém przez szczep słowiański, lub téż jedno z jego plemion, znalazła w całéj słowiańszczyznie odgłos ogromny i zainteresowała Europę.

Cieszkowski również z początku ostrożnie, a potém śmiało i stanowczo przepowiednię tę przyjął i sam ją głosić zaczął. Znamiennym jest sposób, w jaki w dwu pismach, niewielkim przeciągiem czasu przedzielonych, myśl ta została przezeń wyrażona. W rozprawie „O romansie nowoczesnym", pisanéj 17 grudnia 1845 r., mieści się następne bardzo oględne, troszkę nawet żartobliwe zastosowanie myśli ogólnéj o wielkiéj przyszłości Słowian do specyalnego przedmiotu, to jest do wydoskonalenia powieści: „Kto wié, czy owa właściwa i oczekiwana jeszcze świetność społecznego romansu nie ma się stać naszéj własnéj literatury udziałem? Kto wié, czy pożądana palma w tym rodzaju nie jest jakiemu polskiemu poecie przeznaczona? Wątły to wprawdzie domysł, n a n i c z é m i n n é m n i e o p a r t y, jedno na tém spostrzeżeniu, fałszywém zapewne, ściśle biorąc, lecz *cum grano salis* nader prawdziwém, iż u n a s ś w i é ż e s ą j e s z c z e u m y s ł y i n a i w n e s e r c a, gdy po większéj części u obcych — zmęczone, schorzałe i kwiatu młodości pozbawione. Wątły to wprawdzie domysł, powtarzam, błahy powód i dowód, przyznaję; bo i w najbardziéj schorzałém społeczeństwie, przypuściwszy nawet, że takieby się w Europie znalazło, każde nowe, każde wschodzące pokolenie jest świéżém i może być zdrowém, a lubo przez odbiérane wychowanie i przez obcowanie ze schodzącém, przejmuje się mniéj więcéj jego krewkościami: to przecież nigdy nie przypuścimy takiéj fatalnéj solidarności, którąby wszelkiemu odrodzeniu ducha nieodpartą stawiała zaporę. Dlatego téż w żadnéj innéj, surowszéj ducha dziedzinie nie pozwolilibyśmy sobie tak b e z z a s a-

dnego przypuszczenia... Ale pisząc o romansie, któżby nam zabronił cokolwiek z nim samym poromansować?..."

W dwa lata zaś potém w „Ojcze nasz" już nie jednéj tylko dziedzinie twórczości duchowéj, ale w całym obszarze życia ludzkości przypisał Słowianom nie możność samą, lecz istne uzdolnienie do pojęcia pracy reformatorskiéj, do sprowadzenia trzeciéj wielkiéj epoki w dziejach.

Cóż uprawnia te ludy do tak wielkiego dzieła? — pyta Cieszkowski i odpowiada: „Ich rodzime skłonności i obyczaje, ich pierwiastkowe prawa i podania, ich przygotowawcze cierpienia i zasługi. Bo jak w pierwiastkach germańskich średniowieczne, tak w pierwiastkach słowiańskich nowowieczne losy zapisał sam Bóg!... Szczep do nowéj sprawy powołany już z natury nie swawolny, ale wolny, nie walczący, ale waleczny, do boju zawsze gotów, ale nie łaknący tego... Ani zbrojny, ani rozbojny, ani awanturniczy, ani koczujący; ale owszem pobożny i spokojny, dobrowolny i gościnny, wesoły i śpiewny, w domu zamiłowany, a do ziemi nad wyraz przywiązany, nie tratujący po jéj plonach, ani też pracą około niéj gardzący, ale owszem rodzimym obyczajem sam ją piastujący i uprawiający — wolał on zawżdy utajone w swojéj roli dobywać dostatki, niżeli zdobywać je na obcych, lub cudzą przymuszoną pracą ich sobie przysparzać. Albowiem miłość chrześciańską dotąd prywatną zamienić na publiczną i takową do potęgi podniesioną jeszcze, od ludzi do ludów przenieść—jest przeznaczeniem jego" (str. 241—43).

Jakkolwiek charakterystyka taka i na niéj oparte proroctwo o wielkiéj misyi dziejowéj mogą być dla Słowian pochlebne i głaszcząc ich miłość własną, uśpić zmysł krytyczny, niepodobna jednak nie przypomnieć słusznych uwag samego Cieszkowskiego o przymiotach i wadach narodów, o ich zepsuciu i zdrowiu, uwag wypowiedzianych w rozprawie „O romansie nowoczesnym". Uniesiony zapałem wieszczby, rozegzaltowany poezyą owoczesną, zapomniał o potrzebie jasnego i trzeźwego rozpatrzenia się we właściwościach szczepowych i nakreślił wizerunek Słowian całkiem idealny, w którym nawet wady przemieniają się na zalety, albo obniżają się do znaczenia drobnych przypadłości.

Jeżeli określenie charakteru Słowian przez Cieszkowskiego nie może być uważane za zgodne z rzeczywistością, to oczywiście osłabia się przez to wniosek na niém oparty o ich uprawnieniu do sprowadzenia trzeciéj doby w dziejach, do urzeczywistnienia królestwa bożego na ziemi.

Pomijając atoli kwestyę przez kogo sprowadzoném będzie to kró-

lestwo, pytamy, jakie szczegółowe dobrodziejstwa zapewni ono ludziom. Wiemy już, że trzecia epoka dziejów ma być epoką świadomego czynu, ma urzeczywistnić ideę tożsamości myśli i bytu, ma przemienić moralność prywatną w publiczną, ma posunąć na stopień doskonałości i szczęścia wszystkie stosunki społeczne. Już w „Prolegomenach" posługiwał się Cieszkowski chętnie wyrażeniami Pisma ś., co było wtedy we zwyczaju u filozofów niemieckich, nadających słowom Biblii allegoryczne lub symboliczne znaczenie i rozciągających je tym sposobem dowolnie, stosownie do potrzeby własnych poglądów. Z czasem wyolbrzymiała ta skłonność u naszego historyozofa, a dzieło p. t. „Ojcze nasz" miało się stać filozoficznym jedynie komentarzem modlitwy Pańskiéj, w któréj, zdaniem Cieszkowskiego, mieszczą się najgłębsze prawdy, znane dotychczas zewnętrznie i powierzchownie tylko, lecz mogące wypełnić całość nauki o zadaniach przyszłéj trzeciéj doby rozwoju dziejów. Jak to wyjaśnienie modlitwy pańskiéj pojmował, możemy mieć przybliżone wyobrażenie z króciutkiéj wskazówki zawartéj przy końcu IX ustępu w „Ojcze nasz". Przytaczam jego słowa, omawiające filozoficznie 7 próśb modlitwy. „Bóg jest duchem i takich pragnie czcicieli, którzyby go całym duchem czcili, a tém samém wiekuiste imię jego spełna święcili. Nie ślepe wykonanie obrządków starego zakonu, ani też tylko świadome opowiadanie bożego słowa nowego zakonu; nie realne tylko *sacrificia*, ani idealne tylko *sacramenta* stanowić nadal będą istotną cześć bożą; lecz c z y n n a u p r a w a wszelkich darów ducha, któremi Bóg na podobieństwo swoje wszystkich nas obdarzył, samodzielne spełnianie bożéj woli równie na ziemi, jak w niebie, a przez to właśnie urzeczywistnienie na ziemi idealnego dotąd królestwa bożego; przypuszczenie i przysposobienie wszystkich ludzi do spożywania tak fizycznego, jak moralnego chleba żywota; uświęcenie się już nie w miarę wiary i daremnéj łaski, ale w miarę własnych czynów i zasługi; ukojenie wewnętrznych, tak ludzi jak ludzkość dotąd rozrywających zatargów, a tém samém światowe oswobodzenie ludzkości od potęgi złego;—słowem, czynne życie w Bogu, który jest, był i będzie zawsze duchem świętym, oraz życie tego ducha świętego w nas, jako w członkach swoich: oto jest wielkie przyszłych wieków zadanie. A tak, epoka Ojca i epoka Syna przez epokę Ducha świętego się spełni" (str. 237, 8).

Co tu szkicowo napomknięto, miało się stać przedmiotem szczegółowego wykładu w dalszych tomach dzieła, poświęconych rozbiorowi wszystkich 7 próśb modlitwy Pańskiéj. Czy Cieszkowski dalsze te tomy napisał? Już Trentowski (w „Panteonie wiedzy ludzkiéj", II, 222) domyślał się, że całe dzieło było ułożone, lecz „pokutuje bez

winy w więzieniu rękopismowéj teki.” Po śmierci Cieszkowskiego doniosły pisma, że istotnie znajduje się kilkotomowy manuskrypt, będący dalszym ciągiem ogłoszonego w r. 1848 początku. Dlaczegóż filozof sam ich nie wydał? Zdaje się, że stanął temu na przeszkodzie reakcyjny prąd czasu. Ciągłe powoływanie się na Pismo ś. nie ochroniło Cieszkowskiego od zarzutów, że jego nauka i jego wykład słów Biblii nie zgadza się z nauką i wykładem Kościoła katolickiego. Zarzuty te sformułował bardzo dobitnie, a nawet surowo Aleksander Tyszyński (patrz „Rozbiory i krytyki”, I, 204—352), wykazując szczegółowo, że w kwestyach pierwszorzędnéj wagi (upadek człowieka, teorya Łaski i t. p.) filozof nie trzymał się tradycyi kościelnéj, lecz własnego indywidualnego rozumu. W czasie, kiedy rozumowanie oddalające się od tradycyi było potępiane, kiedy Trentowski za heretyka i gorszyciela młodzieży obwołany został, wydawać dalszy ciąg dzieła w tym właśnie duchu napisanego, znaczyłoby skazywać je na nieuchronny anatemat, a więc pozbawiać go wpływu na umysły, o co przecież autorowi głównie chodzić musi.

Zamknął więc Cieszkowski utwór swój do teki i chyba obecnie po śmierci jego ujrzy on światło. Poglądów atoli swoich bynajmniéj nie zmienił. W ostatniéj znanéj nam rozprawie filozoficznéj „O drogach ducha” stoi on na témże stanowisku, co i w „Ojcze nasz”; innym tylko trochę tonem przemawia: dawniéj żywo i obrazowo, gorąco i namiętnie,—a teraz poważnie, spokojnie i uroczyście, jak mędrzec wypowiadający krótko treść długich rozmyślań. Mamy tu powtórzenie zasadniczych myśli naszego filozofa, nieraz w sposób nowy objaśnionych; a więc wywód o potrzebie złączenia harmonijnego potęg duchowych: uczucia, myśli i woli, o tożsamości myśli i bytu, dokonywanéj przez urzeczywistnianie idei za pomocą czynów, o spływie wszystkich pomysłów, pragnień i dążeń w pięknie, na zasadzie sprawiedliwości urządzoném życiu społeczném. W tém życiu bowiem „skupiają się wszelkie drogi ducha, nie wyłączając się, ani ubliżając sobie nawzajem; owszem, każda z osobna właściwy sobie kierunek i szczytne przeznaczenie znajdując.” Życie to ogarnia „wszelkie sztuki, nauki i instytucye społeczne jako niezbędne żywioły własnego rozwoju, jako integralne funkcye i spółwarunki własnego istnienia; a więc nie na to oczywiście, żeby im uwłaczać albo żeby je przygnębiać, ale na to, żeby poślubiać między sobą i rozwielbiać w sobie, coby w prywacie lub rozpuście marniało; a wpływem i ustawiczném spółdziałaniem tych potęg duchowych własną wolność ustawicznie dźwigać, zasilać, rozwijać, uszlachetniać.”

Tak więc istotnie harmonijnie łączy się z sobą początek działalności filozoficznéj Cieszkowskiego z jéj końcem: i tu i tam powołanie

do czynu, do przekroczenia krainy idei oderwanéj dla znalezienia się w szerokiéj dziedzinie pracy społecznéj z celem jéj podniesienia i udoskonalenia.

Piotr Chmielowski.

III.

Poważną pozycyę w nauce ekomicznéj zdobył sobie Cieszkowski odrazu wstępnym bojem, już w 25-ym roku życia ogłaszając w języku francuskim wyczerpujące dzieło „O kredycie i o obiegu" (*Du Crédit et de la circulation*, 1 wyd., Paris, 1839; 2-gie tamże, 1847 r., 3-cie 1884 roku).

Dwa te zasadnicze czynniki gospodarstwa społecznego przez żadnego ekonomistę uprzednio nie były tak krytycznie rozebrane, związek ich wzajemny tak wyczerpująco przedstawiony.

„Kredyt wpośród społeczeństw nowożytnych rozlał już zbyt wiele dobrodziejstw z jednéj, a zbyt wiele klęsk z drugiéj strony, iżby nie było na czasie zawezwać go do zdania ścisłego rachunku z jego istnienia, z jego wewnętrznéj przyrody, z jego środków i nadużyć, jednèm słowem, ze wszystkiego, co już wytworzył i coby mógł wytworzyć" — takie zadanie stawia sobie autor na wstępie dzieła tego.

Przyznając, że przed nim wielu już uczonych przedmiotem tym się zajmowało, Cieszkowski dochodzi wszakże do wniosku, że jak teorya kredytu dużo jeszcze do życzenia pozostawia, tak i jego praktyka niemniéj jest wadliwą. Dalekim jest on jeszcze od gotowości odpowiedzenia swemu przeznaczeniu, nadziejom pokładanym w nim przez jego adeptów i słusznym wymaganiom, jakie mu stawia społeczeństwo.

Instytucye dotychczasowe grzeszą nietylko z powodu niedostateczności ich rozwoju organicznego, lecz z powodu zbyteczności tegoż, to jest rozwoju anormalnego i wadliwego; tak, że obecny stan praw i instytucyi finansowych dopuszcza wprawdzie nadużycia kredytu, ale nie dopuszcza u ż y t k o w a n i a z niego powszechnego i regularnego.

Zdania tego wygłoszonego przed 55 laty snać autor nie zmienił, drukując przed 10-ciu laty nowe uzupełnione, ale n i e z m i e n i o n e wydanie, a gdy się zapoznamy z treścią tego dzieła, zmuszeni będziemy przyznać autorowi słuszność obstawania przy pierwotnie powziętéj idei.

Zastanawiając się przedewszystkièm nad przyrodą i definicyą

kredytu, Cieszkowski stanowczo zbija upowszechnione przed wydaniem jego dzieła określenie: że kredyt jest tylko antycypacyą przyszłości i natomiast stawia następującą definicyę, z którą niejednokrotnie, jako z przyjętą, w nowszych wykładach ekonomii spotykaliśmy się, a mianowicie: kredyt jest przemianą (metamorfozą) kapitałów stałych i zaangażowanych na kapitały obiegające i oswobodzone, czyli jest środkiem podającym do rozporządzenia i obiegu kapitały, które téj własności, nie posiadały i dozwalającym im w konsekwencyi przenosić się i lokować tam, gdzie odczuwać się daje ich potrzeba. Zasadnicze to zdanie o kredycie stawia go w bezpośredniéj łączności z pojęciem racyonalnego obiegu; skoro bowiem kredyt jest i ma być wprowadzeniem w obieg kapitałów istniejących, obieg zatém także jest i powinien być rozwinięciem ogólnego kredytu narodu.

Uzasadnienie wszechstronne tych głównych pojęć, będących oryginalnym pomysłem Cieszkowskiego, stanowi właśnie przedmiot jego dzieła.

Zastanawiając się nad twierdzeniem, czy obieg można uważać za wytwórczość specyalną, jak chcą niektórzy ekonomiści, Cieszkowski rozróżnia przedewszystkiém trzy rodzaje obiegu: 1-szy obieg produkcyjny sam przez się czyli obieg czynny, 2-gi obieg spożywczy czyli bierny i 3-ci obieg bezpłodny albo nijaki. Do tego ostatniego rodzaju zaliczając cały obieg czysto pieniężny, wyrażający się w czystych zamianach, jak zmiana wartości pieniężnych, ażyotaż, gra gieldowa i t. p., tego rodzaju obiegowi przypisuje ciągłą zatratę realnych bogactw, kiedy cyrkulacya albo lepiéj spożycie reprodukcyjne, w najwyższym stopniu popiéra postęp bogactw.

Najskuteczniejszym czynnikiem takiego obiegu jest kapitał obrotowy, podobnie jak kapitał stały jest głównym czynnikiem właściwéj produkcyi bezpośredniéj. W okolicznościach skądinąd zupełnie jednakich, wyższość stosunków wytwarzanych przez kapitały obrotowe nad stosunkami, wytwarzanemi przez kapitały stałe, jest prawdą niezaprzeczalną; kapitały stałe bowiem wytwarzają tylko procenty, kiedy kapitały obrotowe wytwarzają zyski i powiększają nadto w zadziwiającym stosunku dochody, jakie dawał kapitał stały, zanim został należycie zapłodniony przez kapitał obiegający. Dobrobyt więc społeczeństwa wysoce jest interesowany w powiększeniu, o ile tylko można, sumy kapitałów w stanie obiegowym, lecz co już go najbardziéj obchodzi, to aby te kapitały obiegowe były prawdziwemi kapitałami, a nie fikcyjnemi znakami, albo wartościami czysto nominalnemi.

Otóż wynalezienie sposobu, aby kapitały stałe jednocześnie służyć mogły za kapitały obrotowe, aby mogły podwoić się niejako, służąc jednocześnie obu funkcyom, stałoby się najpotężniejszym motorem gromadzenia bogactw i dostarczyłoby niezmiernéj siły rozwojowi wszelkiego rodzaju przemysłu. Sposób zaś ten, zdaniem Cieszkowskiego, stanowi kredyt, ale w jego pojęciu normalném i najogólniejszém.

Rozpatrzywszy w dalszym ciągu szczegółowo dotychczasowe urządzenia kredytowe, wykazawszy przyczyny, które wymagają, aby kredyt nie oparty na materyalnéj podstawie był koniecznie spłacalnym w terminach, a daléj wykazawszy, że wszelkie opiéranie zdolności kredytowéj na spodziewanych dopiéro dochodach, prowadzić z konieczności musi do nadużyć i nie może stanowić racyonalnéj podstawy dla kredytu, Cieszkowski w następujący sposób formułuje dwie wady radykalne dotychczasowéj organizacyi kredytu, z czego następnie wyprowadza wnioski swoje dążące do reformy téj organizacyi. Wady te, z których jedna jest dokładnie odwrotną stroną drugiéj, są: 1) brak gwarancyi realnéj u walorów obiegowych i 2) brak obiegowości u walorów realnych, to jest że gdy walory w obieg puszczone nie mają zasobów podstawnych, zasoby te przeciwnie nie posiadają uruchomienia. Wynika z tego podwójna niedogodność, że jednocześnie panuje brak i nadmiar walorów obiegowych, ale brak walorów realnych, a nadmiar walorów fikcyjnych. Przyszłość zatém dla osiągnięcia normalnego rozwoju i organizacyi kredytu polega na rozwiązaniu zadania: uruchomienia wartości unieruchomionych, a dania zastawu czyli podstawy rzeczowéj wartościom oswobodzonym *(dégager les valeurs engagées et gager les valeurs dégagées)*.

Uruchomienie wartości nieruchomych, to jest puszczenie w obieg zasobów stałych i realnych jest jedynym normalnym i wystarczającym środkiem zaopatrzenia potrzeb obiegu w kapitały już istniejące, a nie dopiéro wytworzyć się mające. Zrodzić kapitały obiegowe z istniejących już, a nie dopiéro powstać mogących wartości — oto zadanie. Każdy rodzaj funduszu realnego jest kapitałem wytwarzającym nietylko swoje własne dochody, jako kapitał stały, ale mogącym wziąć udział w rozciągnieniu wytwórczości drogą kredytu, stając się jednocześnie kapitałem obiegowym.

Pobudzić trzeba do działania tę przewyżkę jego mocy, a tenże sam zasób znajdzie w niéj swoje odbicie, nie przestając funkcyonować jako kapitał stały. Kredyt bowiem, wedle Cieszkowskiego, nie mnoży bynajmniéj kapitałów, jak to mylnie często powtarza

ją, odbija je tylko—ale co mnoży rzeczywiście, to dochody, dodając zyski do procentów i podniecając wytwórczość kapitałów stałych. Oto cała siła magiczna racyonalnego kredytu.

Strzeżmy się przypisywania kredytowi większéj potęgi, niżeli rzeczywiście jéj posiada i posiadać może. Starajmy się należycie wyeksploatować tę tylko, jaka mu z pełnego prawa należy, a wystarczy na potrzeby obiegu w zupełności.

Czyż kredyt, który umiał już za pomocą skupu uruchomić fundusze najmniéj realne, jak fundusze handlowe np., miałby nie posiadać téj samej zdolności dla wartości najsolidniejszych, mianowicie zaś dla nieruchomości? Okoliczność, że w czasie gdy autor pisał swoje dzieło, t. j. w r. 1838, w niektórych krajach, jak Prusy i Królestwo Polskie, rozwinięty był już kredyt rzeczowy za pomocą listów zastawnych, stwierdza faktycznie, że uruchomienie w celach kredytowych majątków nieruchomych jest możliwém; ale nie o tego rodzaju uruchomienie autorowi chodzi.

Dotychczasowe waranty handlowe, czyli weksle i przekazy eskontujące przyszłość, wartość swą opiérają na promesie spłaty w przyszłości, dlatego muszą być spłacalne w terminie — tymczasem Cieszkowski na potrzeby kredytu, jako zasadniczą podstawę obiegu, pragnie wytworzenia warantów realnych, opartych na wartościach nieruchomych, warantów, których przeznaczeniem byłoby być dowodami obiegowemi, w miejsce nie posiadających, a raczéj w części posiadających tylko podstawę realną banknotów dotychczasowych. Byłaby to moneta w pełni analogiczna z monetą brzęczącą, zawierałaby bowiem w sobie samej gwarancyę specyalną i oznaczoną, nie będąc w rzeczywistości czém inném jak zasobem realnym, któremu nadaną została zdolność obiegowa. Ale Cieszkowski idzie dalej w określeniu swego nowego środka obiegu. Ponieważ pośrednik ten tranzakcyi będzie zasobem obiegającym z prawa, więc wypada, aby jego każdoczasowy posiadacz korzystał ze wszystkich właściwości przynależnych posiadaniu zasobu. A że specyalną charakterystyką każdego realnego zasobu jest przynoszenie dochodu, trwała więc obiegowość podobnych warantów zabezpieczoną będzie w takim razie tylko, gdy te procent dawać będą. Procenty te pośrednio płacone-by były przez posiadaczy zasobów nieruchomych, przydzielonych jako zastaw realny warantom obiegowym, ujednostajnionym za pośrednictwem instytucyi centralnéj, kierującéj obiegiem kredytowym, tak, że posiadacz zasobu zastaw stanowiącego płaciłby procent, a posiadacz wartości tym sposobem oswobodzonéj, pobiérałby go. Instytucya zaś, któréj przezna-

czeniem byłoby takie uruchomienie zasobów, byłaby oczywiście rodzajem banku depozytowego, jak tenże w dosłownem znaczeniu wyrazu pojmujemy, ale jednocześnie z powodu emisyi walorów obiegowych spełniających funkcyę monety legalnéj, opartéj na jéj zasobach, miałaby w sobie także naturę banków obiegowych.

Powołanie instytucyi takiéj do działania miałoby ten skutek, że tylko zasoby aktualne stałyby się zdatnemi do eskonta, nie zaś jak dotąd zyski przyszłości; kredyt dopełniałby tylko uruchomień, nie zaś zaliczek i emitowałby tylko zastawy obiegowe, nie zaś promesy dopiéro; papiéry więc przez nią emitowane nie byłyby walorami opartemi na antycypacyi wpływów, ale na nagromadzeniu zasobów, a waranty takie przedstawiałaby wartości, dotąd martwe, a odtąd obdarzone zdolnością ruchu, naodwrót zaś wartości dotąd czysto ruchome opatrzoneby zostały teraz gruntem dostatecznym

Tym sposobem także bezpieczeństwo banków depozytowych połączoneby zostało z korzyściami banków obiegowych. Organizacya kredytu rzeczywistego, w jego najogólniejszych podstawach, byłaby więc następującą: wszelki zasób faktyczny i materyalny, przedstawiany już to przez certyfikat hypoteczny dla nieruchomości, już to przez polisę asekuracyjną dla ruchomości, już też nareszcie stanowiący depozyt w naturze, przypływałby do jednéj instytucyi centralnéj i ogólnéj, aby wziąć udział w rozwinięciu kredytu, to jest, aby się zdwoić i odbić w obiegu za pośrednictwem emisyi tytułów kredytowych, reprezentujących jednolicie wartość obiegową tych zasobów, niższą rozumié się od ich wartości sprzedażnéj. Zasoby te gromadziłyby się w instytucyi, aby tym sposobem stać się monetą i rozlać się następnie w obiegu pod firmą warantów obiegowych i jednolitych nie spłacalnych, ale przynoszących procent i mających ważność prawną pieniędzy. Rozumié się, że posiadając ten ostatni charakter, waranty te jako pieniądz, pozostałyby na zawsze nie wymagającymi spłaty.

Takie, ogólnie biorąc, nowe podstawy obmyśla Cieszkowski dla racyonalnéj organizacyi kredytu i obiegu. Wyższa ta organizacya zdolną będzie objąć wszelkie punkta zapatrywania, jakie wciąż się mnożą w miarę postępu stosunków ludzkich i w organiczny sposób zwiąże nietylko kredyt realny z kredytem moralnym, ale w ostatecznym rezultacie system także ogólny kredytowy z systemem obiegu, nad naturą i rozwojem którego w dalszym ciągu się zastanawia.

Zaznaczywszy, że dotąd środkiem obiegu są dwa rodzaje walorów, z których jeden to jest gotówka, łącznie z jéj surogatem, monetą papiérową, jest bezpłodnym w spoczynku, a wytwórczym w ruchu, kie-

dy drugi, to jest papiéry publiczne, bezpłodne są w ruchu, a produkcyjne w spoczynku,—Cieszkowski obmyśla wytworzenie trzeciego nowego środka obiegowego, któryby był syntezą dwóch pierwszych i łączył korzystne strony obu, a usuwał niekorzystne, i za taki uważa wytworzenie nowych biletów obiegowych emitowanych i gwarantowanych przez państwo, jako m o n e t a l e g a l n a, które zachowując zdolność obiegową, odznaczającą obecnie istniejące i posiadając ważność prawną, wedle ich kursu legalnego, do splaty podatków i do wszelkiéj likwidacyi zarówno publicznéj, jak i prywatnéj, łączyłyby z tym charakterem pośrednika ogólnego cyrkulacyi, specyalną właściwość papiérów publicznych, przynoszenia procentu po stałéj stopie i płatnego w terminach oznaczonych, których procent w obrotach tą nową monetą o b l i c z a n y b y ł b y n a d n i e.

Taki b i l e t r e n t o w y łączyłby zatém oba rodzaje korzyści, które dotąd zdawały się niemożliwe do pogodzenia; czy bowiem zachowywanoby go u siebie jako lokacyą, czy puszczonoby go w spekulacyę, zawsze i w każdym razie korzyśćby przynosił. Właściwością bezpośrednią i specyficzną takiego papiéru byłoby nie dozwalać najmniejszemu nawet kapitałowi pozostawania choćby przez chwilę bezczynnym i bezprodukcyjnym, gdyż procent za cały czas, jaki upłynie między przyjęciem biletu a jego puszczeniem daléj w kurs, nie ginie dla chwilowego posiadacza, jak to się dzieje z gotówką, lecz powiększa się z dniem każdym; zarabia się więc za każdym razem, gdy się przy wypłacie przyjmuje bilet podobny.

Pieniądz taki procentujący sprawi, że dochody każdemu przybywać będą już w formie kapitałów produkcyjnych, rezultatem ostatecznym jego wprowadzenia zatém będzie przekształcenie d o c h o d ó w w k a p i t a ł y, czyli skutek wprost przeciwny działaniu dotychczasowemu wszelkiego rodzaju długu publicznego, który wedle orzeczenia Adama Smitha „przekształca k a p i t a ł y w d o c h o d y, rozprasza je i wydatkuje bez żadnéj nadziei przyszłéj reprodukcyi.” Skądinąd samo posiadanie tego rodzaju pieniędzy ogromnie spotęguje o s z c z ę d n o ś ć narodową, bez potrzeby uciekania się do lokowania swoich funduszów w kasach, gdyż każdy otrzymany dochód bezzwłocznie jego posiadaczowi pocznie przynosić procent.

Stopę oprocentowania tego rodzaju biletow rentowych, dla okrągłości rachunku dziennego, proponuje Cieszkowski, zgodnie zresztą z ówczesnym stanem rynku pieniężnego, na 3,65%, a bilety w odcinkach najdrobniejszych na 100 franków, — tym sposobem bilet taki za każdy dzień przynosiłby jeden centym procentu od 100 franków, a każdy posiadacz, obliczywszy sobie dni ubiegłe od daty jego emisyi wydruko-

wanéj na nim, z góry wiedziałby, ile otrzymany przy wypłacie bilet, prócz wartości kapitalnéj, już procentu w sobie mieści.

Drobniejsze od 100-frankowych obroty odbywałyby się gotówką; niższe też od téj minimalnéj wartości biletów oszczędności, pragnące być oprocentowanemi, składane-by być musiały w kasach oszczędności.

Takie bilety rentowe jednocząc w sobie korzyści kapitałów lokacyjnych i kapitałów obiegowych, łączyłyby też charakterystykę obu rodzajów gotówki: byłyby doskonałym f a n t e m, jak moneta metaliczna, i doskonałym z n a k i e m, jak moneta papiérowa.

W swoim podwójnym charakterze: środka wymiany i środka lokacyi procentowéj, bilety rentowe byłyby najdoskonalszym regulatorem obiegu i jego normalnym środkiem. W razie obfitości kapitałów na miejscu i dostatecznego zaopatrzenia niemi obiegu miejscowego, bilety rentowe chwilowo zachowałyby swoją rolę lokacyjną, gotowemi będąc do bezzwłocznego pojawienia się w cyrkulacyi, jak tylko okazałaby się r z a d k o ś ć pieniędzy, co zwykle zdarza się w pewnych stałych okresach. Z tego punktu widzenia zatém, już istnienie tego rodzaju biletów byłoby pozytywném dobrodziejstwem dla obiegu, wytwarzając dla niego rodzaj rezerwy do dyspozycyi, z a b e z p i e c z e n i e przeciwko brakowi kapitałów na miejscu, nie obciążając bynajmniéj obiegu w razach, kiedy te kapitały byłyby zbyteczne.

Tak jak deprecyacya monety metalicznéj jest n i e m o ż l i w ą faktycznie, choćby masa téj monety powiększoną została wyżéj ponad potrzeby cyrkulacyi; tak samo i deprecyacya biletów rentowych jest niemożliwą, z powodu ich zdolności pomieszczenia się napowrót w portfelu, jako papiér lokacyjny w ilości potrzebnéj dla przywrócenia równowagi. Z jednéj strony zapewniając równowagę ciągłą na rynku pieniężnym miejscowym, z drugiéj—bilety rentowe, przez samo swoje istnienie, paraliżowałyby zmienność stopy procentowéj.

Bilety rentowe są powołane do zastąpienia w obiegu wszelkich jego dotychczasowych niedoskonałych i nie na realnéj wartości opartych środków, jak: moneta papiérowa, banknoty i t. p., a po części i nadmiaru nieprodukcyjnéj, saméj przez się, monety metalicznéj, która w miarę rozwijania się wraz z postępem cywilizacyi coraz nowych wynalazków i przedsiębierstw, a zatém i potrzeby zwiększonéj sumy środków obiegowych, a ograniczonego przez wydajność kopalni dopływu nowego kruszcu, z konieczności wciąż drożéć będzie. Wprowadzenie więc biletów rentowych jako monety legalnéj bardzo energicznie wpłynęłoby na stan ogólny cen, stan ten bowiem sam regulować będzie cyrkulacyę, pociągając do obiegu w miarę potrzeby, już to

mniejszą już téż większą ilość biletów rentowych, z ich lokacyjnéj pozycyi w portfelach.

Nie twierdzi bynajmniéj Cieszkowski, aby wprowadzenie w obieg, jako monety legalnéj, biletów rentowych, choćby po dłuższym czasie wyrugowało wszelkie efekta giełdowe i monetę metaliczną. Przeciwnie, utrzymuje, że w naturze każdéj wyższéj i syntetycznéj kombinacyi leży, nie wykluczanie nigdy zupełnie jéj kombinacyi niższych, a do całości należących, lecz tylko ś c i e ś n i e n i e tychże do ich specyalnego i ograniczonego przeznaczenia. Tak np. ponieważ bilety te nie mogą posiadać odcinków drobniejszych nad pewną sumę, od któréjby renta w istniejącéj jednostce monetarnéj na dni obliczyć się pozwalała; dla monety metalicznéj i bilonu pozostanie zawsze otwarte pole tranzakcyi minimalnych, do jakiego bilety rentowe zastosować się już nie dadzą. Podobnież wszelkie papiéry publiczne, dopóki ich stopa procentowa wyższą będzie od stopy biletów rentowych, pozostaną w obiegu.

Tak wyłożywszy naturę nowoobmyślonego przez siebie środka obiegowego i jego rolę w cyrkulacyi, roztrząsa daléj Cieszkowski zastosowanie go w organizacyi kredytu i obiegu i przystosowanie do dotychczas istniejących urządzeń.

Zastanawiając się przedewszystkiém nad dotąd ostatecznie nierozstrzygniętą kwestyą polityki bankowéj, czy właściwszym i korzystniejszym dla potrzeb kredytu i obiegu jest monopol jednego banku centralnego czy wolna konkurencya banków prywatnych, — Cieszkowski, jako zasady nauki ekonomicznéj w miejsce dawnego: *laissez faire, laissez-passer* — stawia: *aidez à faire, développez, organisez* i zgodnie z temi zasadami rządom państw przyznaje prawo d y r y g o w a n i a (a l e n i e e k s p l o a t o w a n i a) kredytem i obiegiem; państwo bowiem tylko ma siłę i zdolność pomagania całemu ogółowi społeczeństwa do pracy produkcyjnéj, do jéj rozwoju i organizacyi. W konsekwencyi téż instytucyę emisyi nowego rodzaju monety papierowéj, jaką będą bilety rentowe, pragnie mieć powierzoną jednéj centralnéj instytucyi rządowéj, co nie będzie przeszkadzało wszakże obdzielaniu tąż emisyą częściowo banków prywatnych, na wzór dzisiejszych urządzeń w Stanach Zjednoczonych Ameryki, odpowiednio do złożonych instytucyi centralnéj przez te banki dostatecznych i faktycznych zabezpieczeń.

Przy téj sposobności bardzo światłe wyraża poglądy o protekcyonizmie państwowym wogóle; nie jest on jego zwolennikiem bezwzględnym, ale akceptuje go, o ile protekcya pozytywna ma na celu i umié wynaleść środki do rozwoju życia przemysłowego zamiast go nisz-

czyć — a za przykład przytacza politykę b. Banku Polskiego zastosowaną do rozpowszechnienia ulepszonych narzędzi rolniczych wśród ziemian naszych i podniesienia krajowych fabryk takich wyrobów; łatwo umarzalny kredyt, ściągany przez państwo w ratach, wraz z podatkami, oto droga właściwa protekcyi, ale nie środki zakazowe na granicy, te bowiem nigdy nie są ostatnim wyrazem rozwiązania kwestyi. Odmawiając bankom prywatnym prawa tworzenia pieniędzy, za jakie uważa nadanie im prawa emisyi banknotów, wykazuje sposoby dostarczania im tychże pieniędzy przez państwo, dla jaknajobszerniejszego przez nie eksploatowania kredytu i obiegu. Emisya monety papierowéj, jaką wedle pomysłu Cieszkowskiego, powinny być jedynie bilety rentowe, to zadanie instytucyi państwowéj, a skup wszelkiego rodzaju, to zadanie banków prywatnych, ale system bankowy powinien w każdém państwie organicznie wiązać oba rodzaje instytucyi.

Przechodząc do określenia wartości realnych, na których, jako na w pełni zabezpieczającéj podstawie, państwo oprzeć by mogło wysokość emisyi biletów rentowych, Cieszkowski za najpewniejsze wskazuje: posiadane przez państwo hypoteki dóbr ziemskich i lasów, a gdyby w którém państwie nie starczyło ich do wytworzenia dostatecznéj sumy nowych znaków obiegowych opartych na realnych wartościach, za równoznaczną z hypotekami państwowemi gwarancyę realną dla ich emisyi podaje kapitalizacyę podatku gruntowego. Podatek ten jako faktycznie odpowiedni kapitałowi hypotecznemu, który znajduje się wprawdzie w rękach prywatnych, ale mimo to przydzielony jest na potrzeby państwa, jest rzeczywiście przedstawicielem w dochodzie funduszu hypotecznego, który państwo ma prawo uruchomić, będąc posiadaczem przywileju absolutnego i niezaprzeczonego do téj części dochodu dóbr prywatnych.

Wartość dóbr państwowych i skapitalizowanie podatków gruntowych, oto są główne podstawy hypoteczne dla realnego kredytu państwa. Wszelka emisya, na tych podstawach oparta i w tych granicach utrzymana, będzie w zupełności zabezpieczoną i skonsolidowaną.

Jako warunki dodatkowe nowego rodzaju emisyi proponuje autor:

nadanie biletom rentowym na początek prawa żądania wymiany na gotówkę za kilkodniowém wypowiedzeniem; pewny jest bowiem, że gdy mniéj oświeceni i mniéj świadomi zobaczą, że kasy skarbowe przyjmują te papiery na równi z gotówką, a ludzie oświeceni będą wolčli niemi zapełnić swoją kasę, niżeli bezprocentowemi blasz-

kami metalicznemi, bilety rentowe same przez się, jako pożądańsze od monety metalicznéj, staną się pieniądzem, którego nikt wymiany żądać nie będzie;

dalėj, aby zapobiedz, iżby nigdy nie objawiła się tendencya do podniesienia kursu tych biletów pod nad równię, to jest po nad nominalną ich wartość wraz z narosłym od czasu emisyi procentem, w ustanowieniu już téj instytucyi zastrzeżone być powinno, że wolno jest rządowi, w takich razach, obniżyć od nich stopę procentową; zastrzeżenie to utrzyma je na zawsze w obiegu i nie dozwoli zczasem zamienić się w papier czysto-lokacyjny;

dla zabezpieczenia sobie rezerwy na wszelki wypadek i pozostawienia tym sposobem państwu środków do skorzystania w razie koniecznéj potrzeby z tego rodzaju pożyczki państwowéj, radzi autor, nigdy nie obciążać takim długiem pełnéj własności hypotecznéj państwa łącznie ze skapitalizowanym podatkiem gruntowym, lecz zawsze części jéj nie wprowadzać w obieg, aż w razie koniecznéj potrzeby.

Jako drogi do wprowadzenia w obieg nowego rodzaju pieniędzy podaje autor: 1) drogę konwersyi a raczéj wykupu długu publicznego, którą to drogę rozbierając szczegółowo autor po nowym obiegowym środku spodziewa się stopniowego obniżenia ciężarów państwowych i stopniowego zamienienia wszystkich wymagalnych w kapitale długów, na rentę; 2) drogę placenia nimi wszelkich przedsiębierstw: robót publicznych i użyteczności ogólnéj, co szczegółowo autor przedstawia rozbierając użycie produkcyjne i pozytywne kredytu publicznego, wreszcie 3) drogę nieustannego zasilania kredytu rolnego, przemysłowego i handlowego, wedle szczegółowéj organizacyi eskonta przez banki prywatne, pozostające w ścisłym związku organicznym z instytucyą emisyjną państwową.

Dla zapewnienia wreszcie korzyści z uruchomienia drogą biletów rentowych, własności nieruchoméj gmin całych, autor żąda: aby wypuszczone na podstawie téj własności nowe środki obiegowe służyły nie państwu, ale potrzebom tychże gmin, z obowiązkiem rozumie się dostarczania z ich dochodów procentu od sum, jakie każdéj z nich udzielone będą.

Takim jest w głównych zarysach pomysł Cieszkowskiego reorganizacyi podstaw kredytu i obiegu a lubo zaraz po jego pojawieniu się przed 55-ciu laty zjednał mu poważne stanowisko w nauce — dotąd wszakże w żadném państwie zastosowania praktycznego nie znalazł.

Oparcie to wszakże kredytu i obiegu na nowego rodzaju walucie, któréj wyrazem jest nigdy niewyczerpane przyrodzone bogactwo każ-

dego państwa, nie zaś kosmopolityczny szlachetny kruszec, którego zasoby w ziemi prędzéj czy późniéj wyczerpane być mogą a w każdym razie niezawsze dotrzymują kroku mnożącemu się zaludnieniu ziemi a z nim obrotów społecznych, mimowoli nasuwa uwagę, że pomysł Cieszkowskiego prędzéj czy późniéj może swoje urzeczywistnienie znajdzie. Przepowiadać to zdają się najnowsze objawy, jak przed kilku laty, po ostatniém wydaniu dzieła Cieszkowskiego, wyczerpujące nad nim obrady Instytutu Paryskiego i świeżo w Petersburgu wydany przekład ruski tegoż dzieła, ze zwróceniem teraz dopiéro na nie uwagi ekonomistów ruskich.

Świeże wyparcie srebra, jako równoważnika złota, z obiegu pieniężnego przez świat plutokratyczny i przewidywana skutkiem tego ogólna drożyzna w świecie, prędzéj może, niż się spodziewamy, nawróci umysły mężów stanu ku poważnemu, bądź co bądź, pomysłowi naszego ekonomisty.

Pożytecznością swéj idei zasadniczéj do końca życia przejęty Cieszkowski, jak świadczy ostatnie wydanie jego dzieła, odznaczył się jako ekonomista także niejednokrotnie wymowną obroną interesów ekonomicznych W. ks. Poznańskiego na sejmie berlińskim, że zanotuję tu tylko słyszaną przezemnie sławną jego polemikę w roku 1859 z profesorem ekonomii berlińskiego uniwersytetu a również posłem sejmowym Riedlem, przeciwko podwyższeniu podatku gruntowego we wschodnich prowincyach pruskich. I z mów jego sejmowych przez ciąg lat trzydziestu przeszło posłowania, gdyby te w jedną całość skupione zostały, zebrałaby się z pewnością nie mniéj poważna całość poglądów naukowych na sprawy ekonomiczne wogóle.

Z pomniejszych prac ekonomicznych Cieszkowskiego zanotować tu jeszcze nam wypada raport jego o organizacyi kredytu hypotecznego we Francyi, na centralnym kongresie ekonomicznym paryskim w r. 1847, w którym zgodnie z późniejszym twórcą potężnéj dzisiaj instytucyi *Crédit foncier*, Ludwikiem Wołowskim — zaprojektował pierwsze zarysy, dopiéro w r. 1852 założonéj instytucyi.

W r. 1846 ogłosił Cieszkowski w Berlinie wykład swój o polepszeniu położenia pracowników wiejskich pod tytułem: *Zur Verbesserung der Lage der Arbeiter auf dem Lande* — wygłoszony na ogólném zebraniu jednego z pruskich stowarzyszeń rolniczych w r. 1845. W wykładzie tym oprócz innych pedagogicznych i opiekuńczych środków jak: ochrony wiejskie, dbałość o zdrowie i podeszły wiek robotników ze strony wiejskich panów, zaleca Cieszkowski dopuszczenie

nie tylko oficyalistów, ale i robotników do tantjemowego udziału w zyskach gospodarstwa.

Jednocześnie prawie, bo w roku 1842/3 Cieszkowski będąc jednym ze współredaktorów „Biblioteki Warszawskiéj" drukował w niéj ekonomiczne prace: „O organizacyi handlu drzewem i przemysłu leśnego" jako téż „Uwagi nad obecnym stanem finansów angielskich."

Nie poprzestając na laurach zdobytych dziełami swemi na polu filozofii i ekonomii, młody nasz uczony, pełen oryginalnych pomysłów, ogłasza w języku francuskim traktat: „O parostwie i nowożytnéj arystokracyi" (*De la paire et de l'aristocratie moderne,* Paris 1844) dziełem tém zdobywając sobie poważne stanowisko na polu nauk społeczno-politycznych.

Wbrew utartéj przez jego poprzedników drodze, dzieło swe poświęca nie kwestyi systemu wyborczego do izby niższéj parlamentów, lecz reformie izby wyższéj. Przeciwny jest oparciu składu izby parów w państwach konstytucyjnych europejskich a mianowicie we Francyi, na zasadzie e l e k c y j n o ś c i, tak bezpośredniéj z narodu (jak to ma miejsce słusznie w Stanach Zjednoczonych Ameryki, gdzie każdy Stan posiada rodzaj autonomii wewnętrznéj i zupełnie różne warunki bytu, skąd téż i wynika potrzeba zjednoczenia się tych pojęć w jedném ciele prawodawczém), — jak i pośredniéj przez izbę deputowanych.

Izba wyższa, składająca się znowuż z dożywotników przez rząd mianowanych, przestaje być organem prawodawczym i stanowisko jéj zarówno przez rząd jak i przez naród jest lekceważone.

D z i e d z i c z n o ś ć, jako podstawa izby parów, ma za sobą wiele słusznych powodów, w Anglii np. gdzie szlachta sama stworzyła do dziś dnia obowiązującą świetną konstytucyę tamtejszą — słusznie jéj się téż prawo dziedziczności do izby lordów należy — ale tam, jak we Francyi np., gdzie się szlachta niczém nie przyczyniła do zaprowadzenia rządów konstytucyjnych, gdzie w dodatku po dwóch rewolucyach ludowych poczucie narodowe, niemi rozbudzone, niesłonne jest do zalecania dziedziczności za podstawę,—jaką przyjąć zasadę dla składu izby wyższéj, ażeby ta z całém uznaniem narodu funkcyonować mogła w charakterze odpowiedniego organu prawodawczego? — oto kwestya, któréj poświęca swą pracę Cieszkowski.

Kooptacya czyli przybieranie nowych członków, przez samąż izbę wyższą z pomiędzy ludzi wybitnych talentem i zasługą narodową, wytworzenie tym sposobem nowożytnéj arystokracyi, da narodowi organ prawodawczy, który będąc ogniskiem inteligencyi narodu, za-

pewni sobie wysokie uznanie, jakie izba parów posiadać powinna. Zasługa dla kraju, przyznana przez stanowiącą dobór korporacyę najzasłużeńszych w narodzie, oto zasada jedynie odpowiednia dla arystokracyi nowożytnéj w zdemokratyzowanych społeczeństwach obecnych. Konsekwencyą socyalną i polityczną téj nowéj zasady tego „otwarcia karyery dla talentu i zasługi" jak chciał już Napoleon, będzie, że wszelka wyższa zdolność narodowa zamiast dążyć do zajęcia bezpośrednio udziału w rządach państwa na fotelach ministeryalnych albo wynajdywać nowe idee przewrotu dla dojścia do stworzenia sobie dopiéro wybitnych pozycyi drogą rewolucyi — koncentracyę swoją znajdzie w zreformowanéj izbie parów. Rekrutując się bezustannie w samemże łonie narodu, we wszystkich jego warstwach i klasach, starając się zawsze przez wybór analogiczny i godny stanowiska o zastąpienie ubytku w swych szeregach przez śmierć sprawionego, wysilając się na niepozostawienie żadnéj faktycznéj tendencyi, żadnego interesu realnego, żadnego żywotnego elementu bez reprezentantów w swojém łonie, arystokratyczne to ciało, czerpiące swoje najszlachetniejsze składniki w masach demokratycznych, legitymować będzie swój wpływ socyalny szczerością przekonań i uwzględnianiem wszechstronności interesów i potrzeb w tejże reprezentacyi narodu.

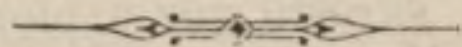
Tak udowodniwszy potrzebę i zasady nowego patryacyatu ludowego, dającego się mnożyć i rozszerzać, jedynie odpowiedniego epoce naszéj, w miejsce dawniejszego, na wyłączności praw opartego, — Cieszkowski wyraża przekonanie, że nie ma prawdziwego postępu bez zachowania tego, co było, jak nie ma prawdziwéj zachowawczości bez postępu, i wywodzi obowiązki ciążące tak na nowo przez siebie obmyślonéj arystokracyi nowożytnéj jak i na szlachcie wogóle, które streszcza w zdaniu: „szlachcic bez ambicyi zrobienia czegoś pożytecznego dla swego społeczeństwa, bez poświęcenia swego czynnego udziału w życiu tegoż, podobnie na ubolewanie zasługuje jak ksiądz znajdujący się pod interdyktem; — ale arystokrata bez prawdziwéj ambicyi jest tak niedający się pojąć i tak godny pogardy, jak ksiądz bez wiary."

Po za tém, syntetyczny nawskroś umysł Cieszkowskiego i w téj swojéj kreacyi społeczno-politycznéj, stara się dowieść syntezy obu do téj pory praktykowanych dróg formowania izby parów: dziedziczności i elekcyi.

Dr. fil. J. Br.

Tadeusz Bobrowski.

(WSPOMNIENIE POŚMIERTNE).



Urodził się d. 19 marca 1828 r. w Terechowéj, gub. Wołyńskiéj, z ojca Józefa i matki Teofili z Pilchowskich. Oddany wpierw do gimnazyum żytomierskiego, przeniesiony następnie do pierwszego kijowskiego, skończył je z patentem dojrzałości, mając lat szesnaście i wstąpił na wydział prawny uniwersytetu kijowskiego, gdzie mimo wieku, który go jeszcze do wyższych studyów nie kwalifikował, przyjęto młodzieńca dla wyjątkowych zdolności. Skończył studya w Petersburgu, otrzymawszy w r. 1848 dyplom kandydata praw i medal srebrny za rozprawę na temat: „Wykład historyi prawodawstwa ruskiego o wykupie dóbr, oraz wyjaśnienie pochodzenia tego prawodawstwa i znaczenie jego w obecnéj chwili." Pragnąc zostać profesorem, magistrował się przy świetnéj obronie dysertacyi w Petersburgu 11 grudnia 1850 r. na temat z prawa międzynarodowego: „O działaniu praw cywilnego i karnego jednego państwa w granicach drugiego", lecz śmierć ojca, opieka nad rodzeństwem i interesy majątkowe wezwały go na wieś do pow. lipowieckiego, gub. Kijowskiéj. Sześcioletni okres opieki nad interesami rodziny przerwał nić wiążącą go bezpośrednio z nauką; skierowany w ten sposób na inne tory, gdy się ożenił w roku 1857 z Józefą Lubowidzką i osiadł w Nowofastowie gub. Kijowskiéj, zaczął pełnić usługi, których odeń żądano, z gotowością człowieka rozumiejącego obowiązki społeczne. Jako ważniejsze, zaliczamy udział w delegacyi do komitetu kijowskiego gubernialnego, urządzającego byt włościan, następnie w komisyi z delegatów trzech południo-

wo-zachodnich gubernii złożonéj, dla wypracowania ogólnego projektu uwłaszczenia włościan. W obu wzmiankowanych instytucyach odznaczył się najprzód praktycznem pojmowaniem sprawy, któréj za jedyne dobre rozwiązanie uważał uwłaszczenie z uwzględnieniem interesów stron obu, do czego projekt wypracował; następnie, jako człowiek nauki opiérający swoją teoryę na powadze historyi stosunków prawnych i społecznych. Łatwość i jasność wymowy oraz pióra dopomogły mu przeprowadzić wiele ze swoich poglądów, a treść rozpraw komitetowych opisał podobno w pamiętnikach.

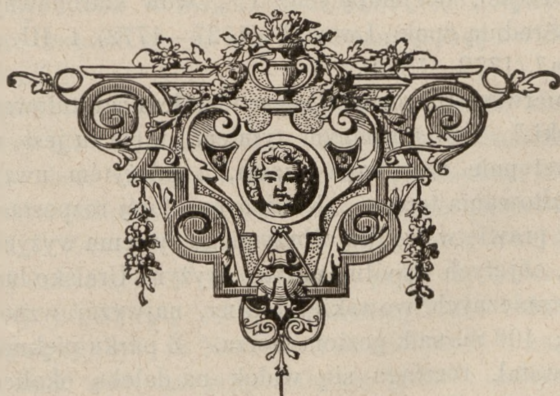
Wróciwszy na wieś, zajął się przeprowadzeniem kwestyi włościańskiéj w swoim majątku i udzielał pod tym względem zbawiennych wskazówek sąsiadom; wkrótce nadarzyła się nowa sposobność, przy któréj zdolności Bobrowskiego ujawniły się i na polu teoryi ekonomicznych, mianowicie przy poruszonym projekcie Towarzystw rolniczego i kredytowego. Utworzenie ich nie doszło wprawdzie do skutku i nie wiemy, czy swoje poglądy skreślił gdzie piórem w owym czasie, ale jego zapatrywania na kredyt ziemiański zostały skrystalizowane następnie w r. 1873 w broszurze, którą napisał p. t. „Statut kijowskiego ziemskiego banku—Rozbiór krytyczny.” W niéj przedstawia przedewszystkiém treść statutu tego prywatnego przedsiębiorstwa i wykazuje o ile mniéj dobrze taka forma odpowiada formie kredytu ziemiańskiego, na wzajemności opartéj, uważając tę ostatnią za jedynie dogodną dla stron obu, t. j. pożyczającéj swe kapitały przedsiębiorstwu i zastawiającéj majątki—zaś prywatne stowarzyszenia dla ziemskiego kredytu z konkretnym powyższym statutem uważa jak zwykłego aferzystę, wyzyskującego potrzeby rolnictwa. Jeśli uwzględnimy, że Bobrowski był z siebie i żony człowiekiem majętnym, nie potrzebującym kredytu, że sam posiadał kapitał, który mógł łatwo użyć na nabycie akcyi powstającego przedsiębiorstwa, które obiecywało wielkie zyski, musimy przyznać, że, pisząc swoją broszurę, działał z pominięciem własnych, prawdopodobnych korzyści materyalnych. Nie uznawszy raz zasad statutu, nie został akcyonaryuszem banku ziemskiego.

Dbałość o dobro społeczne, dla którego zawsze był gotów poświęcić czas i zdolności, ujawniała się niejednokrotnie, gdy nigdy nikomu nie odmówił swych usług, bądź jako sędzia polubowny, wykonawca woli ostatniéj, opiekun licznych pupilów, bądź wreszcie jako powiernik lub doradca w sprawach dorywczych, przyczém w poradach zawsze łączył zasady prawa materyalnego z zasadami czystego jak kryształ sumienia, a trafność poglądów z prawdomówną, nie krępowaną żadnemi względami, lecz miarkowaną dobrém wychowaniem — swadą.

Kwestya szlachty czynszowéj znalazła w nim oznajomionego z historyczną jéj stroną publicystę, który swój memoryał o sposobie urządzenia bytu dotyczasowych czynszowników, przedstawił senatorowi Połowcewowi w r. 1880 w Kijowie.

Ostatnie lat dziesięć pełnił obowiązki honorowego sędziego pokoju. Znajomość ludzi, trafna ich ocena, znakomita pamięć i przyjemność, z jaką się dzielił zdobyczami wiedzy i doświadczenia sprawiały, że towarzystwo jego było poszukiwane i cenione, a żywość uczuć i pewien zapał do wszystkiego, co wzniosłe, uchroniły jego charakter od zgorzknienia wobec szeregu ciosów, które go dotykały, chociaż były one takie, jakie ludzi zwykłéj miary bardzo zmieniają w usposobieniach: w ciągu lat niewielu stracił wszystkich, z którymi go łączyły węzły krwi i serca. Najprzód młodą żonę, następnie matkę, jedyne, prawie już dorosłe dziecko, całe rodzeństwo, przyjaciół młodości—tak, że pod koniec życia pozostał sam, zbolały, lecz nie poddany boleści. Dla dzieci, rodzeństwa i rodziny żony był najlepszym krewnym, a synowi siostry zastąpił rodziców, posuwając bezinteresowność uczuć dla niego do tego stopnia, że go widywał rzadko i na krótko, skoro tego przyszłość młodego człowieka wymagała.

Umarł w swym majątku, Kazimierówce, 29 stycznia r. b. prawie nagle, oczekując jednak od lat kilku téj śmierci, która się chorobą serca zapowiadała.



ROZBIORY I SPRAWOZDANIA.

Dr. Fryderyk Papée: Historya Lwowa; 1894 r.

W szeregu licznie pojawiających się obecnie monografii miast i miasteczek, spotykamy częstokroć nazwisko autora D-ra Fryderyka Papéego, który zarówno na tém polu naszéj historyografii, jak i na innych nie małe położył już zasługi. Obecna jego monografia, t. j. „Historya Lwowa,” staje godnie obok poprzednich, mimo iż w myśl intencyi pisarza posiada ona charakter więcéj jeszcze popularnéj książki, aniżeli ściśle naukowéj rozprawy. Podjęta na szersze rozmiary, składa się historya stołecznego grodu Galicyi z 3-ch właściwie samoistnych części, obejmujących: I. „Lwów starodawny” (1250—1527); II. „Średnią epokę Lwowa” (1527—1772) i III. „Najnowszą epokę Lwowa” (1772—1892).

Część pierwsza rozpoczyna się rozdziałem zatytułowanym: „Krajobraz lwowski.” Pod skromnym tytułem, ujęta tu jest nader szczęśliwie i przystępnie topografia miasta, z należytém uwzględnieniem całego ukształtowania terenu. Kotlina na któréj rozpostarł się Lwów, położoną jest prawie w środku olbrzymiego systemu wyżyn wschodnio-europejskich, objętych wspólną nazwą „wyżyny Uralsko-luneburskiéj.” Ze wzgórz granicznych lwowskiéj kotliny, najwyżéj wznosi się „Wysoki Zamek”; 400 m. nad poziom morza. Z parku pięknego, jaki na téj górze powstał, rozciąga się widok na daleką okolicę, bo aż po Karpaty. Hydrograficznie, tworzy kotlina lwowska zbiorowisko kilku stawków i rzeczek małych, wpadających przeważnie do Pełtwi, dopływu Bugu. Jest to więc wschodni początek dorzecza Wisły, a ledwie na krańcach kotliny rozpoczynają się potoki, dążące do Dnie-

stru. Położenie kotlinowe Lwowa, bez znaczniejszéj rzeki, sprawia, że klimat miasta jest cieplejszy niż w okolicy. Przed wiekami cała ta kotlina była lesistą i na krańcach swych moczarowatą, stanowiąc skutkiem tego naturalne miejsce obronne, w czasie kiedy okolice te tworzyły ziemię graniczną, w zaraniu średniowiecza i późniéj, kiedy trzeba było chronić się przed napadami Tatarów. W téj naturalnéj obronności Lwowa, leży téż i źródło jego powstania.

Jakoż książę Daniel, mający zawsze baczną uwagę zwróconą w stronę tatarską, zbudował tu około r. 1250 gród i oddał go synowi swemu Lwowi, skąd nazwa Lwów. Gród, w którym Lew lubił przebywać, stał się zawiązkiem pierwszéj osady na miejscu, gdzie dziś znajduje się dzielnica żółkiewska. Początkowo osada ta była właściwie wielką wsią, a jedynie kilka cerkwi i parafia łacińska dominikanów nadawały jéj pozory miasta. Z biegiem czasów, ściągnęli tutaj liczni osadnicy niemieccy, którzy rozbudzili pierwszy ruch przemysłowy i handlowy, uzyskując zarazem szczupły samorząd z wójtem na czele.

P. Papée zapomniał prawdopodobnie zaznaczyć, że ten rusko-niemiecki Lwów najdawniejszy doszedł wprawdzie do znaczenia grodu, warownego, że jednak nigdy nie był stałą rezydencyą kniaziów Daniłowiczów, za co go niektórzy do dziś dnia jeszcze uważają. Daniel rezydował w innym grodzie, Lew zaś, co prawda, chętnie i często przemieszkiwał we Lwowie, następcy jego jednak przenieśli się znów gdzieindziéj, a mianowicie do Włodzimierza wołyńskiego, gdzie także rezydował ostatni kniaź „Małéj Rusi" Jerzy II-gi Bolesław Trojdenowicz. Nie był Lwów w owym czasie nawet siedzibą biskupa, a jedynie Ormianie uważali go za swą kościelną stolicę i władyków swych tutaj wybierali.

Początek Lwowa, jako *par excellence* miasta stołecznego tych okolic, należy nie do Daniłowiczów, ale już do Kazimierza W-go. Wybudował on obok starego t. zw. wyższego zamku, „zamek niższy," umocnił mury i palisady, wreszcie osadził tutaj „generalnego starostę ziemi ruskiéj." Znaczyło to, że Lwów stał się rezydencyą namiestnika, stolicą całéj dzielnicy. W utworzonym przez się stołecznym grodzie nowo nabytéj prowincyi, znalazł znakomity Piast ludność nader mieszaną. Najwięcéj było tu Niemców i ci mieli swój t. zw. magdeburski samorząd, obok nich zaś grupowała się ludność miejscowa rdzenna a także Polacy, Ormianie, Żydzi, Tatarzy i inni. „Budowniczy miast" — król Kazimierz — rozszerzył r. 1356 samorząd magdeburski Niemców na całe miasto, i zapewnił w granicach téj autonomii, odrębne prawa wyznaniowe każdemu, nie wyłączając nawet Tatarów. Sa-

morząd miasta, na szeroką skalę zakreślony i tolerancya wyznaniowa, wreszcie tyle naówczas ważne „prawo składu towarów" — oto silne podwaliny przyszłego wzrostu miasta. Nie ograniczył się na tém Kazimierz i już za jego rządów rezydują tutaj ruscy metropolici haliccy, obok których przemieszkują także łacińscy arcybiskupi haliccy. Polityczna i kościelna stolica ziemi, obdarzona szerokim samorządem, co więcéj łanami w sąsiedniéj okolicy, młynami i t. p., wdzięczną była zawsze Kazimierzowi, czego ślady przechowały się u najstarszego historyka Lwowa, Zimorowicza. Szczęściem było dla Lwowa, że po śmierci Kazimierza W. nie przestał być miastem, na które zwracał rząd szczególniejszą uwagę. Władysław ks. Opolski, podniósł nadaniami bogactwo miasta, a następnie Lwów zogniskował w sobie handel między Wschodem i Zachodem, w skutek czego dochodzi on i do nadzwyczajnego rozkwitu. Równocześnie z tém wytwarza się nieustępujące w znaczeniu i bogactwie mieszczaństwu miast zachodnich, samoistne cechowe mieszczaństwo lwowskie, z którém nawet szlachta zawiera sojusze i ugody na równych warunkach. Zagarnięcie krajów półwyspu Bałkańskiego przez Turków, a kolonii genueńskich nad m. Czarnem przez Tatarów, utrudniło handel Lwowa ze Wschodem i w tém leży główna przyczyna upadku tegoż za ostatnich Jagielonów, do czego także nie mało przyczynił się pożar miasta w r. 1527.

Z gruzów i popiołów wznosi się w końcu XVI-go w. Lwów nowy, murowany, w którym potomkowie niemieckich osadników zleli się z ludnością krajową. Podobną ewolucyą widzimy i wśród Ormian. Powoli uspokajają się także kresy wschodnie, co znów przyczynia się do nowego rozkwitu Lwowa w pierwszéj połowie XVII-go w. Jakoż ukazują się całe rodziny patrycyuszowskie miejskie, jako to: Szolców, Wolfowiczów, Alempeków, Kampianów, Boimów, Schafenbergów i t. d. wyrywają one rządy miejskie z rąk drobnego mieszczaństwa prawie zupełnie na własną korzyść, i przez długi czas umieją utrzymywać ład w mieście i stawiają czoło wybrykom szlachty. Lwów się zabudowuje, rozszerza, w około zaś powstają rozliczne przedmieścia, które jednak napróżno dążą do połączenia się z miastem, by korzystać z jego przywilejów. Epoka wojen kozackich i szwedzkich w końcu XVII w. niszczy powtórnie dobrobyt miasta. Przemysł i handel upadają, jak nigdy przedtém, a kapitały przechodzą drogą okupu do hanów tatarskich i Szwedów. Dzielność Lwowian świeci wówczas najpiękniejszemi wzorami, za co król Jan Kazimierz nadał miastu prawa szlacheckie. Był to już jednak ostatni przywilej miasta, który *de facto* nie wszedł nawet w życie, bo nastały właśnie czasy rozhukanych rządów szlacheckich, zalewających wszystko naokół i doprowadzających

do katastrofy. Jakoż i cechy lwowskie „poddano pod nadzór starosty,” a jak nas daléj monografia poucza, „zamknięto granice dla wywozu towarów krajowych, a otwarto dla przywozu obcych” i t. p. Polityka ekonomiczna szlachty, któréj próbkę podaliśmy właśnie, nie mogła oczywiście nawet najbardziéj uprzywilejowanych miast postawić na wyżynie rozwoju ówczesnego; a w czasie kiedy na Zachodzie rozwój ten stwarzał już szeroki prąd liberalny, Lwów podupadł nadzwyczaj i stał się areną wybryków i zabaw szlacheckich.

Z przejściem miasta w r. 1772 pod panowanie austryackie, rozpoczęły się rządy urzędników niemieckich — germanizacya w życiu prywatném i publiczném, przerwana chwilowo tylko podczas kampanii r. 1809-go. Cesarz Józef II-gi potwierdził część rozległych przywilejów lwowskich, ale o wykonywaniu udzielonego samorządu, długi czas nie było prawie mowy. Biurokracya uciska w równéj mierze miasto jak i ekonomiczna przewaga centralizmu wiedeńskiego. Złoty sen r. 1848 skończył się przebudzeniem na gruzach zbombardowanego przez wojsko austryackie miasta; ale i to minęło i Lwów z czasem zyskuje nowy, szeroki samorząd. Ekonomicznie podniosło się miasto, jako stolica wielkiéj prowincyi Austro-Węgierskiéj, rozwój ten jednak — niech nam wolno będzie dodać od siebie — nie wyszedł jeszcze z powijaków drobnomieszczańskich. Zakładów fabrycznych jest tu do dziś dnia bardzo mało, bo w parze z upadkiem biurokracyi nie poszedł niestety i zanik ekonomicznéj przewagi Wiednia, uciskającéj dziś Lwów nie o wiele mniéj, jak przed laty kilkudziesięciu.

Karol J. Nitman.

Victor Delbos. „Le problème moral dans la philosophie de Spinoza et dans l'histoire du Spinozisme.“ Paris, Alcan 1893, str. XII, 565. — Maurice Blondell. „L'Action. Essai d'une critique de la vie et d'une science de la pratique.“ Paris, Alcan 1893, str. XXV, 492.

Niezadowolenie z łatwych rozwiązań zagadnień praktycznych, które podawał panujący w ciągu kilku ostatnich dziesiątków lat utylitaryzm, objawia się w licznych usiłowaniach myśli, skierowanych ku badaniom z zakresu filozofii moralnéj lub lepiéj — filozofii czynu. Jednym z objawów tych usiłowań są dwa grube tomy, których tytuły wymieniłem. W pierwszym mamy odłam historyi problematu moralnego; w drugim próbę metafizyki i filozofii czynu, wysnutą o ile możności, niezależnie od naprzód powziętych pewników.

Wychodząc z tego założenia, że najlepiéj poznać i ocenić można pewną doktrynę wtedy, gdy nie ograniczając się do dzieł twórcy, śledzimy jéj przekształcenia i wysnute z niéj konsekwencye w systematach następców, Delbos dzieli pracę swoję na dwie części. Pierwsza poświęcona jest Spinozie, druga spinozystom, t. j. tym wszystkim pisarzom, na dziełach których odbił się wpływ Spinozy, lub tym, których poglądy są odbiciem ducha jego doktryny. Znajdujemy więc w pierwszéj części analizę nauki Spinozy o metafizycznych podstawach moralności, o rozróżnieniu dobrego i złego, o naturze człowieka i jego życiu moralném jako jednostki i jako społeczeństwa. W drugiéj — przegląd nauki wybitniejszych pisarzy filozoficznych i nieściśle filozoficznych niemieckich, na których w mniejszym lub większym stopniu odbił się wpływ Spinozy; w Anglii bowiem nauka jego nie znalazła wcale posłuchu, we Francyi zajęto się nim dopiéro w najnowszych czasach (Taine). Przechodzą więc tu przed nami Leibniz, Lessing, Herder, Schiller i Göthe, Novalis, Schlegel ze szkołą romantyczną, Schleiermacher, Schelling, Hegel.

Najjaskrawszą przeciwstawnością nauki etycznéj Spinozy jest teorya obowiązku Kanta. Dla Spinozy cnota polega na miłości intelektualnéj Boga; doktryna spinozystów usuwa z moralności wszystko co jest przymusowe, rozkazujące, ograniczające, sprowadzając ją do metafizyki życia, dyalektyki bytu, racyonalnéj intuicyi.

„Zadanie człowieka (według Spinozy) polega na przyswojeniu sobie przy pomocy rozumu, tego, co jest celem jego miłości, to jest Istoty wiecznéj i nieskończonéj. Jak rozum jest wewnątrz naszéj istoty, tak przedmiot rozumu jest w nim samym. Istnieje więc tożsamość co do istoty pomiędzy naszym bytem, a bytem boskim w miłości doskonałéj, która świadoma jest siebie i posiada siebie jako prawdę. Można więc rzec, że miłość ta jest nieomylną miarą wartości naszych pragnień. Nie wszystko było błędne w tych dobrach, które pociągały nas ku sobie [1]); były one przemijające i niebezpieczne jedynie dla tego, że występowały jako ostateczne i skończone w sobie cele; stają się trwałemi i dobroczynnemi skoro zostają tylko środkami, których wartość ocenia się według tego, co jest naszym jedynym i prawdziwym celem. Wszystkie nasze pragnienia są dobre, gdy odnoszą się do Boga a przedmioty ich są pewne, gdy zasadę swoję mają w Bogu.

---

[1]) Mowa tu o zwykłych dobrach pociągających ku sobie człowieka, jak bogactwo, sława i t. d. Ob. następujący odsyłacz.

Bóg jest dobrém naszych dóbr, Radością naszych radości, Istotą naszéj istoty." [1]). (Str. 19).

Dla Kanta, opierającego swoją etykę na rozkaźniku bezwarunkowym i na poczuciu obowiązku, wszystko, co jest wynikiem pociągu i skłonności, przestaje być moralném. A jednak spinozyzm był tak w duchu filozofii niemieckiéj, że już u Fichtego daje się widzieć energiczny zwrot przeciw doktrynie obowiązku.

„Jak Spinoza usiłował uwolnić ludzkość od poczucia prawa moralnego naiwnie stworzonego przez świadomość ogółu, tak Fichte w ostatniéj filozofii swojéj stara się wykroczyć po za pojęcie rozkaźnika wprowadzonego przez Kanta, ażeby przywrócić żywą samorzutność umysłu w harmonii jego czynności i w jedności jego zasady." (Str. 272).

To téż spinozyzm, wprowadzony i spopularyzowany przed Kantem przez Lessinga, rozwija się i szerzy w literaturze niemieckiéj po Kancie. Herder formułuje go w dziesięciu twierdzeniach, a w rzuconych przez niego myślach tkwią zawiązki doktryn Schleiermachera, Schellinga i Hegla. Schiller krytykuje suchość nauki Kanta i jedna godność etyczną z urokiem estetycznym, w sztuce widząc wychowawczynią moralną ludzkości. Göthe przejmuje się ideą Spinozy i odzwierciadla ją w życiu i w kreacyach poetycznych. Rozwijają ją daléj Novalis i Schlegel, który przenosi na jaźń empiryczną to, co u Fichtego stosowało się tylko do jaźni bezwzględnéj, przez co dochodzi do usprawiedliwienia upodobań i kaprysów osobistych — skąd, jako wynik krańcowy, „cynizm" objawiający się w jego Lucyndzie. Schleiermacher, dostrzegając punkta wspólne w metafizyce Spinozy i Kanta, korzysta z nich, aby zlać syntetycznie ich poglądy w etyce swojéj, wygłaszając tożsamość obowiązku i bytu. Moralność dla niego jest „nieustającém i nieskończoném oddziaływaniem rozumu na naturę," czyli innemi słowy, wciąż postępującym lecz zawsze niedosko-

---

[1]) Bardzo trafne wytłumaczenie pesymizmu daje Spinoza („De intellectus emendatione").

Mamy pewność niezaprzeczoną, że pragniemy nieskończonego szczęścia. W jakiż sposób ta dążność zostaje w nas tak stłumiona, że w końcu czujemy boleśnie niepewność wszelkiego dobra?

Bo ją źle stosujemy: dajemy się uwieść rzeczami, które ją rozpraszają i prowadzą na manowce. Ludzie mieszczą na pierwszym planie bogactwa, sławę, roskosz. Urok, który wywierają na nas te przedmioty, jest nieskończenie wyższy niż ich wartość rzeczywista, a przemijająca radość, którą nam sprawiają zamienia się rychło w zawód i nędzę.

nałém uprzyrodnieniem rozumu. Wreszcie Schelling odbudowuje w całości etykę Spinozy, a Hegel daje jéj rozwój dyalektyczny, wszechstronny i wyczerpujący.

W końcowym rozdziale poddaje autor krytycznéj ocenie zasadniczą ideę spinozyzmu, który jak widzieliśmy, pojmuje bardzo szeroko. Roztrząsanie to doprowadza do sformułowania zagadnienia, które już wyjaśniły dzieje téj doktryny. „Starcie pomiędzy spinozyzmem a krytycyzmem w Niemczech dokładnie je sformułowało: Prawda bezwzględna według Spinozy wymaga, aby była bezwzględną, aby wszystko było tylko przez nią i nie inaczéj jak przez nią: możemy więc być jedynie sposobami *(modi)* czyli objawami Prawdy. Prawda bezwzględna według krytycyzmu jest nieprzyjaciółką prawdy ludzkiéj, a ponieważ ta ostatnia jest jedyną dla nas dostępną, powinniśmy ją uważać za nasz ideał kierowniczy. Jest to właśnie cechą prawdy ludzkiéj, że ona nie j e s t we właściwém znaczeniu wyrazu, lecz powinna się s t a w a ć i być, a w ten sposób usprawiedliwia wszystkie prawa woli. W gruncie rzeczy obie doktryny przeciwne określają tylko sprzeczne z pozoru dane zadania: jaki stosunek pomiędzy tém, co j e s t bezwzględnie, a pomiędzy tém, co powinno być dla nas i przez nas." (Str. 564—565).

Idzie tu o stosunek ideału do rzeczywistości, nie téj rzeczywistości jaką znamy w świecie zmysłowym, ale owéj prawdziwéj i bezwzględnéj — ideału wiedzy i filozofii. „Prawdą jest że nasza istota doczesna tłumaczy się przez naszą istotę wieczną, mówi gdzieindziéj Delbos, ale przejście od pierwszéj do świadomości drugiéj, nie jest tak proste jak wyobrażał sobie Spinoza" (553). Tę złożoność przejścia wytłumaczyła Krytyka Kanta.

Dzieło p. Blondela jest próbą całkowitéj filozofii czynu: w jego psychologicznych i metafizycznych podstawach, w jego związku z moralnością, religią i społeczeństwem, innemi słowy próba założenia podwalin filozofii życia. Praca ta jest nazbyt odrębna, aby ją można było scharakteryzować krótko zaliczeniem stanowiska autora do jakiéjkolwiek znanéj szkoły lub zestawieniem z jakąkolwiek doktryną kursującą, nazbyt zaś szeroki obejmuje zakres, aby można było poddać ją rozbiorowi w krótkiém sprawozdaniu. Ograniczamy się więc do wytknięcia celu autora i do pobieżnego zaznaczenia treści.

„Czy życie ludzkie ma jakiś sens, czy człowiek ma jakie przeznaczenie? Oto pytanie, na które odpowiedzieć powinna „nauka czy-

nu." Zadanie to nieuniknione i rozwiązuje się tak lub inaczéj przez życie praktyczne. Ale nauka czynu musi być kompletną, musi wyczerpywać zagadnienie bytu, życie bowiem nie czeka na roztrząsania wątpliwości teoryi. „Wszelkie prawidło życiowe, osnute wyłącznie na teoryi filozoficznéj i na zasadach oderwanych, było by zbyt pośpiesznem: nie mogę powstrzymywać postępowania, dopóki nie ukaże się oczywistość, wszelka zaś oczywistość ukazująca się umysłowi, jest częściowa. Czysta wiadomość nie wystarcza, jako pobudka do czynu, gdyż nie ogarnia nas całkowicie: w każdym czynie jest akt wiary." (Str. IX).

Prócz tego — jeśli ma być nauką — powinna w wynikach swoich być dla wszystkich jednakowo przekonywającą i obowiązującą; powinna wznieść się ponad podmiotowość opinii lub przekonania. W głębi zuchwałych przeczeń i najbardziéj szalonych wybryków woli należy odszukać — jeśli ona istnieje — ową pobudkę pierwotną, wiecznie trwającą, którą kochamy i któréj pragniemy nawet wtedy, gdy ją zaprzeczamy lub gdy jéj nadużywamy." (Str. XX).

Przytém ażeby zadanie było naukowo traktowane, nie powinniśmy przyjmować żadnéj danéj intelektualnéj, żadnego wymagalnika moralnego. Nie może być przyjęte za punkt wyjścia nawet twierdzenie, że „nic nie ma," gdyż było by to już dane zewnętrzne, jakby ustępstwo ujarzmiające.“ (Str. XXV).

Z takiemi wymaganiami od siebie przystępuje autor do zadania a w spełnieniu jego szedł drogą zupełnie samodzielną: w całéj książce nie ma prawie ani jednéj cytaty [1]); autor nie powołuje się na żadne poprzednie próby chociażby częściowe, dotyczące jego problematu, tak jak gdyby go nigdy nie stawiano. Wyznać téż należy, że w téj rozciągłości, jak u Blondela, nie był istotnie postawiony przez nikogo.

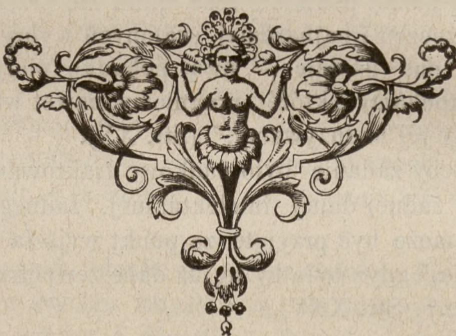
Z pięciu części, na które dzieli się książka, dwie pierwsze dotyczą postawienia zagadnienia (czy istnieje problemat czynu? Czy jego

---

[1]) Jedyna zdaje się jest z św. Bernarda. Autor jednak jest zupełnie obeznany z wynikami wiedzy ścisłéj i filozofii współczesnéj. Sądząc z niektórych wyrażeń i z całego charakteru przedsięwzięcia, Blondel miał na myśli stworzenie dla czynu tego, czém jest dla zakresu myśli krytyka i postępował tą samą drogą analizy i metodycznego rozmyślania. Nawet i co do celu znajdujemy pewne podobieństwo: jak Kant przez krytykę poznania i zakreślenia mu granic usiłował uprawnić ideały i wierzenia ludzkości, tak autor francuski stara się je uzasadnić przez filozofią czynu.

rozwiązanie jest ujemne?). Trzecia rozpatruje czyn jako zjawisko, przebiegając w analizie psychologicznéj i filozoficznéj pięć stopni jego rozwoju: 1) od intuicyi zmysłowéj do wiedzy podmiotowéj; 2) od progu świadomości do objawu woli [1]); 3) od zamierzonego wysiłku do pierwszego zewnętrznego objawienia się czynu; 4) od czynu osobnikowego do czynu społecznego; 5) od czynu społecznego do religijnego. Czwarta zajmuje się istotą konieczną czynu, piąta jego zakończeniem.

Wł. M. Kozłowski.



[1]) W téj części znajdujemy roztrząsanie kwestyi wolności woli i przedstawienie, wjaki sposób wolność sprowadza z konieczności pozór determinizmu.

NOWOŚCI NAUKOWE I LITERACKIE.

— *Marya Komornicka.* **Szkice.** Warszawa, W. Obuchowski, 1894, str. 202. — Niezadowolenie z obecnéj formy utworów powieściowych nie od dzisiaj się datuje, nawet w naszéj literaturze. Jeszcze w r. 1854 Kraszewski, znudzony licznemi przejawami naśladownictwa, jakie w ówczesnym powieściopisarstwie naszém dostrzegał, zapowiadał konieczność zmiany i wieszczył, że przyszłość wyrobi sobie nowe kształty literackie, odpowiedniejsze swoim potrzebom i pragnieniom. Ani on sam jednak, ani téż nikt inny nie dokonał owéj upragnionéj reformy; postarano się jedynie o większą prawdę spostrzeżeń, o głębsze wniknięcie w objawy ducha, o szczersze i naturalniejsze wyrażenie uczuć. Realizm, a następnie naturalizm zapanował w powieści. W najnowszych czasach przeciwko temu wszechwładztwu podniosły się protesty; podmiotowość uważając się za uciśnioną, zapragnęła wyparować z zajętego stanowiska obiektywizm, posługując się argumentem zaczerpniętym z saméjże filozofii pozytywnéj, że jedynie znamy naprawdę tylko nasze wrażenia, odbiérane czy to przedmiotów zewnętrznych, czy téż od własnéj duszy naszéj, same zaś przedmioty rzeczywiste są dla nas niedostępne. Symboliści w Belgii i we Francyi, skandynawscy powieściopisarze na północy starali się ten nowy prąd duchowy w utworach swoich wyrazić; znaleźli zwolenników, nawet zapalonych, ale pociągnąć ku sobie większych mas, choćby nawet najwyższéj inteligencyi tylko, nie potrafili; nie ma pomiędzy nimi geniusza, któryby dążnościom nowym dał potęgę wpływu na liczne umysły. Nie zakłopotano się tém bardzo, owszem, odświeżono ku własnéj pociesze dawny aforyzm o arystokracyi sztuki i zadowolono się, tymczasowo naturalnie, szczupłą liczbą wyznawców. U nas najwymowniéj i najgoręcéj, widocznie z głębi poczucia i przekonania, przemówiła młoda au-

torka, p. Marya Komornicka, któréj pierwszy zbiorek utworów w książkowéj szacie niedawno się ukazał. We wstępie do swych „Szkiców" pomieściła ona swoje wyznanie wiary literackiéj, mającéj być antytezą realizmu, i wychodząc z zupełnie słusznéj zasady, że każdy rodzaj uczucia, każdy oryginalny przejaw twórczości ludzkiéj musi z sobą przynosić własną, sobie właściwą formę, starała się nakreślić treść i kształty przyszłéj zreformowanéj w duchu podmiotowym literatury. Autorki nie zadawalnia obecna powieść psychologiczna, gdyż „jéj psychologia jest tylko zwróceniem drobiazgowéj pracy spostrzegania nawewnątrz, wnoszącém do fantastycznych (?) głębin ludzkiéj istoty metodę realistyczną ze wszystkiemi jéj nałogami: z ścisłością notowania scenery i, ze zrównaniem wszystkich szczegółów, i dlatego robi ona wrażenie mieszaniny śmieci i klejnotów, nie dając nam śmiałéj syntezy przedmiotu." Zadaniem zaś powieści psychologicznéj jest, według p. K., „przedstawienie świata w subiektywném żywém oświetleniu odrębnych dusz". Nie spostrzegła się, że temu wymaganiu czyni nieświadomie każdy poeta, bo każdy z nich, nie wyłączając ani najlichszych, ani najgenialniejszych, przedstawia świat w odrębném oświetleniu własnéj duszy. Jeżeli zaś chodzi o twórczość świadomą, to również nie brak w powieściopisarstwie europejskiém przedstawienia świata w oświetleniu duszy dziecka, kobiéty, artysty, uczonego, mieszczucha, wieśniaka i t. d. Nie o to więc właściwie chodzi, ale o „oryginalne", „wyższe" oświetlanie objawów życia przez jednostki prawdziwie utalentowane. Idzie, jak mówi autorka w inném miejscu, o zrzucenie przewagi t. zw. „obiektywności", o ponowne uprawnienie marzeń wyobraźni, bujań uczuciowości, o „odtworzenie potężnéj i wstrząsającéj symfonii duchowego życia." P. K. nie wyklucza bynajmniéj logiki i trzeźwéj analizy z téj symfonii, zdaje się jednak, że główny nacisk chce położyć na „paradoksy myśli i uczuć, na obłędy „podnieceń" i „gorących halucynacyi", na „kult potęgi subiektywnéj". Co do nastroju, autorka z góry zapowiada, że nowa faza literatury będzie „smutna, negatywna i zrozpaczona", że będzie wyznawczynią „filozoficznego pesymizmu", czego jéj za złe brać nie pozwala z tego względu, iż „ból i negacya zaznaczyły się w literaturze świata najwspanialszemi utworami ducha ludzkiego." Co do formy p. K., potępiając gawędziarstwo i rozwlekłość dotychczasowéj powieści, twierdzi, iż była ona „literaturą tłumów i zaraziła się ich pospolitością", że zatém dla „umysłów szerszych, wyższych" jest ona nieodpowiednia. „Powieścią posługiwać się nie będą geniusze przyszłego okresu" — powiada ona—kształt ich dzieł będzie ruchomy, fantastyczny, różnorod-

ny i giętki, nie będzie gawędą, ale raczéj śmiałym, szerokim szkicem." W określeniach tych widzimy mglistość przeczuwanéj zaledwie, ale nie jasno widzianéj fazy przyszłości literatury; o mgławicach takich trudno rozprawiać, potrzeba je tylko poczytać za zarodek przyszłych wyraźniejszych kształtów, za wyraz pragnienia zmiany. Zajęliśmy się obszernie wstępem, bo on najwięcéj pobudza do myślenia; szkice zaś same zastanawiają głównie pod względem stylowym, są kreślone namiętnie, gorączkowo, obfitują w świetne błyski wyobraźni, w niespodziane zestawienia, w paradoksy i świadczą wybornie o niepospolitém uzdolnieniu pisarskiém. Treść natomiast zawodzi oczekiwanie; jest dziwnie jednostajna, obraca się jakby w zaklętém kole: cierpienie, ból, rozpacz, obłąkanie, posucha serca lub jego nadwrażliwość — oto jedyne motywa, które na 200-tu stronicach rozwijane widzimy. Streszczać tych szkiców niepodobna, bo one, zgodnie z programem, nie zawierają prawie wcale wypadków zewnętrznych, stosunków pomiędzy osobami, a nawet stopniowych przejść ducha; są jakby niekończącą się nigdy, wzburzoną falą głębokiego rozstroju wewnętrznego, który jedyne uspokojenie znajduje w nicości, w nirwanie. Kobiéty i mężczyźni—to histeryczki i histerycy z nadmiernie pobudzonym systemem nerwowym, z wyolbrzymioną wrażliwością, niezdolni do czynu, pogrążeni w apatyi lub chwilowéj a gorączkowéj działalności; wygórowany egoizm znamionuje te wszystkie postaci, jakie znajdujemy w szkicach: „Z fantazyi realnych", „Nirwana", „Z życia nędzarza", „Staszka". Nie wątpimy, że doświadczenie życia napełni bogatszą treścią umysł autorki, władającéj już teraz stylem silnie wyrobionym.

= *S. Graybner*. **Mamin synek**. Powieść oryginalna w trzech częściach. Lwów-Warszawa, 1894, str. 409. — Autor, który w przeciągu lat trzech, potrafił swemi utworami dramatycznemi („Fredzio", „Jerzy", „Irena") pozyskać i rozgłos i stanowisko w literaturze, pisząc powieść, z dramatycznego przeważnie traktuje ją punktu widzenia: nie chodzi mu bowiem o rozwój duszy osób przedstawionych, ale o kolizye wynikające ze stosunków pomiędzy niemi. Prawdziwy powieściopisarz, wziąwszy pod uwagę taki temat, jak rozpieszczone, niepraktyczne wychowanie, starałby się stopniowo odmalować skutki jego w kolejnych zetknięciach się towarzyskich jednostki w ten sposób w życiu upośledzonéj. P. Graybner z samego jedynie początku, w kilku raczéj zewnętrzne objawy, niż wewnętrzne procesy malujących sytua-

cyach, starał się nam dać poznać „maminego synka", wysyłając go w podróż za granicę. Ale od chwili gdy August zadurzył się w podstarzałéj pannie Zahorskiéj, widzimy w jego postępowaniu dwie tylko cechy: nierozwagę i brak woli, cechy, które istnieć mogą wśród młodzieży bardzo rozmaicie wychowanéj, gdyż nie są one istotnym i koniecznym wynikiem takiego lub innego wychowania, lecz raczéj wypływają z głębi usposobienia i wytworzonego na niém charakteru. August rośnie w lata, z konieczności rozwijać się też musi umysłowo, ale autor nie uwzględnia téj konieczności; notuje on zmiany zewnętrzne, ożenienie się, zagospodarowanie, coraz głębsze pogrążanie się w błoto długów, rozciągniętą nad Augustem opiekę i t. d., ale na chwilę nawet nie widzimy, ażeby bohatér ulegał jakim przemianom wewnętrznym. Dziwne zaślepienie zarówno względem żony, jak i względem jéj przyjaciela, a następnie jawnego niemal kochanka Wagnera, ostatniego szubrawca, jest widocznie stałą, organiczną wadą jego umysłowości, z któréj nikt i nic wzleczyć go nie może. Staje się wreszcie morfinistą, odosabnia się od wszystkich, robi niby jakieś eksperymenta chemiczne z ziemią i raz jeden jedyny zdobywa się na gorączkową energię, gdy spostrzegłszy żonę i Wagnera w niedwuznacznéj wcale pozycyi strzela do nich. „Mamin synek" nie jest tedy prawdziwym maminym synkiem, choćby takim, jakiego sylwetkę naszkicował Korzeniowski w „Kollokacyi", ale poprostu niedołęgą, bez zdania, bez woli, bez istotnie głębokiego, bodaj nawet ślamazarnego uczucia, jest piłką, którą zręczni gracze dowolnie rzucają. Lecz i tak rozważana ta postać mało ma cech rzeczywiście znamiennych, którychby dawniejsi nasi powieściopisarze nie podpatrzyli i nie uwydatnili. Jedynie tylko morfinomania, opisana z zamiłowaniem, lubo dla czytelnika nie miła, stanowi w naszéj beletrystyce nowość, ale oczywiście i ona do charakterystyki ani „maminego synka", ani słabości woli przyczynić się nie może. Na podobny brak rozwoju psychologicznego jak August, cierpią również inne osoby powieści. Jak je raz nakreślił autor, takiemi pozostają bez najmniejszéj zmiany do końca opowiadania. Panna Kamila Zahorska jest już od samego początku szczwaną zalotnicą, samolubną, wyrachowaną, pozbawioną wszelkiéj szlachetności uczuć, przed zaręczynami jeszcze układającą sobie prowadzenie intrygi miłosnéj z Wagnerem. Wyszedłszy za mąż nie zmienia się w niczém; z jakąś niezrozumiałą zgoła zaciętością dąży do tego, żeby mąż się zrujnował, chyba dlatego, żeby następnie mogła mu robić wymówki, iż ją na nędzę naraził. Macierzyństwo nie wpływa na nią również; jak była złą, egoistyczną cór-

ką względem nie lepszéj zresztą od siebie macierzy, tak jest lekkomyślną, bezduszną matką. Dziwić się tylko wypada, że, będąc nawskroś zmysłową, trzymała tak długo na uwięzi Wagnera, kiedy ją zgoła żadne nie krępowały skrupuły moralne, ani towarzyskie, jak się to okazało ze stosunku z hrabią, stosunku, który w swoim przebiegu rywalizował z działaniem pary na kocioł lokomotywy. Ten sam zarzut braku rozwoju, a choćby urozmaicenia zrobić można i Wagnerowi. Człowiek to chłodny, obrachowujący na daleką (może nawet zbyt daleką) metę, wytrawny krętacz, łotr, nie mający poczucia nietylko słuszności, ale nawet przyzwoitości towarzyskiéj, tchórz i egoista; trudno tylko zgadnąć, dlaczego tak uparcie krążył koło Kamilli, nie osiągając przez bardzo długi czas żadnego dla siebie pomyślnego wyniku. Drugi zarzut główny, jaki zrobić się da powieści p. Graybnera, jest pewne izolowanie osób powieściowych od towarzystwa, od otoczenia. Czy się rzecz dzieje zagranicą, czy na wsi w lubelskiém, czy w Warszawie, mamy do czynienia tylko z osobami, któremi się autor zajął wyłącznie, nie widzimy ich w ciągłych i żywych stosunkach towarzyskich, jakby mieszkali na jakiéjś wyspie, do któréj przypadkowo jedynie gość czy rozbitek zawita. I ta właściwość podobnież daje się wyjaśnić dramatycznym nastrojem i upodobaniami p. Graybnera; bo w dramacie goście, obcy, są dodatkiem chwilowym, ą na scenie zazwyczaj widzimy stale tylko pewne kółko osób. Co w dramacie jednak jest dobre, to powieści szkodzi bardzo często. Nie szkodzi atoli żywość akcyi, jędrny, a nieraz prawdziwie dowcipny dyalog; temi zaś zaletami p. Gryabner włada znakomicie. To téż chociaż „Mamin synek" pod względem kompozycyi jest bardzo słaby, a pod względem charakterów jednostronny, bo ukazuje nam je w pewnéj tylko wybranéj przez autora fazie, przeciągającéj się lata całe, można go wszakże przeczytać bez znudzenia, bo wypadków jest dużo, a rozmowy ładne.

— *Władysław Umiński.* **Żegluga powietrzna.** Z 36 ilustracyami. Warszawa, 1894 (str. 121). Od czasu wojny francusko-pruskiéj uśpiona poprzednio sprawa żeglugi powietrznéj znowu się ożywiła, powstały nowe pomysły kierowania balonami, przeprowadzono doświadczenia dosyć pomyślne, podano projekty lotu powietrznego nawet bez udziału balonów, na wzór ptaków, przy pomocy skrzydeł, szrub i spadochronów. Badania te i prace przedstawiają zawsze powab dla ogółu, który pomimo nieudatnych prób Ikara i jego naśladowców, żywi zawsze nadzieję, że z czasem człowiek zdoła się z miejsca na miejsce

przenosić przez ocean atmosferyczny. Dlatego też książka o żegludze powietrznéj jest rzeczywiście pożądana i może liczyć na znaczny zastęp czytelników, na nieszczęście jednak nie możemy powiedziéć, by niewielka książka p. Umińskiego istotnie czytelników swych zadowolnić mogła. Autor jest niewątpliwie dobrze z kwestyą żeglugi powietrznéj obeznany, a przynajmniéj dużo w przedmiocie tym czytał; dlatego też zebrał wszystkie szczegóły w sposób wyczerpujący, żadnego prawie z dotychczasowych pomysłów nie pominął i to jest główną pracy jego zaletą. Natomiast wszakże temu bogactwu szczegółów nie odpowiada opracowanie zbyt pobieżne i nie dosyć jasne. Pobieżność tę zdradza samo już otworzenie książki, okresy bowiem, czyli raczéj ustępy, są zaledwie kilkowierszowe, a często nawet jedno lub dwuwierszowe, jak to widzimy często w rozmowach, wypełniających powieści francuskie. Urywkowy styl taki szybko czytelnika zniechęca. Książka dzieli się na dwie części, z których pierwsza poświęcona jest balonom, druga zaś mówi o usiłowaniach lotu przy pomocy przyrządów od powietrza cięższych. Druga ta część staranniéj jest obrobiona niż pierwsza. Autor podaje tu badania nad lotem ptaków i mówi o ptakach sztucznych czyli ortopterach; następnie opisuje helikoptery czyli przyrządy, polegające na zastosowaniu śruby, a wreszcie aeroplany, które uważać można za latawce na większą skalę zbudowane. Na końcu podaje nawet, własnego widocznie pomysłu, gazową baterye elektryczną, zastosowaną do celów żeglugi powietrznéj. W każdym razie nie wątpimy, że ze względu na ciekawy swój przedmiot książka p. Umińskiego rychło się rozejdzie, a autor pomyśli może o drugiém wydaniu. W takim razie powinien ją starannie przerobić, by utraciła zupełnie charakter notatek, zebranych z pism bieżących, a stała się wykładem nauczającym i dostępnym według wzorów, których piśmiennictwo francuskie zwłaszcza dużo dostarczyć może. Przedewszystkiém wszakże niech usunie rażący błąd historyczny, że w r. 1783, gdy Montgolfier wynalazł balon, istniała nawet „młoda rzeczpospolita francuska” (str. 15), podobnie jak również nieprzyjemny błąd geograficzny na str. 47—48: „Ostatni wynalazek p. M. Gaspard, urodzonego w Londun (Wiedeń)” — jest tu bowiem widocznie mowa o departamencie francuskim Vienne, a nie o stolicy austryackiéj. Przyznać wszakże należy, że terminologia naukowa jest od podobnych usterek wolna.

= **Monografia kościoła parafialnego w Będkowie,** przez *I. Dziekońskiego.* Kraków—Petersburg, 4-to, 8+6 tabl., 1893. Z herbem miasta na tytułowéj okładce, przypisana JE. arcybiskupowi kościoła

metropolit. warszawskiego, ks. Win. T. Popielowi. Najistotniejsza wartość téj ciekawéj monografii zawiéra się w sześciu fotograficznych tablicach, które przedstawiają widok kościoła w całości, oraz jego składowych części, pierwsza zaś naczelna podaje szkic planu budowli. Z téj mianowicie tablicy czytelnik łatwo może utworzyć sobie pojęcie o zasadniczym kształcie i rozkładzie kościoła, zwłaszcza, jeżeli skorzystać zechce z dołączonéj pod rysunkiem skali. Widoki podane są w formacie dość znacznym, w odbiciu jasném i staranném, tak, iż kościół odsłania oczom naszym w całéj pełni swoje ujmujące, nadobne i przytém oryginalne kształty. Wzrok czytelnika z lubością zatrzymuje się na tém wdzięczném obliczu kościoła, który uderza nie olbrzymiemi rozmiarami, ale swoją miłą harmonijną całością. Nie kamień ciosany, nie marmury składają się na jego ściany, wieże, kolumny i kolumneczki, lecz glina palona czysta, profilowana i wzorzyste tafle polérwane. Pod względem materyału, tudzież formy stylowéj gotyckiéj, kościół w Będkowie wyróżnia się korzystnie wśród licznych naszych świątyń pochodzących z XV-go wieku. Zewnętrzna jego postać uległa w ciągu wieków bardzo nieznacznym przekształceniom, tak, iż w niéj wierne przechowało się po dziś dzień świadectwo ówczesnéj u nas epoki architektonicznéj. Nierównież obfitsze są ślady, wskazujące, iż wewnątrz dokonywały się różne przeróbki. Zabiegłość p. Dziekońskiego, oraz staranność jego w przekazaniu potomności obrazu tego pięknego zabytku budownictwa kościelnego zasługują na szczere uznanie. Co do daty wystawienia kościoła, nie ulega żadnéj wątpliwości, że było to w 1462 roku, jak stwierdza napis tamtoczesny na tablicy wmurowanéj na południowym szczycie kościoła. Tę tablicę w dokładném odbiciu podaje p. Dziekoński, odczytawszy zupełnie ściśle i trafnie łaciński tekst napisu. Kościół wystawili: Piotr Wspinek, kanonik kielecki, gnieznieński i poznański, oraz dwaj jego bracia Franciszek i Mikołaj Wspinkowie, dziedzice Będkowa. Prócz téj treściwéj wiadomości, z kamienia odczytanéj i przeniesionéj do przedmowy, dalszych szczegółów względem dziejów kościoła w Będkowie nie otrzymujemy, którychby się spodziéwać należało po tytule, jakim ta praca jest ozdobiona („monografia"). Zapewne brak ich usprawiedliwia się tém, że ich wogóle dochowało się niewiele. Bo i o samém miasteczku, które leżało w dawnym powiecie brzezińskim, w byłém województwie łęczyckiém, obecnie w powiecie piotrkowskim, pozostało bardzo mało wiadomości. Zacząwszy od encyklopedyi, słowników geograficznych i t. d., aż skończywszy na opisach miejscowości, powtarzają się stereotypowo zwykłe szczegóły. Starożytna Polska Balińskiego i Lipińskiego wcale

nawet o Będkowie nie wspomina. Z tytułu jednak kronikarza winienem sprostować powtarzaną przez wszystkich, którzy o Będkowie pisali, błędną wiadomość co do powstania miasteczka. Tablica kościelna podaje, iż miasto i kościół ufundowane były w 1462 r., w akcie zaś erekcyjnym zasadzenia Będkowa powołana jest data 1459 r. (*Acta terr. Brzezinen*, №№ 3 i 4, pag. 25—6) czyli, że założyciele (właściciele) miasteczka, wyniósłszy dziedziczną wioskę na szczebel miasteczka, pomyśleli także o przyozdobieniu go kościołem murowanym, który po upływie pewnego czasu stanął już w tym kształcie, że w 1462 r. można było wmurować w południowym szczycie tablicę erekcyjną z kamienia. Kościół jest więc późniejszym od samego miasta. (*P.*).

— *Marya Milkuszyc*. **Zakątek rodzinny**. Powieść. Warszawa, Sierpiński, 1894, str. 142. Jestto raczéj urywek z jakiegoś obszernego pamiętnika, w sposób beletrystyczny prowadzonego, aniżeli powieść artystycznie skupiona i zaokrąglona. Jedyną bowiem więzią całego opowiadania jest figura Stanisława, którego życiorys od lat szkolnych aż do późnéj starości przedstawiony nam został. Autorka urwała w tém miejscu, gdy Stanisław oczekuje przyjazdu syna swego ze szkół, jak na początku opowiadania on sam był oczekiwany przez rodziców. Ale możnaby oczywiście ciągnąć daléj opowiadanie, pozwolić Stanisławowi doczekać się wnuków i t. p. Artystycznie rzecz-by na tém ani straciła, ani zyskała, bo i tak, jak jest obecnie, prawdziwéj całości nie stanowi. Przygody Stanisława są dość urozmaicone: ma on pociąg do muzyki i pragnąłby się kształcić na artystę, lecz warunki materyalnie pozwalają mu na to, łatwo więc ulega przedstawieniu ojca i obiéra zawód praktyczny, który mu pozwoli przyjść z pomocą rodzinie; kształci się na prawnika, daje korepetycye, spotyka na swéj drodze kobiétę, żyjącą zmysłami, pociąga go ona ku sobie, a gdy następnie przekonywa się młodzieniec, że piękna nie jego jednego darzy swemi względami, popada w ciężką chorobę, z któréj jednakże wychodzi szczęśliwie, wyrzucając jedynie sobie gorzko, iż ufności swego dobroczyńcy, męża Dory, nadużył. Bardzo szybko doznaje w adwokaturze powodzenia, staje się zamożnym, żeni się z miłości, odrzuciwszy propozycyę bogatéj bankierówny, ma sposobność przyjścia z pomocą synowi Dory, która włócząc się po za granicą, szukała ciągle nowych awantur, aż wreszcie przez drugiego swego męża zaduszoną została. Zaopiekował się wtedy Alfredem, który po ciosie, jaki go dotknął, długo do siebie przyjść nie mógł, ale przecie nie zmarniał bynajmniéj, ożenił się, gospodaro-

wał i był szczęśliwym. Stanisław miał wiele w życiu swojém radości, a cierpienia (śmierć jednego dziecka i żony) zniósł mężnie i doznawał pociechy z dorastającego syna. Wszystko to opowiedziane jest poprawnie, dość żwawo, bez psychologicznego pogłębienia charakterów, bez artystycznego ugrupowania, bez świéżości wyrażenia. Początkowa scena przyjazdu Stanisława ze szkół, a następnie pobytu jego na wsi, jest może najlepsza w całéj książce; następnie zwraca na siebie uwagę pewnemi rysami oryginalnemi postać bankiera Rosenkranza, a zwłaszcza brzydkiéj, lecz sympatycznéj jego córki, Elizy, która się w bohaterze opowiadania pokochała i miłość mu swą pierwsza wyznała, nie spodziéwając się nawet wzajemności. Inne figury, jak hrabina Skoromęcka, jéj córka Dora, Alfred pod względem artystycznym są słabemi kopiami dobrze znanych oryginałów i nie wzbogacają ani naszéj znajomości ludzi, ani téż galeryi postaci plastycznie odtworzonych.

= **Podręcznik księgarski, przewodnik praktyczny dla wydawców, księgarzy, pomocników i praktykantów księgarskich.** Na podstawie swoich i obcych źródeł, opracowany pod redakcyą Teodora Paprockiego. Warszawa, 1894. Zeszyt I, 1—160. Ze wszech miar godny uznania i poparcia podręcznik, ma obejmować systematyczny wykład tych wszystkich wiadomości, które się odnoszą do księgarstwa. Dotychczas literatura nasza nie posiadała podobnego dzieła, któreby czytelnika wtajemniczyć mogło w szczegóły zawodu księgarskiego. Drogą długiéj praktyki każdy z księgarzy u nas dochodzi do wyrobienia się specyalnego w zakresie swojéj specyalności. O ile łatwiéj jest wydoskonalić się w swoim zawodzie, kiedy można teoretycznie poznać się ze wszystkiemi działami, uświadomić sobie zasadnicze pojęcia całości, oraz jéj części, skorzystać ze wskazówek doświadczonych specyalistów, kierować się według zdrowych rad doświadczonych weteranów w zawodzie księgarskim. Że w zakres wiadości potrzebnych dla tych, co się księgarstwu oddają, wchodzą bardzo rozmaite działy wiedzy ludzkiéj, przekonywa najlepiéj program powyższego podręcznika, który w sześciu częściach ma zawiérać takie przedmioty jak: 1) księgarnia nakładowa, 2) księgarnia sortymentowa, 3) korespondencya księgarska, 4) rachunkowość i buchalterya księgarska, 5) streszczenie ustaw prasowych rządowych, 6) słownik wyrazów. Pierwszy zeszyt, obecnie w świat puszczony, daje podstawę do sądzenia o tém, jak autor czy autorowie pilnie starannie usiłowali wywiązać się z zadania. Pierwszy dział, obejmujący

księgarnię nakładową, przedstawiony jest na ośmiu arkuszach i wypełnia niemal swoją treścią cały zeszyt, w którym kilka paragrafów jest poświęconych już i drugiemu działowi. Mamy w nim systematyczny wykład takich przedmiotów, jak: wydawca, autorzy i wydawca, wydawnictwo, drukarstwo i historya sztuki drukarskiéj, papiér, fabrykacya papiéru, ilustracye, wewnętrzny układ książki i t. d. Strona techniczna, praktyczna, w pomienionych przedmiotach, jest traktowana ze szczególnym względem na cel podręcznika, na czytelnika, któremu najwięcéj się przydadzą te mianowicie wiadomości, jak się przygotowuje papiér w różnych odmianach, na czém polega jego dobroć. Bardzo starannie i dokładnie opisane jest drukarstwo, a szczególniéj technika drukarska, czcionki, różne ich gatunki i nazwy, wyłożone są wskazówki względem korekty, co do obliczania rękopisu w stosunku do druku, do kosztów i t. d. Również obfitością informacyi odznacza się dział, tyczący ilustrowania dzieł, odbijania rysunków, stosowania nowszych postępów fototypii, chromolitografii i in. Wszędzie w wykładzie znać poprawność języka. W ustępie o historyi sztuki drukarskiéj kilka błędów się wkradło, np. str. 35, w liczbie drukarzy XVIII-go wieku przytoczony jest w Polsce Michał Grell, a raczéj Groll (1778 r. w Warszawie). Właściwiéj byłoby zachować jego nazwisko: Michał Gröll, a nie Groll (1775 zakoż. drukarnia, † 1798 w Warszawie). Jest pewność, że dzieło tak pożyteczne, tak dobrze obmyślane, w części wykonane, do końca doprowadzone będzie.

— **Geografia powszechna illustrowana** przez *Armanda Schweigera-Lerchenfelda*, w przekładzie prof. *Karola Jurkiewicza*, wychodzi zeszytami nakładem M. Orgelbranda w Warszawie, zeszyty 1 — 6 i nast. O książce téj powiedzieć śmiało można, że ukazuje się na dobie, że trafia w istotną potrzebę. Ubóstwo u nas w téj gałęzi literatury naukowéj oddawna zachęcało wydawców naszych do zapełnienia dotkliwéj szczerby przekładem jakiegoś odpowiedniego, nowszego dzieła. Dobre w tym kierunku chęci rozbijały się zawsze o trudności wyboru. Nareszcie pokonano przeszkody, obawy i skrupuły zatrzymawszy się na dziele przytoczonego wyżéj autora. Zdaje się, że wybór uczyniono trafny. Doczekamy się niebawem całokształtu geografii w niezbyt szerokich rozmiarach, przekraczających jednak granice podręcznika. Dobry papiér, druk wyraźny, staranne a liczne ilustracye dobrze zalecają dzieło, które przy średniéj cenie 10 rubli za 45 zeszytów liczyć może na znaczne rozpowszechnienie. Do istotnych zalet na-

leży także poprawność przekładu. Byłoby tylko do życzenia, aby unikać niewłaściwych zwrotów, w polszczyźnie nie przyjętych, np. str. 31, w. 10: „za wyjątkiem" (?). Nie zawadziłoby także przy przytaczaniu cudzoziemskich terminów technicznych czy też charakterystycznych podawać brzmienie ich we właściwém wymawianiu, np. hiszpańskie wyrazy (str. 111) *viaje (podróż wiache)*, *navaja (nóż=navacha)* i t. p. *(P.)*.

— *Włodzimierz Korolenko.* **Szkice i opowiadania**, księga druga (po russku). Wydanie redakcyi pisma „Russka myśl". Moskwa, 1893, str. 411. Są to rzeczy z niemałym talentem kréślone. Autor umié zastosować styl do obranego tematu; gdzie potrzeba, posługuje się barwami realistycznemi, a nawet naturalistycznemi, ale gdy przedmiot tego wymaga, potrafi uskrzydlić fantazyę swoją i szybować nią po nad nizinami powszedniości. I temata też wybiéra różnorodne, nie zasklepiając się w jednym ulubionym zakresie pomysłów. Mamy tu obrazki życia syberyjskiego („At-Dawan", „Czerkies"), małorusskiego („Sądny dzień", „Nocą"), wielkorusskiego („W czasie mgły") i fantazyą z najpiękniejszych czasów Grecyi za Sokratesa („Cienie"). Sceny, przedstawiające wyobrażenia i zwyczaje religijne („Za obrazem"), zwracają na siebie uwagę swoją świéżością i niemałą liczbą swoich obserwacyi i spostrzeżeń. Wogóle umysł autora jest rozległy, obejmuje dalekie widnokręgi duchowe, zdaje sobie sprawę z zagadnień życia, patrzy trzeźwo na jego objawy, cechuje w malowaniu uczuć i nastrojów, a i zjawiska przyrody pociągają go silnie ku sobie.

— *W. L. Weliczko.* **Drugi zbiór poezyi**. Petersburg, 1894. Wydanie A. S. Subarina (po russku). Młody poeta, znany poprzednio ze swych „Motywów wschodnich", w książce pomieścił najprzód utwory oryginalne, jako to: to dumy, pieśni, szkice, żarty, a następnie w drugim większym oddziale nowe „Motywy wschodnie". W motywach tych znajdujemy dużo zajmujących przekładów z języka gruzińskiego mianowicie z pism księcia A. R. Cereteli, oprócz bowiem drobnych liryków, dał nam także cały jego dramat historyczny p. t. „Tamara" (w oryginale „Tamar-Cbieri"), wydany i grany w Tyflisie r. 1886. Ładna jest, szlachetnemi uczuciami przeniknięta pieśń księcia Eliasza Czawczawadze. Obok gruzińskich sporo jest także poezyi perskich szczególniéj Omara Chajjana, jest też nieco i arabskich.

— *Henryk Sienkiewicz.* **Szkice z podróży**. Przekład russki W. M. Ławrowa. Wydanie redakcyi „Russka myśl". Moskwa, 1894, str. 439. P. Ławrow przetłómaczył już kilka utworów Sienkiewicza na język russki, mianowicie: „Potop", „Bez dogmatu", oraz tom „Powieści i opowiadań". Dokonywa swéj pracy nietylko sumiennie, ale z zamiłowaniem, dbając, ażeby autor tłómaczony przedstawił się czytelnikom russkim w najpiękniejszéj szacie słowa. Obecnie mamy przed sobą bardzo ładnie wydany tom „Szkiców z podróży", w którym mieszczą się: „Listy z Afryki", „List z Wenecyi", „List z Rzymu" i „Nervi". Warto byłoby w osobnym tomie dać jeszcze poznać młodzieńcze, pełne werwy i świeżych nieraz poglądów „Szkice amerykańskie".



KRONIKA MIESIĘCZNA.

Wiosna i jéj dobre wpływy.—Nóż wśród robotników warszawskich. — Schronienie dla kobiét samotnych. — Opinia względem stowarzyszenia szwaczek. — Wnioski o potrzebie krytyki artystycznéj.—Monopol aptekarski. — Stosowanie prawa przeciwko lichwie.—Kilka słów do korespondentów prowincyonalnych.

Wiosna na świecie.

Ta dobroczynna wiosna robi dużo porządku nietylko w naturze, ale i w głowach ludzkich; jéj zdrowie i silne tchnienie odświéża nietylko rośliny, lecz i umysły ludzkie.

Raczcie bowiem zważyć tylko, szanowni czytelnicy, jakie ta czarodziejka, wiosna, błogie dla nas w szacie swojéj przynosi owoce.

Niewtajemniczony w rymowany język bogów, nie mogę wam téż opowiadać wieszczém słowem o barwach i zapachach lilii i róż, co natchniony język poetów, miejmy nadzieję, uczyni i téj wiosny zarówno zaszczytnie i wzniośle, jak i w latach poprzednich; natomiast zważmy tylko, co samo nastanie wiosny zmienia w naszym światku towarzyskim i artystycznym.

Chyba głuchy lub ślepy zmiany téj nie dostrzega i jéj nie błogosławi. Błogosławić ją téż powinien każdy czytelnik pism codziennych, każda dusza miłosierna bliźniego swego miłująca.

Ta dobra i dobroczynna wiosna, witając nas w szeroko otwartych oknach, zapraszając na wycieczki, odrywa myśli i osoby od „uczt artystycznych i towarzyskich”, od aktorów, śpiewaczek i śpiewaków, od sopranów i tenorów, którymi karmiono nas tak zajadle, natarczywie i obficie.

Nareszcie!—zawołał chyba niejeden z odczuciem swobody i ulgi.

Nareszcie, nie będą mi się obijały o oczy i uszy bezustanne zachwyty felietonistów, krytyków i reporterów nad bohaterskiemi, pełnemi gracyi i wdzięku „divami”. Nareszcie, zapatrzony pogodnym wieczorem w gwiazdę niebieską, nie będę czytał ani słuchał reklamy dla „gwiazdy” scenicznéj. Nareszcie, witam cię, wiosno, i żegnam was rauty, koncerty, tenory i soprany.

Wiosna więc wpuszcza nietylko do naszych izb i sal, lecz i do naszych dusz świéże powiewy. Pomyślmy, coby to było, gdyby sezon trwał zamiast do kwietnia — aż do sierpnia lub września. Recenzenci muzyczni, nie mówiąc już o sprawozdawcach balowych i rautowych, straciliby resztę inteligencyi krytycznéj, resztę poczucia miary i taktu słowa wobec śpiewaka lub śpiewaczki z zagraniczną „marką” i reklamą, wznosząc oczy z nabożeństwem na scenę, jak wierni na Proroka. Recenzye zamieniają się w hymny, modlitwy, dreszcze zachwytu i ekstazy.

Tak bywa co rok. Dobroczynna wiosna przychodzi jednak w chwili krytycznéj, uśmierza zapały, gasi niezdrową gorączkę, wypędza ludzi i zwierzęta na trawę, rozciąga przed nimi wspaniałą swoją dekoracyę. Znudzone i zmęczone wrażeniami górne i niższe warstwy „towarzystwa” odzyskują może nieco równowagi, dopóki jéj na nowo nie zatracą.

Jesteśmy téż zdania, że nie przeceniamy wcale tego dobrego, społecznego nawet znaczenia wiosny.

Gdyby wiosna, którą przedstawiają, jako symbol miłości i szczęścia w naturze, ostudziła lub złagodziła krwawe instynkty w człowieku, raporty policyjne i reporterskie nie zawierałyby w sobie tylu wiadomości o „krwawych zajściach” wśród robotników, wyrobników i rzemieślników warszawskich, u których bójki na noże, zemsta przez pchnięcie nożem i t. p. nie schodzą z porządku dziennego.

Nie ma prawie numeru „Kuryera,” w którymbyśmy nie czytali: „w szynku, przy ulicy... pobili się Jan... i Tomasz... Pierwszy z nich, nóż wydobywszy, pchnął nim przeciwnika nader głęboko w bok. Rana jest ciężka i życiu T..., odwiezionego do szpitala, grozi poważne niebezpieczeństwo. J... aresztowano.” Jeżeli zaś zdarzy się dzień, w którym „krwawe zajście” zapisane nie zostało, to nazajutrz zanotują dwa albo trzy. Zabójstwo lub zbrodniczy zamach wywołują takie zwykle okoliczności: robotnik fabryczny albo czeladnik (te stany najczęściéj bowiem dostarczają bohaterów do „krwawéj dnia kroniki”) oczernił drugiego przed chlebodawcą czy towarzyszami pracy, albo odbił mu narzeczoną czy kochankę. Albo nareszcie, jak się dzieje najczęściéj, w szynku powstała kłótnia, która od „słowa do słowa” skończyła się

na nożu i zabójstwie. Oto, jakie najczęściéj bywają typowe pobudki puszczenia w ruch noża wśród niższych, zwłaszcza zaś rzemieślniczych sfer warszawskich.

Co to znaczy? W każdym razie—nic dobrego.

Gdybyśmy pobudki tych szynkownianych dramatów chcieli mierzyć ogólno-ludzką skalą, to nic nie zmierzymy i niczego się nie dowiemy. Ani Sofokles, ani Szekspir, ani Szyller — tragedyami swemi nie wiele nas pouczą. Mamy przed sobą krwawe następstwa, ale daremnie chyba najczęściéj szukalibyśmy tragicznego początku i ludzkich namiętności. Naturalnie, że wielcy tragicy i wielkie tragedye nie kłamią. Oni i one mają swoje sytuacye i swoje pobudki, szynkownie zaś i zaułki uliczne także swoje.

Sprzeczka powstaje między dwoma szczerymi przyjaciołmi, którzy w najlepszéj harmonii przyszli razem raczyć się wódką. Nieostrożny wyraz, jakiś wspomnienie, obelga i „od słowa do słowa”, a stąd już do noża. Zdarza się także, że i tego fatalnego słowa nie było nawet, bo na wracającego spokojnie do domu, spracowanego człowieka czyha za węgłem lub parkanem kilku w noże uzbrojonych drabów, szukających krwawego zadośćuczynienia... ale za co? Pobudki bywają zawsze bardzo liche, bardzo często zaś tak wprost naiwne, że trudno się oprzéć zdumieniu.

Np.: „Pod nr. 17 przy ul. Smoczéj — pisze „Kur. Warsz.” — Hipolit C., zaczepiony przez zięcia swego, Antoniego P., obelżywém słowem, polecił mu wyjść za drzwi. P. pochwyciwszy nóż, pchnął nim teścia w lewy bok.” Między pobudką a skutkiem brak, naturalnie, wszelkiego ustosunkowania.

Po naukę i wytłómaczenie tych wypadków należy się téż zwracać nie do tragedyi, lecz do raportów policyjnych. Sąd, w każdym razie, wié, jeśli nie całą, to połowę lub jakąś część prawdy. Lecz i bez posiadania w ręku tego śledczego materyału widzimy, że to częste, codzienne niemal używanie noża, które w latach ostatnich stało się narzędziem zemsty w ręku warszawiaka przybiera charakter niebezpieczny. Czy tu nawet należy mówić o zemście? Chociaż zemstę potępia ewangelia, lecz ją tłómaczyć może czasem natura ludzka. Tutaj jednakże mamy do czynienia z jakąś okrutną i barbarzyńską formą odwetu natychmiastowego, bez rozwagi, bez hamulca, bez względu nawet na grożącą odpowiedzialność. Jak zawsze, tak i teraz łatwiéj określić zło, niż wskazać tak zwane środki zaradcze, któreby nie były komunałami, żadnego znaczenia albo i zastosowania w rzeczywistości nie mającemi.

Samo gorszenie się temi „ohydnemi i smutnemi zdarzeniami, które

spowodowane zostały nadużyciem pijaństwa wśród klasy niższéj"—nic naturalnie nie zmieni i nie polepszy. Kto więc nie zna dokładnie téj ludności, w hypotezy zaś i improwizacye bawić się nie lubi, poprzestać chyba musi na zwróceniu uwagi tych, którzy najbliżéj sfer wymienionych stoją, na te prawdziwie „smutne fakta".

Złe bowiem, jak widzimy z codziennie powtarzających się wypadków, nie jest ani powierzchowne, ani sporadyczne, lecz przeciwnie, wnika do obyczaju całéj warstwy, boć nie inaczéj powstają dobre i złe obyczaje.

Mamy tym sposobem już „vendettę" warszawską w smutnéj karykaturze. Nie potrzeba tu naturalnie dowodzić, że ani swoich interesów, ani swojéj godności nożem odzyskać nie można, tak samo jak krzywdy swojéj nożem dochodzić nie należy. Dodajmy, że i te interesa, i obrażona godność i krzywda są najczęściéj fikcyjne, które zamącona wódką lub namiętnością świadomość po swojemu tłómaczy.

* * *

Warszawa nie posiada dotychczas (z wyjątkiem jednego) tak zwanych *pension*'ów, dających swoim lokatorom wspólne mieszkanie, z utrzymaniem i rozrywkami. W swoim czasie powstała myśl, którą teraz wznowiono, mianowicie urządzenia domu dla wdów i panien samotnych, na wzór amerykańskich azylów.

Któżby należał do pensyonarek takiego azylu?

Oto wdowa samotna — odpowiadają na to — nie tak już młoda, aby w nowe pragnęła wstąpić związki, nie tak stara, aby się całkiem wyrzec świata, skromna emerytka lub drobna kapitalistka ze szczupłemi funduszami, pędzi w Warszawie życie nędzne pod względem materyalnym, jałowe moralnie i umysłowo. Jeden pokoik na mieszkanie, przychodnia posługaczka, kilka pań znajomych, kościół, książka — oto, co znajduje w najlepszym razie; względny zaś niedostatek, samotność, choroba są jéj udziałem zwykle. Przenieśmy teraz tę kobiétę do azylu. Ponieważ mieszkanie jest wspólne, ma więc albo pokój do współki stowarzyską, albo własny, jeden czy dwa. Sala jadalna wspólna, zupełna swoboda czasu i zajęć, służba za naciśnięciem dzwonka, samowar, opranie, łazienka, sala z fortepianem, czytelnia do zgromadzeń ogólnych, gdzie prowadzą się rozmowy i układają plany. Jedno grono kobiét opiekuje się wychowaniem siérot, drugie ochroną, trzecie krzewieniem moralności i oświaty między sługami, inne dopomagają młodym osobom, kształcącym się wyżéj. Tworzy się cel życia, ustę-

puje pustka, nudy, stetryczenie, przybywa społeczeństwu rąk do pracy, do przewodzenia w postępie i życiu. Wdowy zbolałe, tęsknie wlokące ciężar życia zmieniają się na kobiéty, przed któremi tylko zginać kolano.

Pisma, które tę myśl żywo i trafnie w przytoczony sposób rozwijały, wątpią jednak o wcieleniu jéj, pisząc: „Gdyby się znalazła jedna wdowa, mająca dość rozumu, a co więcéj dość pieniędzy i urządziła takie schronisko. Lecz skąd wziąć takiéj odważnéj nowatorki? Nie brakuje elegantek, wydających tysiące na stroje i koronki, ale takiéj, coby zaryzykowała dziesiątek tysięcy rubli na schronienie dla kobiét, któreby zresztą same utrzymywały się późniéj — nie będzie ani jednéj.

I istotnie może nie być—odpowiedzmy — jeżeli kobiéty samotne, które schronienie posiadaćby chciały i posiadać powinny, czekać będą na zjawienie się takiéj dobrodziejki. Ponieważ tu chodzi o osoby dorosłe i inteligentne, do aktów cywilnych i społecznych, oraz pojmowania i prowadzenia swoich interesów zdolne, nie zaś o dzieci niepełnoletnie, szwaczki lub sługi, dróg i celów nieświadome, więc zamiast powierzania dobréj myśli losowi i oczekiwania na rozum i wspaniałomyślność przyszłéj fundatorki „azylu”, byłoby lepiéj, gdyby kobiéty, schronienia takiego dla siebie pragnące, same się około tego zakrzątły. Nie odrazu Kraków zbudowany. I protektorka łatwiéjby się znaleść mogła, wówczas gdyby już schronienie w miniaturze choćby istniało.

Jeżeli pomyślimy, ilu u nas ludzi z powodu swojéj bezradności błąka się samopas, trwoni czas i życie w gorzkiém osamotnieniu, lub bezsilnie ręce opuściwszy — to korzyści, z zakładania takich małych społeczeństw powstające, musimy uznać za nieocenione.

O bezradności takiéj wspominał także p. Koszlakow, pełniący obowiązki inspektora okręgu fabrycznego w Warszawie, w rozmowie z współpracownikiem „Kuryera Warszawskiego” o projektowaném stowarzyszeniu szwaczek. Przedstawiciel opieki prawa nad pracą przyznał, że dola szwaczek jest bardzo smutną; podlegają one wprawdzie inspekcyi fabrycznéj, ale cóż z tego, kiedy dwa tylko zakłady z niéj korzystają. Książki robotnicze mogłyby także—zdaniem p. inspektora—uchronić je od wyzysku pracodawczyń, lecz szwaczki o prawie zdają się nie wiedzieć i są dziwnie niezaradne. P. inspektor jest przekonany, że stowarzyszenie sankcyę władzy uzyska. Ustawy normalnéj tego rodzaju dotąd nie ma, są jednak pokrewne, które dostatecznie celowi temu odpowiedziéćby mogły.

Ta opinia przedstawiciela władzy wypowiedzianą została w samą

porę, usuwając wątpliwości co do uzyskania sankcyi projektowanego stowarzyszenia. Teraz rzecz oczekuje ludzi inicyatywy i dobréj woli.

* * *

Tegoroczne ogólne zebranie członków Towarzystwa sztuk pięknych, które się odbyło w zeszłym miesiącu, budziło znaczne zaciekawienie ze względu na wnioski, mające na owém zebraniu podlegać dyskusyi.

Do takich należał wniosek p. Stanisława Pieńkowskiego. Autor pragnął mianowicie, ażeby ogólne zebranie zaleciło komitetowi Towarzystwa popieranie literatury krajowéj, dotyczącéj sztuk plastycznych, przez rozpowszechnianie dzieł odpowiednich, i co ważniejsza, przez założenie w Warszawie i zasilanie czasopisma, wyłącznie sztuce poświęconego. Wniosek zalecał także urządzanie coroczne odczytów z dziedziny sztuk plastycznych i przekłady dzieł, o sztuce traktujących, z literatur obcych. Wnioskodawca uzasadniał swoje żądanie, zapatrując się na „rozwój literatury z zakresu sztuk plastycznych, jako na jeden z bardzo ważnych, a dotychczas zupełnie zaniedbany środek rozkrzewiania sztuk pięknych w kraju.”

W pokrewnym duchu przemawiał na zebraniu inny członek, narzekając na brak jednolitéj krytyki artystycznéj w prasie.

Na tę krytykę narzekają także podobno malarze, którzy jednak, jak wiadomo, są najniezgodniejszym narodem na świecie. Artyści najczęściéj nie bywają zadowoleni z krytyków.

Krytyka artystyczna, jak i wszystko na świecie może być gorszą lub lepszą. Wnioski owe nie zostały przyjęte; nie powinny jednak ujść uwagi pism, krytykę uprawiających.

* * *

Dzienniki podają znów pogłoski o zniesieniu monopolu aptek. Jak wiadomo, sprawa ta nieraz już była roztrząsaną i w sferach rządowych, i w prasie, a w opinii publicznéj były głosy przeciwko monopolowi aptekarskiemu.

Przeciwnicy tego monopolu dowodzili i dowodzą, że zawdzięcza on swoje powstanie dawnéj cechowéj organizacyi aptek. Z biegiem czasu jednak uznano w większéj części Europy monopol apteczny za szkodliwy dla interesów ludności z powodu drożyzny lekarstw, oraz za bezużyteczny skutkiem zmienionych do gruntu warunków przemysłu aptecznego. Dawniejsze apteki były to laboratorya, których urządzanie kosztowało bardzo drogo. Obecnie fabryka dostarcza aptece

wszystkiego w formie gotowéj, i ta ostatnia nie potrzebuje chemików, lecz zadawala się prowizorami, którzy ważą i mięszają gotowe już materyały. Zjazdy lekarskie w swoich podaniach do władzy uważają także monopol apteczny z jego niepomiernie wysokiemi cenami lekarstw za jedną z najgłówniejszych przyczyn małego dotychczas rozpowszechnienia pomocy lekarskiéj wśród niższych warstw ludności. Gdyby przynajmniéj te wysokie ceny lekarstw były rękojmią ich dobroci. Niestety, tak nie jest, o czém świadczą nawet i okólniki departamentu lekarskiego, grożące aptekarzom surowemi karami za wykryte nadużycia. Oprócz tego zdaje się, że gdyby na zniesieniu monopolu stracili nieco dzisiejsi właściciele, to zyskaliby ci pracownicy monopolu, którym teraz trudno myśléć o własnéj aptece, bo choć w małém miasteczku np. całe urządzenie apteki z towarem nie przewyższa nieraz kilkuset rubli, to cena odstępnego dochodzi tysięcy. Zresztą potrzeby ogółu ludności przeważać powinny względy dla osób szczególnych.

Procesa o lichwę, wskutek wprowadzenia w wykonanie prawa z 24 maja 1893 r., stanęły na porządku dziennym. Spotykamy się coraz częściéj z wiadomościami o skargach dłużników, którzy powoli chronią się pod opiekę rzeczonego prawa, zabezpieczającego ich od nadmiernego wyzysku.

Z samego początku zjawiła się kwestya natury prawnéj, która jednak ma wielkie praktyczne znaczenie, czy prawo ma w danym wypadku tak zwane wsteczne zastosowanie? Zwolennicy tępienia lichwy tak rozumują: Prawo z dnia 24 maja ustala nowy rodzaj przestępstwa, zasadzającego się nietylko na zawieraniu operacyi lichwiarskiéj, ale i na wprowadzeniu jéj w czyn. Operacya lichwiarska jest przestępstwem, trwającym od chwili otrzymania wekslu na podwójną sumę długu do chwili egzekucyi tegoż wekslu; zawarcie tego rodzaju operacyi jest tylko połową przestępstwa, przygotowawczym do niéj krokiem, gdy z drugiéj strony żądanie wykonania jest już spełnieniem samego przestępstwa. Jakże więc ci lichwiarze, którzy zawarli swe tranzakcye przed wydaniem prawa z 24 maja 1893 r. i którzy wytoczyli akcyę sądową dłużnikom po wydaniu tego prawa, mogą bujać sobie na wolności, gdy ci, którzy dokonali takich samych tranzakcyi, po wydaniu nowego prawa—dostali się do więzienia? czyż w oczach prawodawcy nie takim samym przestępcą jest ten, kto kontynuje przestępstwo, jak i ten, kto je dopiéro zaczyna? czy prawo majowe ma patrzéć obojętnie, a nawet współdziałać w wyzuwaniu z mienia tych ludzi, do opieki nad którymi właśnie powołane zostało, a sąd karny ma tém ułatwiać spełnienie przestępstwa?

Z humanitarnego punktu widzenia takie tłómaczenie prawa

przeciw lichwie ma za sobą wszelką słuszność. Według humanitarnéj, że się tak wyrazimy, logiki, którą i prawo z ludzkich przedewszystkiém pobudek powstałe kierować się powinno — komentarz taki jest zupełnie konsekwentny. Czy jednak zgadza się z ogólnemi zasadami prawnemi, to właśnie kwestya, którą sądy dotychczas sprzecznie rozstrzygają. Kiedy bowiem sąd przysięgłych w Mińsku zastosował do lichwiarza rzeczone prawo, pomimo tego, że rozpoznawana operacya zawartą została przed jego wydaniem, — sąd okręgowy w Lublinie uwolnił lichwiarza od odpowiedzialności, ponieważ akt pożyczki zawarty został także przed jego wydaniem.

Praktyka niewątpliwie wkrótce ustali zapatrywania wszystkich sądów.

Jakie skutki wywoła prawo majowe w naszych stosunkach między dłużnikami a wierzycielami, czy poprawi los pierwszych zwłaszcza? za krótki jest czas i za mało materyału do odpowiedzi.

Korespondentom prowincyonalnym do pism warszawskich tyle już oddawna słusznych i niesłusznych wypowiedziano nauk, uwag i napomnień, że z niechęcią tylko wraca się do admonicyi takich. Są jednak wypadki, w których wracać do nich trzeba, wtedy mianowicie, kiedy korespondenci z lekkiém sercem wystawiają na szwank: honor, spokój lub gorliwość pojedyńczych ludzi. Zdarzyło się np. niedawno w pewnéj osadzie, że matka chorym dzieciom zamiast chininy dała dozę strychniny, co sprowadziło śmierć dzieci i obłąkanie nieszczęśliwéj kobiéty. Niektórzy korespondenci, donosząc o tém i opisując szczegółowo wypadek, dodali, że matka przed zamierzoném udzieleniem dzieciom lekarstwa, posłała p o n o słoik z niém do miejscowego felczera dla sprawdzenia, czy to istotnie chinina, i odebrawszy potwierdzającą odpowiedź, dała dzieciom do zażycia proszek, który okazał się straszną trucizną. Omyłka więc felczera sprowadzić miała nieszczęście. To „pono”, którego użyli do swéj opowieści aż dwaj korespondenci, zmienia właśnie całą sprawę. Przysłano istotnie na trzy dni przed nieszczęściem słoik z proszkiem felczerowi, który spróbowawszy go językiem stwierdził, że to chinina, nie wiedząc nawet wcale o tém, że biédna matka miała w domu truciznę. Rzecz została wyjaśnioną, ale lekkomyślni czy łatwowierni korespondenci wyrządzili niewinnemu człowiekowi krzywdę.

Sens moralny taki, że korespondenci nie powinni na jakichś tam: „pono”, „powiadają”, „chodzą słuchy” i t. d. budować swoich doniesienień, nie sprawdziwszy faktu u źródła, zwłaszcza wtedy, kiedy chodzi o dobre imię i spokój ludzki.

Bo jeżeli dodamy nadto, że tak niesłusznie pokrzywdzonemu, tru-

dno nieraz za pomocą listu wymódz na danéj redakcyi natychmiastowe sprostowanie lub odwołanie faktu, do czego ta bezwzględnie powinna być obowiązaną; na szukanie zaś zadośćuczynienia sądowego brak mu czasu lub środków, — oraz że została narażoną jego opinia, a nawet praktyka—to następstwa łatwowierności (trudno przypuścić coś innego) korespondentów są bardzo dotkliwe. Redakcye zaś, ociągając się z istotném przedstawieniem rzeczy, podzielają winę swoich korespondentów, których nadwątlonéj powagi bynajmniéj tém nie ocalą.

Praca osób, zgrupowanych około komitetu kolonii letnich, postępuje pomyślnie, a ofiary w ubraniach, bieliźnie i obuwiu nadchodzą ciągle z dalszych nawet okolic. Jest więc nadzieja, że liczba wysłanych w tym roku na wieś dzieci przewyższy poprzedzające, jeśli ofiarność nie osłabnie.

D. Lut.

— Komitet damski warszawskiego oddziału Towarzystwa opieki nad zwierzętami, pod przewodnictwem p. Julii Sikorskiéj, urządził *Odczyty popularne* w wielkiéj sali Muzeum przemysłu i rolnictwa, poczynając od 1 kwietnia. Mówili lub mówić będą: pp. Edmund Jankowski „Czém dla ludzi jest ogród", Julian Ochorowicz „O koniu ze stanowiska psychologii", Odo Bujwid „Drobne żyjątka zdrowiu szkodliwe i sposoby ich unikania", „Maksymilian Flaum „O wódce, piwie i winie", Marcin Osmała „Wykształcenie terminatorów rzemieślniczych w Warszawie", Aleksander Palmirski „Życie i jego przejawy jako przedmiot nauki", Władysław Umiński „O zwierzętach ginących". Dochód osiągnięty z tych odczytów, obrócony zostanie na zakupno lub wydawnictwo książeczek popularnych specyalnych, jako też i treści ogólnie umoralniającéj — i rozdawanie ich bezpłatnie między ludem miejskim i wiejskim.



Wydawcy: *W. Spasowicz* i *A. Pawiński*. — Redaktor *P. Chmielowski*.

Дозволено Цензурою. Варшава, 27 Марта 1894 г. — Druk Jana Cotty.

NOWE KSIĄŻKI

nadesłane do redakcyi „ATENEUM".

1. *C. V. Boys.* **Bańki mydlane.** Wykład początkowy o zjawiskach włoskowatości. Przełożył *Wiktor Biernacki.* Warsz., nakł. Gebethnera i Wolffa, 1894, 8-vo, str. IX i 158, z tablicą.
2. *Adam Krechowiecki.* **Starosta Zygwulski.** Powieść hist. Wydanie 2-gie, dwa tomy. Krak., nakł. Gebethnera i S-ki, 1894, 8-vo, str. 242 i 258.
3. *Elizeusz Reclus.* **Zjawiska ziemskie.** Lądy stałe. Przełożyła i uzupełniła dr. *M. Stefanowska.* Warsz., nakł. Gebethnera i Wolffa, 1894, 8-vo, str. 204 i III.
4. **O siewnikach** napisał inżynier *Kazimierz Ajdukiewicz.* Krak., nakł. autora, 1893, 8-vo, str. 42, z 6 tabl. litograf.
5. **Encyklopedya rolnicza.** Zeszyt XXI, str. 609—672 (Grzyby—Handel drzewem).
6. **Królestwo zwierząt**, według Brehma, opracował *Lakowitz*, przełożył *Stanisław Rewieński.* Warsz., nakł. Gebethnera i Wolffa, 8-vo, zesz. V, str. 385 — 480 (z rycinami).
7. *Włodzimierz Zagórski (Chochlik).* **Nowelle.** Serya I. Krak., nakł. Spółki wydawniczéj, 1894, 8-vo, str. 159.
8. **Arcydzieło** poezyi polskiej A. Mickiewicza „Pan Tadeusz". Studyum krytyczne *Walerego Gostomskiego.* Kraków, nakł. Spółki wydawniczéj, 1893, 8-vo, str. 266.
9. **Jestem.** Powieść. Przez *Adama Krechowieckiego.* Warsz., nakł. Gebethnera i Wolffa 1894, 8-vo, str. 477.
10. *Kazimierz Łapczyński.* **Flora Litwy** w „Panu Tadeuszu". Kraków, Gebethner i S-ka, 1894, 8-vo, str. 85.
11. **Sprawa sporu granicznego** przy Morskiém Oku. Wywód historyczno-prawny, napisał dr. *Aleksandèr Czołowski.* Lwów, 1894, 8-vo, str. 73, z 5-ma kartami.
12. **Wisła**, miesięcznik geograficzno-etnograficzny. Tom VII: Październik, Listopad, Grudzień 1893. Warszawa, skład głów. w księgarni M. Arcta (str. 629 — 803, z rysunkami).
13. **Architektura** męska i żeńska starożytnej Grecyi. Studyum estetyczne, objaśnione rysunkami. Skreślił *J. Święcianowski*, architekt. Warsz., u Teodora Paprockiego, 1894, folio, str. 31, z dwoma tabl.
14. *Hajota.* **Z dalekich lądów.** Warszawa, nakł. S. Lewentala (1894), 8-vo, str. 319.
15. *Adolf Dygasiński.* **Krańcowy.** Warszawa, nakład S. Lewentala (1894), 8-vo, str. 256.
16. *T. T. Jeż.* **Edward Kloc.** Powieść. Warsz., nakład. T. Paprockiego i S-ki, 1894, 8-vo, str. 152.
17. *Franciszek Grillparzer.* **Matka rodu Dobratyńskich.** Tragedya w 5-ciu aktach. Przekład *Stanisława Starzeńskiego* („Biblioteka powsz.", nr. 71—72). Warszawa, T. Paprocki i Sp., 8-vo, str. 120.
18. *Leon Połaczek.* **Spis rodzin** szlachty polskiéj. Petersburg, B. Rymowicz, 1893, 8-vo zesz. I, str. 48.
19. *Lessing.* **Natan mędrzec** Poemat dramat. w 5 aktach. Przełożył *Zygmunt Bromberg* („Bibl. powsz.", nr. 74—75). Warszawa, T. Paprocki i S-ka, str. 154.
20. *Aleksander hr. Fredro.* **Śluby panieńskie** czyli magnetyzm serca. Komedya w 5-ciu aktach („Biblioteka powsz.", nr. 79 — 80). Warszawa, T. Paprocki i S-ka, str. 119.
21. *Swift.* **Podróże Gulliwera.** III. Podróż do Laputy („Bibl. powsz.", nr. 81 — 82). Warsz., T. Paprocki i S-ka, str. 103.



Upraszа się PP. Wydawców o nadsyłanie świeżo ogłoszonych książek do redakcyi. O każdéj z nich będzie bezzwłocznie podana krótsza lub dłuższa wzmianka.

